ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 10 (201) PAŹDZIERNIK 2015 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

> ZAGINIONY KONWÓJ DO „RIESE”

> SZCZELINA JELENIOGÓRSKA. NOWY ŚLAD...

> KALENDARIUM POSZUKIWAŃ SKARBÓW 1945-1989

„ZŁOTY POCIĄG”

RAPORT SPECJALNY

www.odkrywca.pl

Indeks 37010X ISSN 1505-6104

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR
WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!
podwodny
wodoszczelny do 3m
odporny na warunki atmosferyczne
do poszukiwania złota
GARRETT METAL DETECTORS www.garrett.com
Ace 150
Ace 250
Euro Ace
AT Pro
AT Gold
GTI 2500
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
ATX
white's
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
NOWOŚĆ Treasure Master
NOWOŚĆ Treasure Pro
MX5
Matrix M6
MXT Tracker
MXT Pro
Spectra VX3
Spectra V3i
BeachHunter
TM 808
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F5
NOWOŚĆ F11
NOWOŚĆ F22
NOWOŚĆ F44
F19
F70
F75
F75 LTD
Pro-Tech
Pro-Arc
CZ 21
1280-X Aquanaut
MINELAB
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Safari
E-Trac
CTX 3030
GPZ 7000
SDC 2300
Excalibur II
NOWOŚĆ GO-FIND20
NOWOŚĆ GO-FIND40
NOWOŚĆ GO-FIND60
XP METAL DETECTORS
ADX150
Adventis 2
GMaxx II
Gold Maxx
Deus
Nokta DETECTION TECHNOLOGIES
VELOX One
FORS CoRe
GROUND EFX
NOWOŚĆ MX100E
NOWOŚĆ MX200E
NOWOŚĆ MX300
NOWOŚĆ MX400
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sklep stacjonarny, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

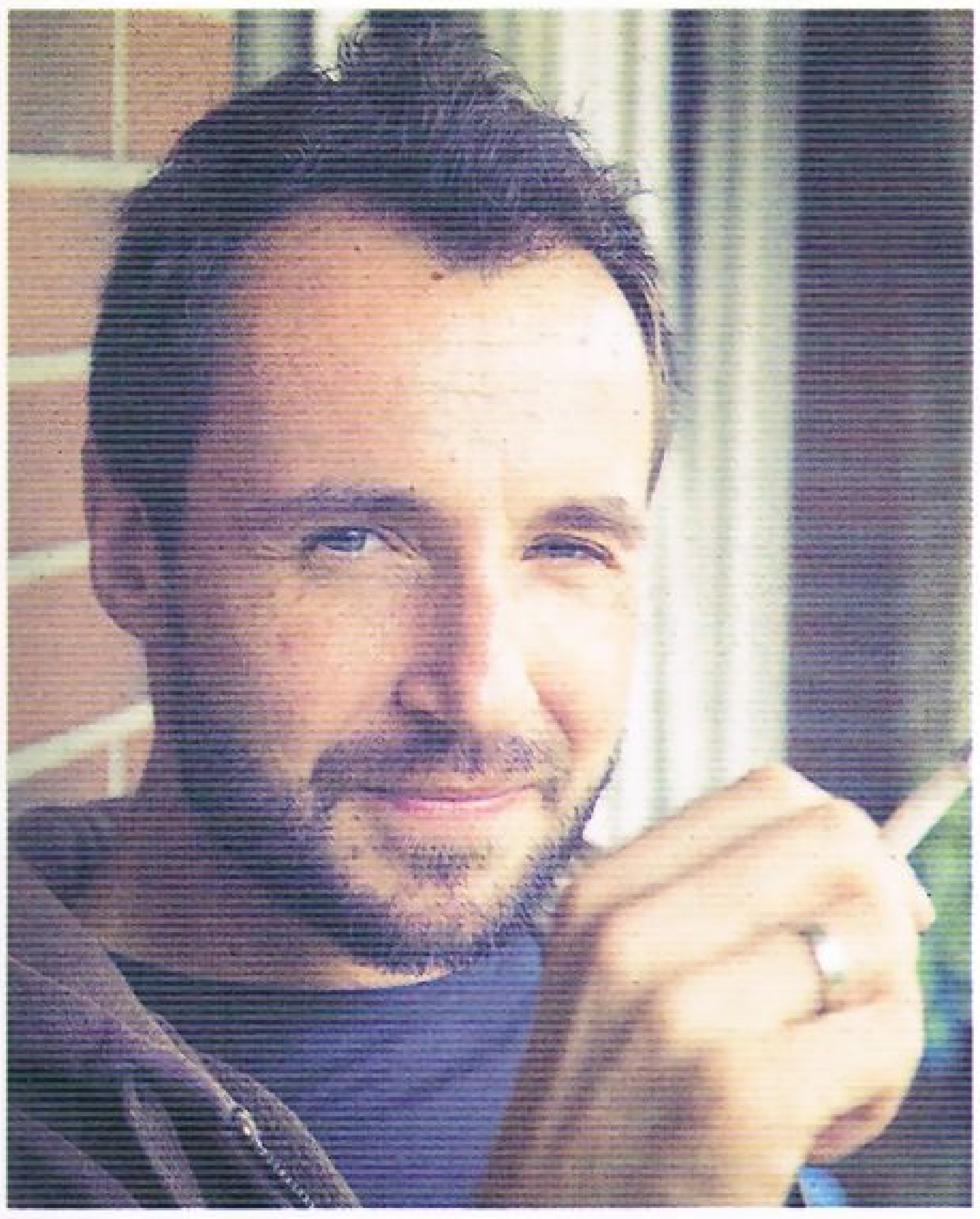

fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

Nadszedł czas zmian. „Odkrywca" jest jednym z najdłużej funkcjonujących na rynku czasopism o tematyce historycznej. Jednocześnie jedynym, które konsekwentnie trzyma się ustalonej ponad 17 lat temu formuły prezentacji szeroko pojętej tematyki eksploracyjnej jako metody zgłębiania tajemnic przeszłości. W 200 wydanych dotychczas numerach opublikowaliśmy kilka tysięcy artykułów. To potężny dorobek dotychczasowych redakcji, wydawcy i licznych autorów z nami współpracujących, tworzony specjalnie pod kątem preferencji naszych Czytelników. Chcąc wyjść naprzeciw nieustająco wzrastającym oczekiwaniom i wymogom dynamicznie zmieniającego się rynku prasowego, postanowiliśmy nieco odświeżyć formę Państwa ulubionego miesięcznika. Zapewne początkowo będzie budzić mieszane odczucia, gdyż wszyscy przyzwyczailiśmy się do dotychczasowej szaty graficznej. Pragniemy jednak podkreślić, że nowa zapewni lepszą przejrzystość i zwiększy komfort czytania. Tym bardziej, że będzie o czym. Wydarzenia ostatnich kilku tygodni pokazały, że nasza tematyka wciąż może zaskakiwać. Cały świat mówi bowiem o tzw. „złotym pociągu" z Wałbrzycha, czy szeregu innych, wciąż domniemanych, odkryć na terenie Dolnego Śląska. Trzeba przyznać, że skala tego zjawiska jest wydarzeniem bezprecedensowym. Dlatego też w bieżącym numerze poświęcamy cały blok temu fenomenowi, lecz to nie wszystko. Poza tym oczywiście tradycyjna porcja poszukiwań, tajemnic historii, kolekcjonerstwa i fortyfikacji.

Jako redaktor naczelny witam się z Państwem po raz pierwszy, jednak znamy się od ponad 11 lat. To zaszczyt i jednocześnie potężne wyzwanie, zwłaszcza w tak gorącym dla nas czasie. Z nowym zespołem dołożymy jednak wszelkich starań, aby comiesięczna dawka lektury trzymała w napięciu nie mniej, niż dotychczas. Również w nowej internetowej formule, uzupełniającej naszą dotychczasową ofertę. Ale o tym więcej już za miesiąc. Przy okazji pragnę gorąco powitać naszego nowego sekretarza redakcji Andrzeja Daczkowskiego, oraz redaktora Grzegorza Górę, którzy od tego miesiąca będą stanowić trzon uderzeniowy naszych przedsięwzięć wydawniczych.

W IMIENIU WYDAWCY, ZESPOŁU I SWOIM PRAGNĘ PODZIĘKOWAĆ DOTYCHCZASOWEJ REDAKTOR NACZELNEJ IZIE KWIECIŃSKIEJ ZA WIELOLETNIĄ WSPÓŁPRACĘ.

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

ZESPÓŁ REDAGUJĄCY:

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl

REDAKTOR
Grzegorz Góra
redakcja@odkrywca.pl

DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski

STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwiełło

KONSULTANCI
Andrzej Bossowski
• Geologia.
Maksymilian Frąckowiak
• Archeologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne

DZIAŁ REKLAMY
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY
WWW.ODKRYWCA.PL
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

Okładka: fot. Jacek Janusz, Maciej Kulesza

SPIS TREŚCI

POSZUKIWANIA

34 ŚLEDZTWO W SPRAWIE SZCZELINY JELENIOGÓRSKIEJ CZĘŚĆ I
KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI
To na poły prawdziwe, na poły mityczne miejsce w pobliżu Jeleniej Góry, które skrywać ma niewyobrażalne wprost bogactwa.

40 BADANIA ARCHEOLOGICZNE NA POLACH GRUNWALDU
ANNA STRASZYŃSKA

TAJEMNICE HISTORII

42 ZNALEZIONO 10 WAGONÓW CZĘŚCI LOTNICZYCH!
SZYMON WRZESIŃSKI
Sensacyjne odkrycie w Samotnej Skale. 10 wagonów części lotniczych znaleziono w powiecie Lwówek – oto nagłówek artykułu z 1947 roku o składzie kolejowym, który został naprawdę znaleziony…

44 ZWYCZAJNY RODZINNY ALBUM
SEBASTIAN DRAGA
Niedawno odnalezione zdjęcie przedstawiające dwa leżące ciała obrońców Poczty Gdańskiej ostatecznie rozstrzyga, gdzie i w jaki sposób zostali oni zabici.

48 HISTORIA JEDNEJ ULOTKI
BARTOSZ BIJAK

52 BANKIET W RESTAURACJI „RIGA"
LESZEK ADAMCZEWSKI
Nikomu nie śniły się jeszcze komory gazowe Auschwitz, Treblinki czy Sobiboru, a konferencja w Wannsee była dopiero w planach, gdy niedaleko wielkopolskiego Koła rozpoczęła się zagłada Żydów…

KOLEKCJONERSTWO

58 MYVIMU.COM, CZYLI MOJE WIRTUALNE MUZEUM
KLAUDIA MRÓZ
To specjalistyczny serwis dla prywatnych kolekcjonerów i osób zakochanych w historii. Zrzesza 9000 pasjonatów i prezentuje 150 tys. eksponatów. Wielu czytelników czasopisma „Odkrywca" prezentuje w MyViMu swoje kolekcje…

60 DZISIAJ JEMY ŻÓŁWIA! WOJNA OD STRONY KUCHNI
CZ. 8 – RACJE ŻYWNOŚCIOWE WEHRMACHTU
TOMASZ BIENEK

FORTYFIKACJE

66 SCHRONY PRZECIWLOTNICZE W POZNANIU
PRZEMYSŁAW MAĆKOWIAK

ROZMOWY

68 ZAGINIONY KONWÓJ DO „RIESE"…
Ukryte depozyty w Górach Sowich wielu traktuje z przymrużeniem oka… Był jednak pewien trop, znacząco różniący się od pozostałych. Jego śladem podążyli dwaj autorzy, którzy wynik swojego śledztwa zamknęli w książce pt. „Zaginiony konwój do »Riese«".

KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"

70 NOWOŚCI PAŹDZIERNIKA W KSIĘGARNI „ODKRYWCY"

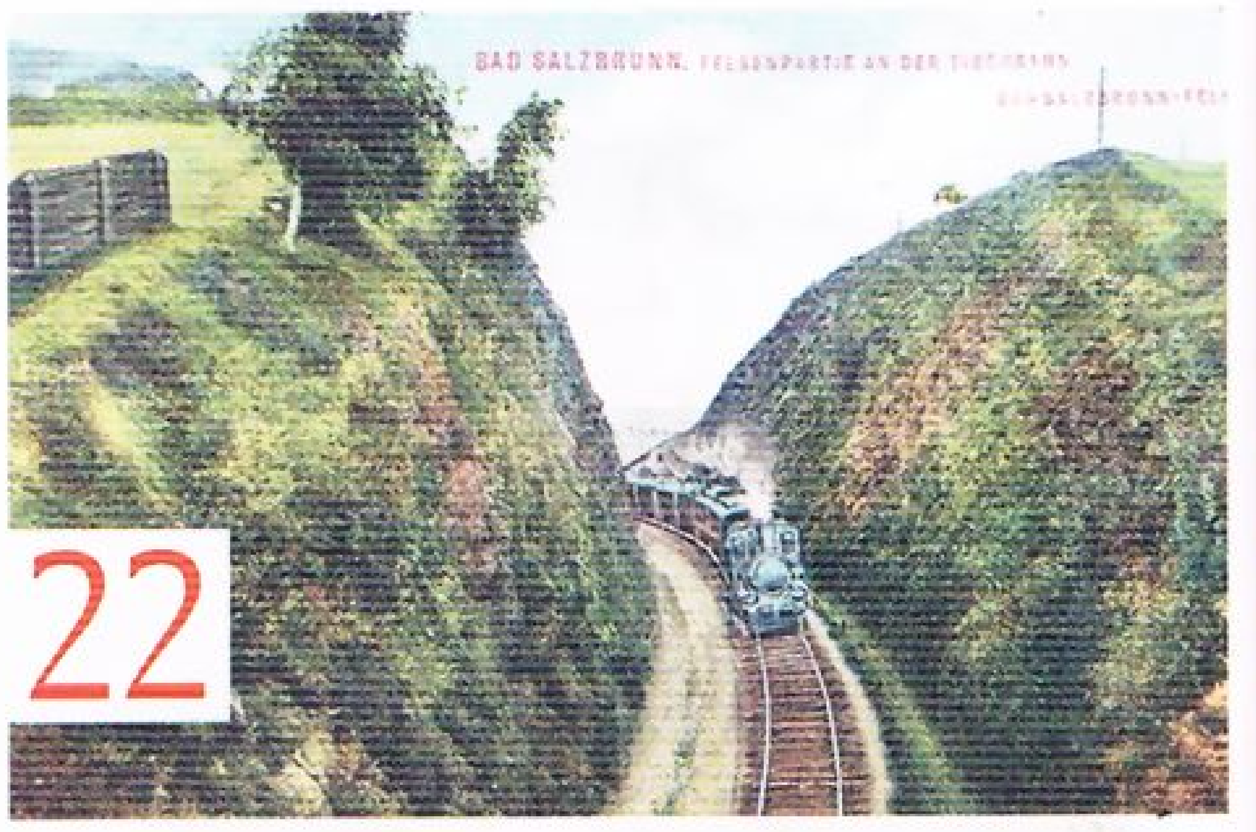
22

42

52

60

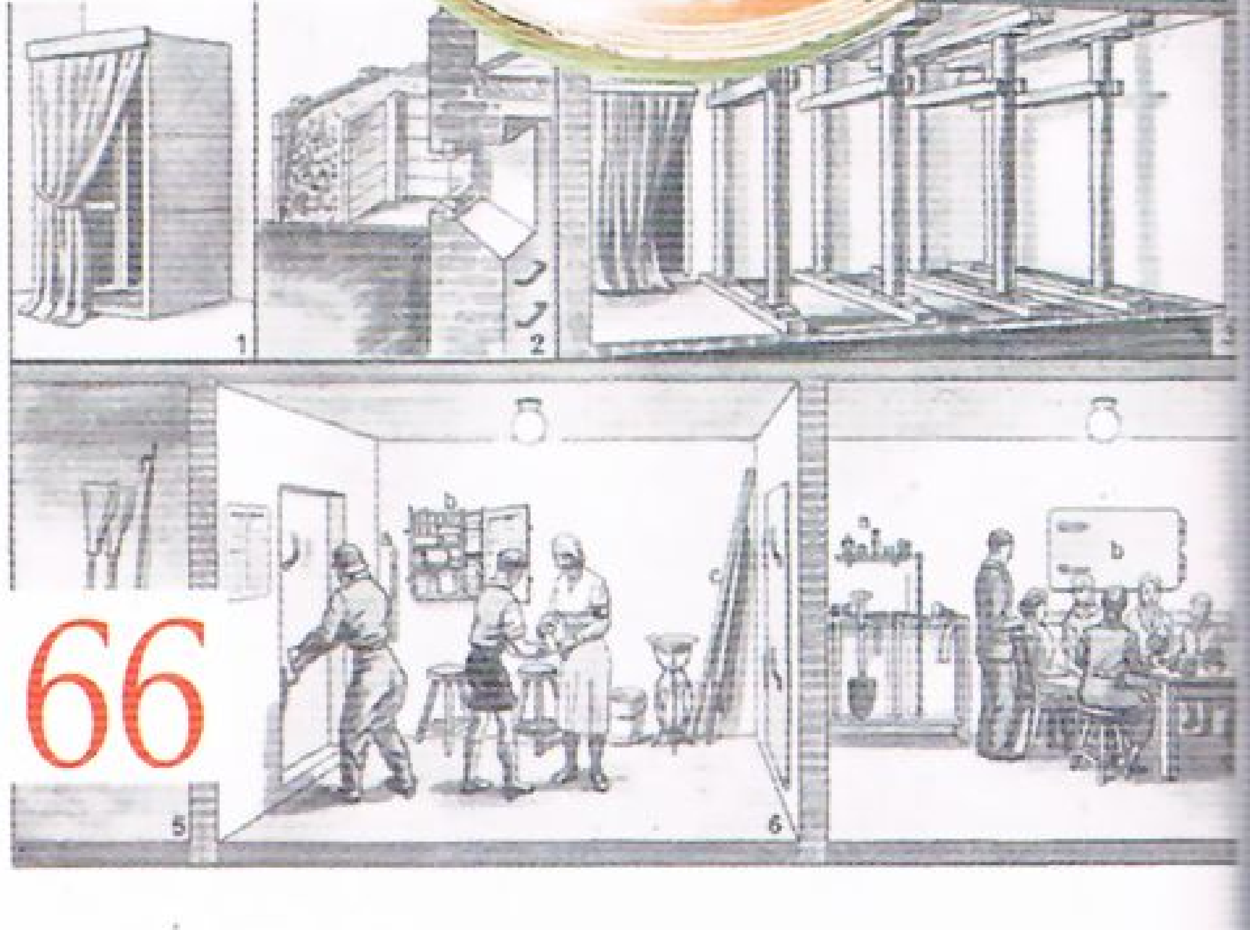
66

4 SKARBOWA REWOLUCJA
PIOTR MASZKOWSKI

8 DO KOGO BĘDZIE NALEŻAŁ „ZŁOTY POCIĄG"?
MAREK DUDZIAK

12 DRUGI (TAK!) „ZŁOTY POCIĄG"
LESZEK ADAMCZEWSKI

14 PRAWDZIWY „ZŁOTY POCIĄG"
KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI

18 SZUKANIE POCIĄGU JAK GONIENIE KRÓLICZKA
PIOTR GALIK

22 „EKSKLUZYWNA" OBWODNICA KOLEJOWA WAŁBRZYCHA
TOMASZ RZECZYCKI

28 FALA ODKRYĆ ZA POMOCĄ... FAL
DR INŻ. WIESŁAW NAWROCKI

„ZŁOTY POCIĄG"
RAPORT SPECJALNY

Reagując na wydarzenia ostatniego miesiąca, zdominowane sprawą zgłoszenia domniemanego odkrycia w Wałbrzychu pociągu z czasów II wojny światowej, proponujemy Państwu specjalnie przygotowany na tę okoliczność blok tematyczny. Prezentujemy w nim artykuły podejmujące niezwykle szeroki wachlarz problematyki, dotyczącej bez wątpienia nadzwyczajnej sytuacji, z jaką nigdy nie mieliśmy do czynienia. Oto bowiem odżywa dawno zapomniana sprawa tzw. tajemnicy 65 km. Tajemnicy, która z lokalnej stała się ogólnoświatową sensacją. My jednak, starając się trzymać emocje na wodzy, przekazujemy nieco chłodniejszy, lecz jak najbardziej merytoryczny przekaz zjawiska, czy wręcz fenomenu, ostatnich tygodni m.in. pod kątem prawnym, kulturowym, jak i technologicznym. Życzymy „złotej" lektury!

>>>

>>>

SKARBOWA REWOLUCJA?

PIOTR MASZKOWSKI

Z Tadeuszem Słowikowskim spotykałem się wielokrotnie. Każdorazowo rozmowa schodziła na temat tajemnicy 61/65 km linii kolejowej Wrocław-Wałbrzych.

To bez wątpienia fascynująca historia, opowiadana przez tego znanego badacza z wyjątkowym znawstwem oraz przekonaniem. Powtarzał ją zresztą od kilkudziesięciu lat. W tym czasie zgromadził na ten temat bez wątpienia największy zasób wiedzy – relacji, dokumentów, map i wszelkich innych możliwych materiałów, powiązanych ze sprawą niemieckiego składu, ukrytego pod koniec II wojny światowej w zamaskowanym tunelu. Na ich podstawie w 2001 i 2003 roku zostały przeprowadzone poszukiwania. Niestety zakończone niepowodzeniem. Lecz Pan Tadeusz nadziei nie tracił... I miał rację.

Oto bowiem dwaj śmiałkowie, Piotr Koper i Andreas Richter kiedyś również usłyszeli od niego tę opowieść. Jakże musiał się zdziwić, że mylił się w dotychczasowych ustaleniach zaledwie o kilkaset metrów, a pociąg nie znajduje się w tunelu, lecz jest zasypany...

Zapewne sprawa tzw. „złotego pociągu" nie wyszła by tak szybko na jaw, gdyby nie wyciek, do jakiego doszło zaledwie kilka dni po oficjalnym zgłoszeniu znaleziska. Sprawy prawdopodobnie potoczyłyby się innym, dyskretnym torem, tymczasem stało się inaczej. Obaj poszukiwacze stali się sprawcami pewnej rewolucji, która eksplodowała z nieznaną dotąd siłą, popularyzując marginalizowaną do tej pory tematykę eksploracyjną. Ta z pewnością, będzie przeżywać w ciągu najbliższych miesięcy swoisty renesans. Podobnie zresztą jak rejon wałbrzyski, który stał się sławny jak nigdy dotąd. Wracając do rzeczonego składu. Jeżeli rzeczywiście istnieje i zostanie odkryty, trzeba przyznać, że będzie to wydarzenie bez precedensu. Nigdy bowiem nie odnaleziono w wyniku poszukiwań na lądzie tak dużego obiektu z czasów II wojny światowej. Gdyby do tego doszło, oznaczałoby konieczność ponownego zweryfikowania setek podobnych historii. Zresztą już mamy do czynienia z efektem domina – do wałbrzyskich urzędów wpłynęły w ostatnim czasie kolejne zgłoszenia odkryć nieznanych do tej pory podziemi kompleksu „Riese", czy też szeregu innych obiektów specjalnych w regionie. Jeżeli tylko niewielka część okaże się prawdą... Jeżeli.

Tu zaczynają się pewne problemy, na które niechętnie musimy zwrócić uwagę. Śledząc bacznie od kilkunastu lat tę tematykę, analizując szczegółowo wydarzenia minionych dekad pod kątem poszukiwań, oraz posiłkując się naszymi własnymi doświadczeniami na polu badań archiwalnych i terenowych, pojawiają się w nas dość poważne wątpliwości. Panowie Piotr Koper i Andreas Richter są tacy jak my, pełni pasji, zapału i wiary. Zresztą, jak się sami przekonaliśmy, absolutnie zaraźliwej. Ufają bezgranicznie swym ustaleniom, doświadczeniu i sprzętowi, którym dysponują. To bez wątpienia ich atut, zapewniający im odpowiednią siłę przebicia. Wzmacnia ją niezwykle sugestywna grafika profili uzyskanych z posiadanego przez nich urządzenia pomiarowego, która niczym rentgen odzwierciedla niemal rzeczywisty obraz zakopanego na głębokości 8-12 m pociągu. Pociągu z widocznymi nawet dla laika elementami jego konstrukcji! Genialne! Diabeł tkwi jednak jak zwykle w szczegółach.

Prowadzimy od wielu lat różnego rodzaju poszukiwania, wykorzystując do tego celu pełne spektrum metod umożliwiających lokalizację przestrzeni czy obiektów pod powierzchnią gruntu. W wyniku tego doświadczenia przekonaliśmy się, jak ostrożnie należy podchodzić do pomiarów georadarowych, szczególnie na głębokościach większych niż 2 –3 metry. Dlatego też przez ostatni miesiąc konsultowaliśmy się z najlepszymi specjalistami od badań geofizycznych w Polsce i za granicą, pytając jak to możliwe? Tym bardziej, że miejsce potencjalnego zalegania pociągu znajduje się nie tylko w pobliżu linii wysokiego napięcia, powodującej silne zakłócenia pola elektromagnetycznego, ale wprost pod nią. Takiego fenomenu najtęższe umysły nie umiały w żaden racjonalny sposób wytłumaczyć, poza oczywistym zanegowaniem odczytów. Pomimo bowiem swego zaawansowania, ludzkość taką technologią ma jeszcze nie dysponować. Jeżeli jednak taka technologia faktycznie istnieje, znane nam georadary czy magnetometry będzie można odstawić do lamusa.

Niepokoi również brak merytorycznych przesłanek, aby jakikolwiek skład kolejowy mógł zostać kiedykolwiek i gdziekolwiek w ten sposób ukryty, nawet w chaosie ostatnich miesięcy wojny. Innymi słowy, niezależnie od zebranych przez znalazców dowodów w postaci słynnych już profili, tajemniczych relacji świadków czy dokumentów brakuje wciąż podstaw, by ślepo i bezgranicznie uwierzyć, że wzmiankowany pociąg istnieje. O tym jednak się przekonamy dopiero wówczas, gdy zapewne wojsko dokona pierwszych odwiertów. To może jednak potrwać, ponieważ procedury wojskowe, czy też cały przedsięwzięty tryb państwowy są z natury niezwykle czasochłonne. Szkoda, ponieważ pod kątem tego typu prac większe doświadczenie posiadają liczne w kraju podmioty społeczno-prywatne, mające już na swym koncie kompleksowe akcje wydobywcze. Dlatego też owa procedura państwowa, jest również swoistą pułapką. Pozwala uzyskać nagrodę, jest też niewątpliwie stosunkowa prestiżowa, lecz czy efektywna? Jak się możemy przekonać na kolejnych stronach, właściwie nigdy nie zdała egzaminu...

KALENDARIUM

WYBRANYCH ZGŁOSZEŃ, NEGOCJACJI I POSZUKIWAŃ PROWADZONYCH PRZEZ INSTYTUCJE PAŃSTWOWE W LATACH 1945-1989

1946-1955

We Wrocławiu podczas prac budowlanych przy odgruzowaniu miasta odnaleziono „7 kg złota i biżuterii poniemieckiej". Majątek ten został zabezpieczony i zdeponowany w siedzibie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie przekazany do Narodowego Banku Polskiego. Ministerstwo Finansów odpowiadając na złożone wnioski o przyznanie gratyfikacji znalazcom uznało, „ (...) że brak jest podstawy do wypłaty, gdyż art. 10 dekretu z dn. 8 marca 1946 roku o majątkach opuszczonych i poniemieckich /Dz. U. Nr 13, poz. 87/ nakłada na wszystkie osoby, które powezmą wiadomość o majątku opuszczonym lub poniemieckim, obowiązek zgłoszenia takiego majątku właściwym władzom, a wykonanie przez obywatela obowiązków ustawowych nie stwarza podstaw do domagania się wynagrodzenia."

ODKRYWCA NR 11/2012

1949-1951

Mieszkanka Wrocławia za pośrednictwem Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych zwróciła się do Ministerstwa Skarbu informując, że skłonna jest „wskazać miejsce, w którym znajdują się rożne ukryte remanenty poniemieckie olbrzymiej wartości jak złoto, waluta w złocie, biżuteria, zabytki muzealne, oraz płaszcze skórzane, stare wina i cały szereg różnych innych bardzo wartościowych rzeczy(...).". W zamian żądała m.in. 3% od wartości odnalezionych przedmiotów. Mimo prowadzenia poszukiwań we wskazanym miejscu, depozytu odnaleźć się nie udało.

ODKRYWCA NR 2/2011, 1/2012

1951-1954

Mieszkanka Puszczykowa skierowała do kancelarii prezydenta RP Bolesława Bieruta ofertę ujawnienia planu ukrycia w podziemiach klasztoru OO. Benedyktynów w Lubiniu znacznego majątku ukrytego przez zakonników na pocz. XIX wieku. Proponowała pomoc w odnalezieniu skarbu i przekazanie go na potrzeby odbudowującego się po wojnie kraju. Sprawa, została przekazana z poleceniem jej weryfikacji do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu. Po kilkukrotnym przesłuchaniu kobiety przez bezpiekę i uzyskaniu szkicu, poszukiwań najprawdopodobniej nie podjęto.

ODKRYWCA NR 2/2015

1951-1955

Pod koniec października 1951 roku do PUBP w Jeleniej Górze wpłynęło "doniesienie obywatelskie", w którym informator sugerował, iż pod koniec wojny Niemcy przywieźli ciężarówkami: "coś przykryte ubraniami ochronnymi do budynku, który łączy się z fabryką celulozy. Samochody te rozładowywali przeważnie Niemcy i nie dopuszczali cudzoziemców, którzy w tym czasie pracowali. Jak mi mówił kolega, na jednym samochodzie zauważył arkusze blach z metalu szlachetnego". To wystarczyło, by przez kolejne 4 lata bezpieka prowadziła w tej sprawie wielowątkowe dochodzenie, niestety również zakończone niepowodzeniem.

ODKRYWCA NR 3/2015

1957

Do Wydziału Konsularnego Poselstwa PRL w Brnie zgłosił się obywatel RFN, z informacją o ukrytym depozycie o szacowanej wartości 269 mln marek zachodnioniemieckich. W wyniku wieloetapowych negocjacji państwo polskie było skłonne zapewnić mu 3% od wartości złota w sztabach, zaś od reszty skarbu 8% lub 6 % znaleźnego od ogólnej wartości wszystkich znalezionych walorów.

ODKRYWCA NR 1/2012

1964 -1965

Komenda Wojewódzka MO we Wrocławiu otrzymała sygnał od byłego funkcjonariusza milicji, na temat ukrytego w okolicach Jeleniej Góry depozytu poniemieckiego, zawierającego oprócz kosztowności, również... materiały rozszczepialne. W ciągu trwającego rok śledztwa okazało się, że sprawa jest mistyfikacją.

ODKRYWCA NR 6/2012

1964-1965

Wojsko Polskie i Milicja Obywatelska na zlecenie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i Ministerstwa Sprawiedliwości poszukiwała w Lesie Rzuchowskim k. Chełmna nad Nerem dokumentów i kosztowności ukrytych tam podczas II wojny światowej. Bez rezultatu.

ODKRYWCA NR 11/2013

1964

GKBZHwP wraz grupą grotołazów przeprowadziła rekonesans na terenie Twierdzy Srebrnogórskiej. Miał on na celu weryfikację informacji dotyczących ukrytych tam podczas II wojny światowej dokumentów i depozytów poniemieckich. Wynik negatywny.

ODKRYWCA NR 10/2013

1964

Wojsko Polskie na zlecenie GKBZHwP prowadziło w starorzeczu Bugu m.in. przy pomocy podwodnych detektorów >>>

>>> metali poszukiwania zatopionej dokumentacji SS. Mimo wielu prób, nie udało się podjąć właściwego tropu, który zakończyłby się oczekiwanym efektem.

ODKRYWCA NR 7/2013

1964

Ekspedycja GKBZHwP w Górach Sowich. Oficjalnym celem akcji było zebranie informacji na temat zbrodni popełnianych przez Niemców podczas budowy kompleksu „Riese". Nieficjalnie przedsięwzięcie miało związek z poszukiwaniami Bursztynowej Komnaty, której trop Komisja miała weryfikować nieco później również w Lidzbarku Warmińskim.

ODKRYWCA NR 5/2007, 7/2013

1964

W miejscowości Lipiny w powiecie augustowskim na zlecenie KGB, Służba Bezpieczeństwa wraz z saperami Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego prowadziła poszukiwania tzw. „Kasy Samsonowa" – legendarnego do dziś skarbu ukrytego podczas I wojny światowej. Bez rezultatu.

ODKRYWCA NR 7/2013

1967

W jednym z jezior nieopodal Legnicy na Dolnym Śląsku saperzy z Jednostki Wojskowej nr 2697 w Brzegu, na zlecenie GKBZHwP poszukiwali zatopionych skrzyń z dokumentacją niemiecką z czasów II wojny światowej. Mimo wielokrotnych prób penetracji akwenu, żołnierzom nie udało się natrafić na jakikolwiek istotny jej trop.

ODKRYWCA NR 1/2014

1966-1967

Ministerstwo Finansów prowadziło negocjacje z obywatelem Izraela w sprawie poszukiwań kosztowności ukrytych podczas okupacji w jednej z łódzkich kamienic. Ze wzgledów ekonomicznych (duże koszty wydobycia) i politycznych (wybuch wojny sześciodniowej) sprawa nie została sfinalizowana.

ODKRYWCA NR 3/2013

1969

W wyniku anonimowego zgłoszenia sugerującego ukrycie w jednym z gospodarstw w powiecie elbląskim „800 kg złota w sztabach i biżuterii" i „kosztownych przedmiotów bursztynowych z pałacu carów spod Leningradu" rozpoczęło się wieloetapowe, trwające kilka miesięcy dochodzenie. Sprawa okazała się szczegółowo zaplanowaną mistyfikacją, o charakaterze kryminalnym.

ODKRYWCA NR 3/2009, 9/2012

1971

Komenda Wojewódzka i Miejska MO w Wałbrzychu na podstawie dokumentacji odnalezionej w Archiwum Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego opracowała materiały dotyczące Sztolni Rycerskiej w masywie Dzikowca nieopodal Wałbrzycha. Celem były poszukiwania ukrytych w jej wnętrzu depozytów.

ODKRYWCA NR 10/2010

1972

W jednej z radomskich kamienic prowadzone były poszukiwania ukrytej w czasie wojny skrzyni. Akcja odbyła się na zlecenie dawnego mieszkańca tutejszego getta, dzięki staraniom korespondenta New York Time'sa w Polsce przy wsparciu Ministerstwa Spraw Zagranicznych PRL oraz władz lokalnych. Depozytu nie odnaleziono.

ODKRYWCA NR 4,5/2013

1972

W Kamiennej Górze na Dolnym Śląsku przeprowadzone zostały poszukiwania nieznanych wyrobisk tutejszych podziemi drążonych przez Niemców podczas II wojny światowej. Na wniosek powołanego w tym celu sztabu operacyjnego saperzy z jednostki w Brzegu dokonali serii odstrzałów, lecz działania te nie przyniosły spodziewanych rezultatów.

ODKRYWCA NR 12/2010

1973-1974

Olsztyńska SB dokonała szeregu przeszukań w piwnicach jednej z kamienic Kętrzyna. Akcja prowadzona była w ramach weryfikacji informacji na temat ukrytego tam majątku niemieckiego restauratora oraz dokumentów mających rzekomo pochodzić z „Wilczego Szańca". Mimo trwającego dwa lata dochodzenia, śledztwo zakończyło się niepowodzeniem.

ODKRYWCA NR 2/2013

1978

W miejscowości Bobowa k. Nowego Sącza, na terenie dawnej synagogi niewielki oddział inżynieryjno-saperski Jednostek Nadwiślańskich MSW przeprowadził akcję poszukiwań ukrytej w czasie wojny skrzyni z kosztownościami. Był to efekt trwającego dwa lata dochodznia prowadzonego przez Biuro Śledcze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które zakończyło się niepowodzeniem.

ODKRYWCA NR 9,10/2012

1980

Początek poszukiwań „ukrytych rezerw bankowych III Rzeszy Niemieckiej" w Sudetach. Powołana została wówczas grupa rekonesansowa złożona z przedstawicieli Głównego Zarządu Wyszkolenia Bojowego i Wojskowej Służby Wewnętrznej. Przy wsparciu państwowych przedsiębiorstw geofizycznych wykonane zostały pierwsze badania bezinwazyjne w kilku lokalizacjach na terenie Karkonoszy.

ODKRYWCA NR 5/2015

1981

Rozpoczęła działalność wojskowa grupa operacyjna, która na podstawie przeprowadzonych wcześniej pomiarów realizuje szereg zakrojonych na stosunkowo szeroką skalę prac inwazyjnych m.in. w okolicach Borowic, rejonie Kozackiej Doliny i tzw. Drogi Sudeckiej.

ODKRYWCA NR 5/2015

1982-1984

Do Ministerstwa Finansów PRL zgłosiła się jedna z niemiec kich kancelarii prawnych w sprawie warunków wydobycia ukrytego w czasie wojny depozytu zawierającgo 1 kg złota oraz funt platyny. W wyniku trwających dwa lata negocjacji strona polska, jako wyraz dobrej woli zaproponowała podział w skali 60% dla Skarbu Państwa i 40% dla znalazcy. W dokumntacji archiwalnej brak danych, czy doszło do ralizacji podopsanj wówczas umowy.

ODKRYWCA NR 5/2015

1982

Początek poszukiwań podziemnej fabryki, rzekomo znajdującej się pod Klasztorem w Lubiążu. Działania prowadziła grupa operacyjna MON przy współdziałaniu wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa i WOAK. W ich rezultacie doszło do przypadkowego odkrycie skarbu nowożytnych monet.

ODKRYWCA NR 9/2011, 5/2015

1983

W miejscowości Porzażyce niepodoal Jordanowa na Dolnym Śląsku saperzy Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW przeprowadzili poszukiwania ukrytego pod koniec wojny depozytu. Bez powodzenia.

ODKRYWCA NR 10/2011

1983

Występujący w imieniu obywatela RFN, mieszkaniec Szczecina złożył w Ministerstwie Finansów propozycje wydobycia i podziału depozytu ukrytego na terenie Dolnego Śląska. Po trwających kilka miesiący negocjacjach ustalono podział 60% znaleźnego dla Skarbu Państwa i 40% dla znalazcy. Nie wiadomo czy umowa doszła do skutku.

ODKRYWCA NR 1/2012

1985

W Lubiążu na Dolnym Śląsku odbyła się kolejna akcja w poszukiwaniu podziemnej fabryki. Żołnierze Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW, pomiędzy Klasztorem a wzgórzem trzech Krzyży na wysokości tzw. „Lasku Jadwigi", dokonali wierceń głębokościowych. Dodatkowo przeprowadzono pomiary radiestezyjne. Bez rezultatu.

ODKRYWCA NR 11/2011

1986

Obywatel Niemiec Zachodnich zwrócił się do Ministerstwa Finansów z propozycją wskazania ukrytego w pobliżu Łodzi depozytu złożonego z „20 baniek od mleka wypełnionych złotymi markami niemieckimi okresu cesarstwa". Po przeanalizowaniu zgłoszenia, ze względu na jego niewiarygodność oferta została przez władze odrzucona.

ODKRYWCA NR 7/2012

1986

Były lotnik niemiecki zaproponował Ministerstwu Finansów wskazanie depozytu złota zakopanego pod koniec II wojny światowej w Bydgoszczy oraz Borach Tucholskich. Po weryfikacji zgłoszenia przez bydgoską SB sprawę odrzucono, jako mało wiarygodną.

ODKRYWCA NR 5/2012

1986

Przedstawiciel MSW prowadził wielomiesięczne negocjacje z więźniem, który w zamian za złagodzenie wyroku i nagrodę zaproponował ujawnienie miejsca ukrycia dokumentacji krakowskiego Gestapo. Sprawa była szczegółowo analizwana, jednak nic nie wskazuje na to, by podjęto wówczas poszukiwania. Kilka lat temu historia ta miała swoją drugą odsłonę.

ODKRYWCA NR 7,8,10/2014

1986

Odbyła się ostatnia akcja w Lubiążu mająca na celu definitywne rozwiązanie tajemnicy podziemnej fabryki. Mimo licznych ustaleń operacyjnych, przeprowadzenia zaawansowanych badań bezinwazyjnych, pomiarów radiestezyjnych i prac ziemnych poszukiwanego obiektu nie odnaleziono.

ODKRYWCA NR 2/2012

1988

Po trwających kilka lat negocjacjach Ministerstwo Finansów podpisało umowę na wydobycie i podział 22 skrzyń o łącznej wadze 3 ton, zawierających poszukiwane od zakończenia II wojny światowej „dobra kultury oraz inne walory". Przedmiotem poszukiwań miała być również kaseta stalowa znacznych rozmiarów, w której zabezpieczone zostały papiery wartościowe, a także numery kont i skrytek bankowych w szwajcarskich instytucjach finansowych wraz z kluczami do zdeponowanych tam skrzynek depozytowych. Poszukiwania ni doszły do skutku, ale sprawa ta toczy się do obecnych nam czasów...

ODKRYWCA NR 2,9/2011, 1/2012

REKLAMA

DO KOGO BĘDZIE NALEŻAŁ „ZŁOTY POCIĄG"?

MAREK DUDZIAK

Kto i jakie może mieć roszczenia związane ze „złotym pociągiem" w świetle obowiązujących obecnie przepisów

Latem tego roku informacja o odnalezieniu „złotego pociągu" jak tsunami obiegła świat. Obok związanych z nią rozmaitych spekulacji co do jego ładunku, pojawiły się związane z tym odkryciem pierwsze roszczenia, a w dyskusjach rozważa się, komu przypadnie miano znalazcy i jakie będą z tego tytułu profity. Wszystko to, moim zdaniem, ma dziś charakter dzielenia przysłowiowej skóry na niedźwiedziu.

Jest to jednak dobra okazja do omówienia, jakie w tej sprawie obowiązują przepisy, komu może przypaść prawo własności do znaleziska i kto ewentualnie może liczyć na znaleźne.

DEFINICJA ZABYTKU

W pierwszej kolejności zajmijmy się problemem znaleźnego. Pojęcie to występuje w ustawie z dnia 2 lutego 2015 r. o rzeczach znalezionych, która obowiązuje od dnia 21.06.2015 r. Określa ona obowiązki i prawa znalazcy, postępowanie w sprawach odbierania zawiadomień o znalezieniu rzeczy, przyjmowania i przechowywania rzeczy znalezionych oraz poszukiwania osób uprawnionych do ich odbioru i postępowanie z rzeczami o wartości historycznej, naukowej lub artystycznej. Jej lekturę warto polecić każdemu poszukiwaczowi skarbów.

Jej przepisy, zgodnie z art. 3, nie stosuje się jedynie do zabytków archeologicznych. Tutaj od razu muszę przypomnieć, że pojęcie zabytku archeologicznego zostało określone w art. 3 pkt 4 ustawy z dnia 23 lipca 2003 r. o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami. Stanowi, że jest nim *„zabytek nieruchomy, będący powierzchniową, podziemną lub podwodną pozostałością egzystencji i działalności człowieka, złożoną z nawarstwień kulturowych i znajdujących się w nich wytworów bądź ich śladów albo zabytek ruchomy, będący tym wytworem."* Zwracałem już na stronach „Odkrywcy" uwagę, że ta ustawowa definicja jest bardzo nieprecyzyjna. W związku z tym, że nie zawiera cezury czasowej, kierując się jej treścią możemy dojść do absurdalnych wniosków, że np. zawartość naszego przydomowego śmietnika zawiera takie zabytki. Moi adwersarze będą się tutaj zapewne odnosić do definicji ogólnej zabytku sformułowanej w art. 3 ust.1, który mówi, że, *„zabytek, to nieruchomość lub rzecz ruchomą, ich części lub zespoły, będące dziełem człowieka lub związane z jego działalnością i stanowiące świadectwo minionej epoki bądź zdarzenia, których zachowanie leży w interesie społecznym ze względu na posiadaną wartość historyczną, artystyczną lub naukową."* Jest dla mnie oczywiste, szczególnie śledząc praktykę w tym zakresie, że mój pogląd jest w pełni uzasadniony. Ocena wartości jest bowiem subiektywna, a wytworów ludzkiej działalności i tych z odległych czasów, i tych z bliskich, wokół nas jest mnóstwo. I dlatego rzecz, która dla jednych będzie posiadała wartość historyczną, dla innych będzie tylko śmieciem.

DEFINICJA ZNALAZCY I ZNALEŹNEGO

Wracając do ustawy o rzeczach znalezionych, która w mediach jest najczęściej przywoływana, należy na wstępie zauważyć, że zgodnie z jej art. 4 ma ona zastosowanie wyłącznie do osób, które rzecz znalazły i do postępowania z tym związanego, a więc o postępowaniu które ma miejsce po, a nie przed znalezieniem – odkryciem. Mówi on bowiem *„kto znalazł rzecz"*. Jest więc oczywiste, że przepis mówi

o znalezieniu rzeczy, a więc o zdarzeniu, które już nastąpiło, a nie o takim, które nastąpi w przyszłości. Warto tu przytoczyć definicję z Małego Słownika Języka Polskiego (PWN), który podaje, że *„znalazca"*, to *„osoba, która znalazła czyjąś zgubę"*. Wszędzie używa się czasu przeszłego. I dlatego zadać tutaj należy pytania – czy „złoty pociąg" został znaleziony? Czy też podano tylko informację o tym, że być może we wskazanym miejscu on się znajduje (bo według moich informacji nie można dziś jednoznacznie stwierdzić, że on tam jest)? Odpowiedź jest oczywista. Wiedzieć o skarbie, to nie wszystko. To dopiero początek drogi do jego odnalezienia, do potwierdzenia informacji. Dlatego, moim zdaniem, przymiot znalazcy będzie przysługiwał wyłącznie osobie, która pierwsza wejdzie do zasypanego tunelu i pierwsza dotknie „złotego pociągu". Śledząc doniesienia prasowe można przyjąć, że zapewne będzie to ktoś z wojskowej lub innej ekipy, która być może będzie prowadzić prace poszukiwacze. Najlepiej byłoby, gdyby odkopania tunelu dokonały osoby dysponujące informacją. Nie będzie wówczas dyskusji, komu należy się przymiot znalazcy.

Mam nadzieję, że dla wszystkich czytelników „Odkrywcy" jest oczywiste, że wbrew tytułom prasowym „złotego pociągu" jeszcze nie odnaleziono.

W prasie, m.in. w „Rzeczypospolitej" (dostęp z 21.09.2015 r. „Złoty pociąg – kto może zacierać ręce", Marek Domagalski), przedstawia się inne stanowisko powołując się, moim zdaniem, na błędną wykładnię art. 8 cytowanej ustawy. Przepis ten mówi: *„w przypadku gdy przechowanie lub oddanie rzeczy przez znalazcę jest niemożliwe albo połączone z niebezpieczeństwem pogorszenia się rzeczy, trudnościami lub znacznymi kosztami, znalazca może ograniczyć się do wskazania osobie uprawnionej do odbioru rzeczy, właściwemu staroście lub właściwemu zarządcy miejsca, w którym rzecz się znajduje."* Po jego uważnym przeczytaniu dostrzeżemy, że i on mówi o postępowaniu, które może być realizowane po znalezieniu rzeczy

Wracając do omawianej ustawy o rzeczach znalezionych, podkreślić należy, że wizyta w Starostwie po znalezieniu skarbu, zabytku jest niezbędna dla wszczęcia stosownego postępowania i skutecznego domagania się zapłaty znaleźnego. Z tym że, jeżeli wiadomo kto jest właścicielem znalezionej rzeczy, zgłasza się oczywiście do niego w celu oddania rzeczy i zainkasowania znaleźnego. Do Starostwa musi iść wówczas, gdy właściciela nie zna lub gdy będzie nim Skarb Państwa. Zawiadamiając o *„znalezisku"* starostę właściwego ze względu na zamieszkanie znalazcy lub miejsca znalezienia rzeczy, znalezioną rzecz znalazca tylko w wyjątkowych przypadkach może pozostawić u siebie na przechowanie. Musi wtedy o rzecz dbać i chronić ją. W tym przypadku będą miały zastosowanie przepisy tytułu XXVIII księgi trzeciej ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. – Kodeks Cywilny. W tym przypadku może domagać się dodatkowo od właściciela rzeczy zwrotu związanych z tym przechowaniem kosztów. Jednak z reguły znalazca znalezioną rzecz musi przekazać Staroście. Szczególnie wtedy, gdy zgodnie z art. 5 ust. 3 i 4 ustawy, zostaną znalezione pieniądze, papiery wartościowe, kosztowności lub rzeczy o wartości historycznej, naukowej lub artystycznej albo sprzęt wojskowy lub ekwipunek wojskowy. Wówczas taką rzecz musi oddać *„niezwłocznie"*.

Oczywiście w każdym przypadku znalazca ma prawo do znaleźnego. Jeżeli wykona obowiązki opisane w ustawie, zgodnie z jej art. 10 ust. 1 ma prawo żądania *„znaleźnego w wysokości jednej dziesiątej wartości rzeczy."* Pamiętajmy, że istotny dla tego żądania jest czas, miejsce zgłoszenia roszczenia do znaleźnego i wartość znaleziska.

Problem znaleźnego wygląda jedynie inaczej, gdy *„rzecz znaleziona jest zabytkiem lub materiałem archiwalnym i stała się własnością Skarbu Państwa"*. W tym przypadku, na podstawie art. 11 *„znalazcy przysługuje nagroda"*, której wielkość oraz warunki i tryb jej przyznawania określił Minister Kultury i Ochrony Dziedzictwa Narodowego w nowym rozporządzeniu z dnia 2 lipca 2015 r. w sprawie nagród za znalezienie zabytków lub materiałów archiwalnych, obowiązującym od 14.07.2015 r. Zgodnie z jego § 3 ust.1 *„nagrodę pieniężną przyznaje się w wysokości do trzydziestokrotności kwoty przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej w poprzednim roku kalendarzowym, ogłaszanej przez Prezesa Głównego Urzędu Statystycznego, na podstawie art. 20 pkt 1 lit. a ustawy z dnia 17 grudnia 1998 r. o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (Dz. U. z 2015 r. poz. 748)"*. Nato- >>>

PIERWSZE POCIĄGI PANCERNE

Pierwszy opancerzony i uzbrojony tabor kolejowy powstał w połowie XIX w. Użyto go w wojnie secesyjnej 1861-65, gdzie Konfederacja Południa stała się prekursorem w dziedzinie użycia kolei jako bezpośredniego wsparcia pola walki. Następnie opancerzone pociągi użyto m.in. w wojnach austriacko-włosko-pruskiej 1866 i francusko-pruskiej 1870-71. Na szeroką skalę pociągi pancerne zastosowano w czasie I wojny światowej, jednocześnie dopracowano ich konstrukcję jako wyspecjalizowanych wozów bojowych w całości osłoniętych stalowym pancerzem oraz działami umieszczonymi w obrotowych wieżach.

>>> miast zgodnie z § 3 ust. 2, co jest istotnym postępem w stosunku do wcześniej obowiązujących przepisów, wysokość tej nagrody *„nie może być niższa niż jedna dziesiąta wartości materialnej zabytku lub materiału archiwalnego"*, a w przypadku gdy górna granica wysokości nagrody pieniężnej określonej w ust. 1 jest niższa od jednej dziesiątej wartości materialnej zabytku lub materiału archiwalnego, zgodnie z ust. 3 nagrodę pieniężną przyznaje się w wysokości jednej dziesiątej wartości materialnej zabytku lub materiału archiwalnego. Trzeba tutaj podkreślić, że nagrodę przyznaje się wyłącznie wówczas, o czym pisałem wcześniej, jeżeli znalazca zabytku lub materiału archiwalnego uczynił zadość obowiązkom określonym w rozdziale 2 ustawy z dnia 20 lutego 2015 r. o rzeczach znalezionych, a także wówczas, gdy zabytek lub materiał archiwalny posiada znaczną wartość historyczną, artystyczną, naukową lub materialną. W pozostałych przypadkach znalazcy przysługuje tylko dyplom.

Omawianą nagrodę przyznaje Minister Kultury i Ochrony Dziedzictwa Narodowego na wniosek Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków złożony za pośrednictwem Generalnego Konserwatora Zabytków w terminie 2 miesięcy od dnia, w którym znaleziony zabytek stał się własnością Skarbu Państwa. Wcześniej Generalny Konserwator Zabytków dokonuje, przy udziale rzeczoznawcy, oceny wartości historycznej, naukowej i artystycznej oraz oszacowania wartości materialnej znalezionego zabytku. Gdy nagroda dotyczy znalezienia materiału archiwalnego, jest przyznawana na wniosek dyrektora archiwum państwowego złożony za pośrednictwem Naczelnego Dyrektora Archiwów Państwowych.

JAK UZYSKAĆ ZNALEŹNE LUB NAGRODĘ

Wracając do przepisów ustawy o rzeczach znalezionych należy także wiedzieć, że zgodnie z art. 15 tej ustawy to na Staroście spoczywa obowiązek odnalezienia *„osoby uprawnionej do odbioru znalezionej rzeczy"*. Pod tym pojęciem kryje się właściciel rzeczy lub jego spadkobierca lub jego następca prawny. Tak więc każdy, kto będzie rościł sobie pretensje do odnalezionych rzeczy, będzie musiał wykazać tytuł własności pierwotnego, wojennego właściciela, a następnie udowodnić swoje prawa do majątku – spadku po tej osobie. To oczywiście zdecydowanie oddali moment wypłacenia ewentualnego znaleźnego. Sprawa byłaby oczywiście szybciej załatwiona, gdyby właścicielem znalezionych rzeczy został Skarb Państwa Rzeczypospolitej Polskiej.

GDYBY W „ZŁOTYM POCIĄGU" BYŁO ZŁOTO

Muszę tutaj napisać jeszcze o jednym problemie nie dostrzeganym w dyskusjach. Zgodnie z art. 21.ust. 5 omawianej ustawy, w przypadku znalezienia rzeczy ze złota, platyny, srebra, kamieni szlachetnych, wyrobów użytkowych ze złota czy srebra, starosta przechowuje je *„zabezpieczone w kasie pancernej, w skrytce sejfowej lub niezwłocznie oddaje na przechowanie bankowi."* I tutaj zadaję sobie pytanie – jaka kasa w Starostwie pomieści złoto, platynę czy inne skarby chociażby z jednego wagonu, a także któremu bankowi damy je na przechowanie. Czy temu z kapitałem hiszpańskim, czy włoskim, a może polskim? Należy także zapytać – jaki bank – jego oddział, czy centrala dysponuje stosownej wielkości i do tego pustym sejfem?

Łatwiejsza sytuacja jest w przypadku znalezienia zabytków czy materiałów archiwalnych. Zgodnie z art. 24 ustawy wojewódzki konserwator zabytków oddaje je na przechowanie właściwemu ze względu na rodzaj rzeczy znalezionej muzeum państwowemu lub samorządowemu, bibliotece albo archiwum państwowemu. Następnie po tym, jak Skarb Państwa stanie się ich właścicielem, instytucje te nabywają do nich prawo własności. O takich sytuacjach „Odkrywca" pisał już wielokrotnie.

Omawiając przepisy prawne, które mogłyby mieć ewentualnie zastosowanie w przypadku znalezienia „złotego pociągu" należy także przypomnieć obowiązujące uregulowania umieszczone w Kodeksie Cywilnym, którego art. 187 ust. 2, mówi, że *„rzecz znaleziona będąca zabytkiem lub materiałem archiwalnym po upływie terminu do jej odebrania przez osobę uprawnioną staje się własnością Skarbu Państwa."*

Spekulując o zawartości ładunku „złotego pociągu" pisze się, że może składać się na niego ładunek złota, platyny, dzieła sztuki, archiwalia, nowatorskie bronie. Ważne będzie po ich znalezieniu, jak powyżej opisuję, ustalenie właścicieli znalezionych skarbów i czy osoby zgłaszające do niego roszczenia będą w stanie wykazać dowody swojej własności. Samo stwierdzenie – jestem właścicielem – bez dowodów tego prawa, będzie bezskuteczne. Natomiast, jeżeli prawo własności dana osoba udowodni, jest oczywiste, że rzecz znaleziona powinna zostać jej wydana. Dotyczy to zarówno obywateli Polski, jak i innych krajów. Niewątpliwym utrudnieniem będzie

Wykarczowany teren w pobliżu 65 km. Czy uda się tu odnaleźć słynny na cały świat pociąg?

ustalenie spadkobierców, bowiem wielu właścicieli wraz z rodzinami zginęło w czasie drugiej wojny światowej. W przypadku obywateli Polski, w tym narodowości żydowskiej, jeżeli właściciel rzeczy nie pozostawił spadkobierców, jego spadkobiercą będzie oczywiście Skarb Państwa. Podobne postępowanie będzie dotyczyło prawa własności zgłaszanym np. przez różne instytucje – muzea, banki z państw okupowanych przez Niemcy.

Inna sytuacja wystąpi wyłącznie w przypadku zgłaszania roszczeń przez obywateli Niemiec i instytucji z tego kraju. Musimy tutaj pamiętać o przepisach ustawy z 6 maja 1945 r. o majątkach opuszczanych i porzuconych oraz o dekrecie z dnia 8 marca 1946 r. o majątkach opuszczonych i poniemieckich, który stanowił w art. 2 ust.1, że wszelki majątek (ruchomy i nieruchomy) Rzeszy Niemieckiej i byłego Wolnego Miasta Gdańska i ich obywateli przeszedł z mocy prawa na własność Skarbu Państwa Rzeczypospolitej Polskiej. Sytuacja obywatela niemieckiego będzie korzystniejsza tylko w przypadku, gdy wykaże, że był ofiarą III Rzeszy.

W przypadku znalezienia archiwaliów, to zapewne zgodnie z treścią art. 15. 1. ustawy z dnia 14 lipca 1983 r. o narodowym zasobie archiwalnym i archiwach będą mogły one zostać uznane za wchodzące do państwowego zasobu archiwalnego. Ponieważ niewątpliwie od ich wytworzenia upłynęło więcej niż 50 lat, na podstawie art. 14 lit. a tej ustawy, zastosowanie będą miały odpowiednio przepisy rozdziału 6 ustawy z dnia 23 lipca 2003 r. o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami. Trzeba także pamiętać, że art. 64 ust. 3 tej ustawy pozwala na restytucję zarówno dokumentu, jak i zabytku, jeżeli państwo z terytorium którego zostały wywiezione niezgodnie z prawem, uznało je, przed lub po dokonaniu wywozu, za zabytki o szczególnym znaczeniu dla własnego dziedzictwa kulturowego.

fot.archiwum redakcji

Oczywiście zawsze należy się liczyć z różnymi roszczeniami do znalezionych rzeczy różnych osób fizycznych, instytucji, organizacji, jak również państw, które będą zgłaszać swoje prawa własności. Muszę jednak przypomnieć, że roszczenia może mieć każdy. Będą one uzasadnione wyłącznie wówczas, gdy prawo własności zostanie prawidłowo udowodnione. Zapewne wiele roszczeń trafi do Sądu, który podejmie ostateczne decyzje.

Omówione powyżej przepisy obowiązują w chwili obecnej. W marcu tego roku, kiedy to „znalazcy" mieli zgłosić się z informacją o „złotym pociągu" do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, nie obowiązywały cytowane powyżej regulacje – ustawa o rzeczach znalezionych i nowe rozporządzenie Ministra Kultury i Ochrony Dziedzictwa Narodowego w sprawie nagród za znalezienie zabytków lub materiałów archiwalnych. Obowiązujące wówczas przepisy, moim zdaniem były zdecydowanie mniej korzystne dla znalazców.

Analizując zaistniałą sytuację i obowiązujące przepisy uważam, że zawarcie umowy ze Skarbem Państwa przez osoby, które zjawiły się w Urzędzie Miasta Wałbrzychu z informacją o „złotym pociągu", jest dla nich niezbędną gwarancją otrzymania wynegocjowanego wynagrodzenia. W innym przypadku powstaje dosyć oczywisty problem z ich skutecznym roszczeniem do znaleźnego.

Trzeba także podkreślić, że zgodnie z powyżej omawianymi przepisami znaleźnego możemy się domagać wyłącznie od właściciela znalezionej rzeczy i że należy się ono wyłącznie znalazcy. Dlatego osoba, która ujawni informację o miejscu schowania rzeczy, nie może się domagać znaleźnego. Może mieć jedynie roszczenie do znalazcy o podzielenie się z nim jego kwotą. Moim zdaniem będzie to roszczenie w pełni uzasadnione. Jest przecież oczywiste, że bez informacji o skarbie, faktyczny odkrywca – znalazca nie podjąłby prac poszukiwawczych i w efekcie nie doszłoby do jego odnalezienia. Jak zawsze ugoda w tej sprawie pozwoli szybko zamknąć sprawę. W innym przypadku pozostanie droga sądowa.

Na tym tle powstają także problemy, o których należy pamiętać, związane z pokryciem kosztów prowadzenia prac poszukiwawczych i zabezpieczania znaleziska – skarbu. Te koszty mogą być w niejednym przypadku nawet wyższe od ewentualnego znaleźnego. Jest też oczywiste, że bez ich poniesienia, informacja o skarbie nie zostałaby nigdy zweryfikowana. Do tego zauważyć należy ryzyko, jakie podejmuje inwestor tych prac. Może bowiem się zdarzyć, że nic nie zostanie znalezione, bo informacja była nieprawdziwa. Do tych sytuacji aktualne są też wywody zawarte w akapicie powyżej. <

Marek Dudziak

Prawnik, założyciel miesięcznika „Odkrywca", tropiciel skarbów i tajemnic, podróżnik – należy do Klubu Siedmiu Kontynentów.

DRUGI (TAK!) ZŁOTY POCIĄG

LESZEK ADAMCZEWSKI

Krótka historia najcenniejszych, ale i niestety mitycznych skarbów w Polsce

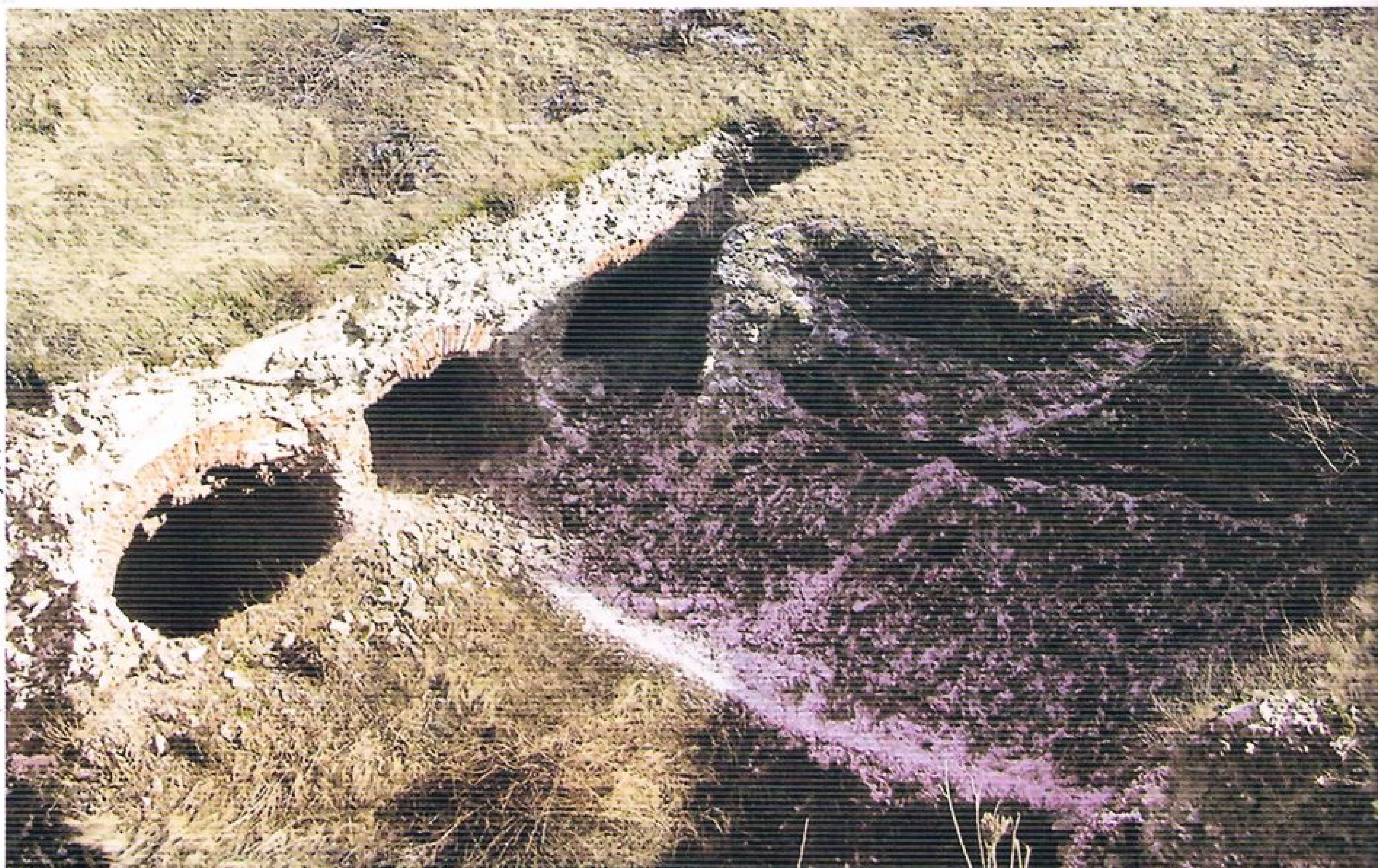

fot.archiwum redakcji (3)

Gdy w środę, 19 sierpnia 2015 roku, jechałem do mojej (przed emeryturą) redakcji „Głosu Wielkopolskiego", która poprosiła mnie o krótką rozmowę na temat „złotego pociągu", nie wiedziałem jeszcze, że lada dzień wokół tego tematu rozpęta się wręcz światowa wrzawa. Wokół tematu, a nie znaleziska, bo na razie (a słowa te piszę 7 września) niczego nie znaleziono. Od momentu opublikowania pierwszych informacji o złotym pociągu nie miałem nawet cienia wątpliwości, że go nie było i nie ma.

Takiej pewności nie miałem jednak dwadzieścia kilka lat temu, gdy we wspomnianym „Głosie Wielkopolskim", a później w wydanej w 1995 roku książce „Milczące ślady", obszernie pisałem o pociągu, który pod koniec drugiej wojny światowej wyjechał z Świebodzic w kierunku Wałbrzycha i nie dotarł do najbliższej stacji na tej linii, czyli do Wałbrzycha Szczawienka [o tej linii więcej piszemy w artykule na str. 22-27 – przyp. red.]. Ale już wtedy w kontekście tego pociągu padały słowa „ponoć" lub „rzekomo", bo nie miałem pewności, że to, o czym od lat opowiadał Tadeusz Słowikowski, jest prawdą. Podczas dwukrotnych pod koniec XX wieku wizyt w wałbrzyskim mieszkaniu pana Tadeusza upewniłem się, że on święcie wierzy w ukryty pociąg. I że ta wiara udziela się rozmawiającym z nim osobom. Ja od początku byłem sceptyczny, chociaż nie wykluczałem, że jakiś pociąg mógł zostać koło Wałbrzycha ukryty.

W pierwszych informacjach o ukrytym pociągu, które dotarły do mnie w czasach transformacji ustrojowej (a więc w latach 1989–1991) mowa była jednak nie o skarbach, lecz o pojemnikach z trującym gazem, które rzekomo miał wieźć ów pociąg. I była to informacja mająca cień prawdopodobieństwa, bo Niemcy panicznie bali się, że gdy zapasy produkowanego w niedalekim Dyhrenfurcie (Brzegu Dolnym) broni chemicznej

dostaną się w ręce czerwonoarmistów, to gaz ten wykorzystają oni przeciwko cywilnej ludności Dolnego Śląska. I mimo wszystko ta hipoteza – według mnie – nadal ma cień prawdopodobieństwa. Cień tylko.

INNE ZŁOTE SKARBY

Dopiero później pojawiło się mityczne złoto Wrocławia. Stało się to za sprawą byłego oficera wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa PRL majora Stanisława Siorka, który w dziesiątkach miejscowości dolnośląskich widział ukryte depozyty cywilnej ludności Breslau oraz miejscowych banków i sklepów jubilerskich, czyli właśnie złoto Wrocławia. Swe nadzieje Siorek wiązał przede wszystkim z Lubiążem, ale i ukryty pod Wałbrzychem pociąg nęcił. Jego sugestię natychmiast podchwycili szukający skarbów wałbrzyszanie.

Mimo, że żyję już dość długo, nie pamiętam, by poszukiwaniom jakichś mniej lub bardziej mitycznych skarbów towarzyszyło takie zainteresowanie dziennikarzy, samorządowców i polityków z jednej strony, a z drugiej dziesiątków tysięcy ludzi nie tylko z Polski. Podejrzewam, że zdecydowana większość z nich naprawdę wierzy, że gdzieś pod Wałbrzychem znajduje się wielki skarb.

Takiego skarbu w ostatniej dekadzie XX wieku szukano w masywie góry Sobiesz koło podjeleniogórskich Piechowic, ale ten trop, który zainteresował polityków z koalicji SLD-PSL, nie przebił się do szerokiej opinii publicznej. Może dlatego, że w Polsce nie ukazywały się jeszcze typowe tabloidy? A przecież gdzieś w górze Sobiesz miał stać też złoty pociąg. Jego poszukiwania w 1997 roku, na które wydano majątek, zakończyły się niczym. Rozryto niemal pół góry i niczego nie znaleziono.

Krótko przedtem Bursztynowej Komnaty lub jakichś innych skarbów przywiezionych z Königsberga (Królewca) szukano w Pasłęku koło Elbląga. I tam rozryto znaczną część wzgórza zamkowego, ale te prace eksploracyjne doprowadziły tylko do odkryć archeologicznych. Na hitlerowskie skarby się nie natknięto....

SKARBOWA MAPA POLSKI

> Bursztynowa Komnata była poszukiwana w wielu miejscach w Polsce, m.in. w Pasłęku

> Twierdza Srebrnogórska od kilkudziesięciu lat rozbudza wyobraźnię wielu poszukiwaczy

Na początku XXI wieku swe kilkuletnie starania o przeprowadzenie legalnej akcji poszukiwawczej w twierdzy srebrnogórskiej na Dolnym Śląsku sfinalizował Włodzimierz Antkowiak z Torunia. Dysponował on nie tylko wiarygodnymi relacjami Niemców mieszkających kiedyś w Silberbergu (Srebrnej Górze) o przejeździe przez miasteczko kolumny samochodów i głuchych odgłosach detonacji dochodzących od strony starych fortów twierdzy, ale także obiecującymi – jak mu się wydawało – wynikami badań georadarowych. Skarbów nie znaleziono.

W czasach Polski Ludowej tylko wybrani dziennikarze mogli opisywać poszukiwania pohitlerowskich skarbów. Tak było choćby w Dzikowie koło Górowa Iławeckiego czy w rejonie Spały, gdzie prawie pół wieku temu szukano Bursztynowej Komnaty. Niczego nie znaleziono. Niczego nie znaleźli też poszukiwacze ze specjalnej wojskowo-milicyjnej grupy szukającej ukrytych przez nazistów skarbów na Dolnym Śląsku w latach 80. XX wieku.

Teraz mamy kolejny złoty pociąg, o którym na przełomie sierpnia i września kilku stacjom telewizyjnym proszącym mnie o wypowiedź w tej sprawie, powiedziałem krótko: to mit! Nie świadczy to wcale, że przy linii kolejowej na odcinku Świebodzice – Wałbrzych Szczawienko niczego nie ma...

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. Najnowsza pozycja tego Autora to „Zejście do piekieł" wydana nakładem Repliki.

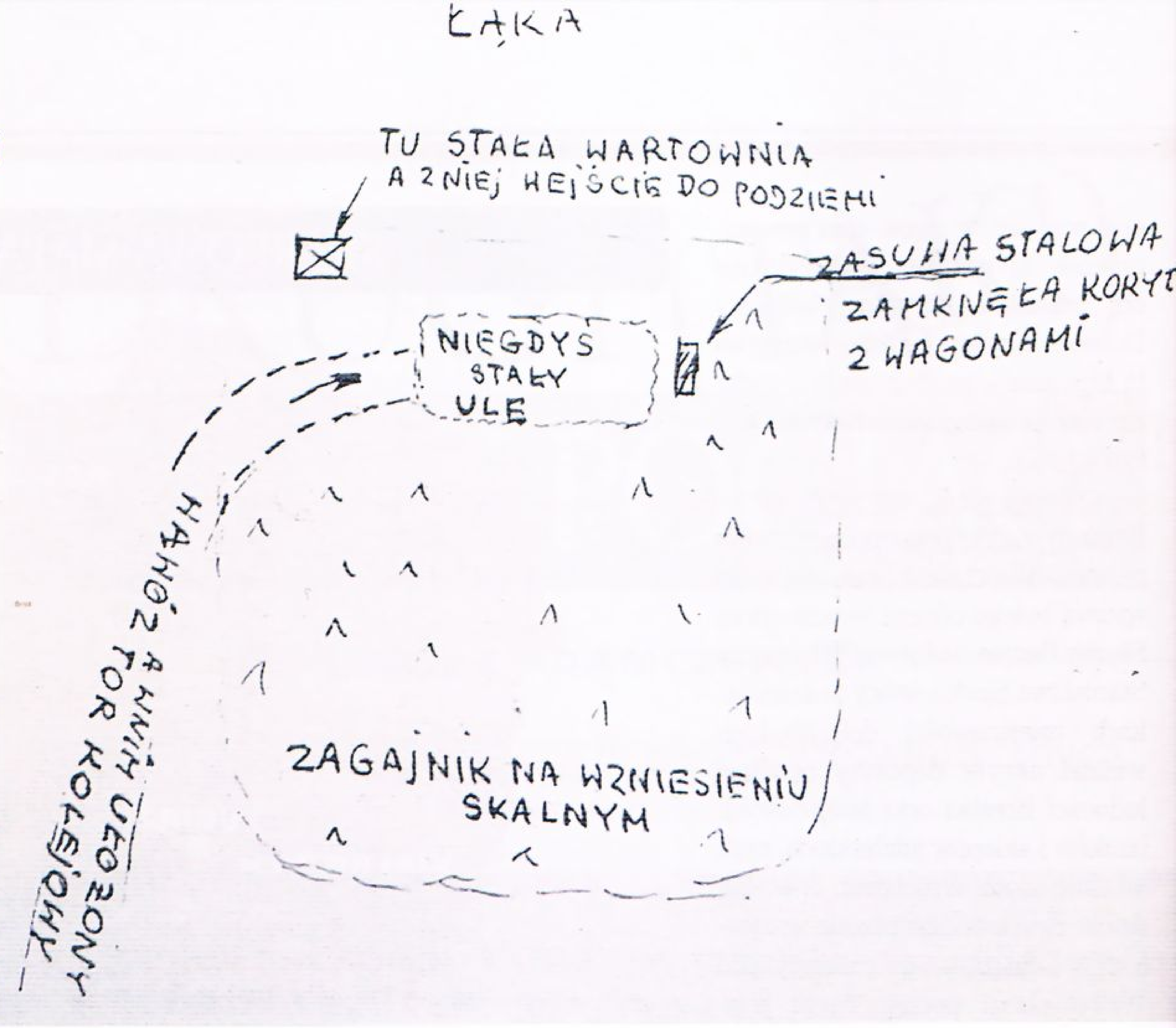

rys. Archiwum Ministerstwa Finansów

PRAWDZIWY „ZŁOTY POCIĄG"

KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI

Podczas gdy prawie cały świat emocjonuje się informacją o odnalezieniu „złotego pociągu" pod Wałbrzychem, warto zauważyć, że nazwa ta zarezerwowana jest od lat 90. dla zgoła innego, choć równie sensacyjnego i budzącego emocje obiektu.

Na początku października 1994 roku do Stanisława Żelichowskiego, ówczesnego Ministra Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa zgłosił się przedsiębiorca z podwarszawskiego Raszyna Władysław Podsibirski z nietypową sprawą. Twierdził, że *„jest w posiadaniu informacji i dokumentów, dotyczących znacznej wartości mienia, pochodzącego z okresu II wojny światowej"*. Owe informacje musiały wywrzeć właściwe wrażenie na ministrze, który oświadczył na piśmie, że *„Pan Podsibirski ma prawo do znaleźnego zagwarantowane w przepisach art. 186 i 189 kodeksu cywilnego"*, znane także jako prawo „do znaleźnego". Minister zawarł w swoim oświadczeniu specjalną klauzulę, która uzależniała ważność oświadczenia od tego, czy Pan Podsibirski *„wskaże miejsce złożenia w/wym mienia oraz przekaże dokumentację, a także pod warunkiem, że przekazane informacje okażą się prawdziwe i pomocne w odnalezieniu mienia"*. Przekazanie dokumentacji miało nastąpić do dnia 24 października 1994 roku, co miało zostać potwierdzone osobnym dokumentem. Kto mógł się domyślać, że sprawa, która rozpoczęła się od tak mocnego akcentu, nie zostanie rozwiązana przez następne długie lata. Co ciekawe, sprawa wciąż żyje, ponieważ korespondencja pomiędzy jej stronami trwa… aż po dziś.

USTALENIA „ODKRYWCY"

Według ustaleń mojej redakcyjnej koleżanki Izabeli Kwiecińskiej i kolegi Piotra Maszkowskiego, które zostały opisane w „Odkrywcy" 9 lat temu (nr 12/2006), sprawcą całego zamieszania miał być Henryk G., mieszkaniec Kielc i jedyny rzekomo posiadacz oryginalnego kompletu dokumentów. Podsibirski twierdził, że cennych dokumentów szukał w Niemczech, Kanadzie i Boliwii, ale odnalazł je dopiero w polskich Kielcach. *„Dokumenty zostały przejęte od córki wdowy wysokiego funkcjonariusza III Rzeszy stacjonującego w Petersdorfie"* pisał w jednym ze swoich opracowań. Petersdorf to oczywiście Piechowice, sudecka miejscowość leżąca w pobliżu Jeleniej Góry na Dolnym Śląsku. Wersja ustalona przez Kwiecińską i Maszkowskiego była bardziej banalna, co nie znaczy, że mniej ciekawa. „»Kielczanin« [Henryk G. – dop. autora] miał być zaopatrzeniowcem z Piechowic, który przywoził części z Raszyna, firmy Podsibirskiego. Przez lata panowie zaprzyjaźnili się, a wspólną ich pasją były opowieści o nieprzebranych bogactwach ukrytych na Dolnym Śląsku, m.in. w Górze Sobiesz, o których „Kielczanin" wiedział bardzo dużo. Na temat tego, kim był Henryk G. powstało kilka bardziej lub mniej sensacyjnych teorii, począwszy od tego, że

„był to jeden ze strażników SS, chroniący pociągi do Piechowic", do wersji, że był to tzw. *„strażnik, członek Hitlerjugend"*, który widział moment ukrycia skarbu. Nie próbując rozstrzygnąć tej zagadki, dodam tylko, że Henryk G. był przesłuchiwany przez oficerów Urzędu Ochrony Państwa, którzy ocenili bardzo nisko wiarygodność jego informacji.

„W GÓRZE SOBIESZ UKRYTO 51 WAGONÓW ZŁOTA"

Sam Władysław Podsibirski inaczej opisuje początek swoich poszukiwań. W aktach jego sprawy, do których dotarłem w Ministerstwie Finansów, znajduje się jego własna wersja zdarzeń. *„W dniu 5 marca 1977 roku dokonałem pierwszej zapłaty w kwocie 100 tysięcy złotych za informację związaną z lokalizacją ukrytych zawłaszczeń EUROPY, AFRYKI z depozytami banków okupanta (...). Przez wiele lat wędrowałem trudną i kosztowną drogą przez Górny, Dolny Śląsk i nie tylko, a środki finansowe pobierałem między innymi z mojego prowadzonego przedsiębiorstwa produkcyjnego. W 1998 roku wszedłem w posiadanie informacji, że Niemcy w obszarze około 1000 hektarów, gdzie w skład wchodziło siedem gór: Ostrosz, Sobiesz, Młynik, Piechowickie Wzgórza, Grzybowiec, Sośnik, Trzemielak pomiędzy Sobieszowem a Michałowice, Piechowice a Jagniątków – ukryli dobra materialne na głębokości od 10 m do 180 m"*. Podsibirski podawał dość precyzyjne informacje, co do zawartości ukrytych dóbr. *„(...) W górze Sobiesz [ukryto] 51 wagonów złota, ponad 10m2 brylantów, w 13 skrzyniach obrazy z Luwru, w 11 skrzyniach komnata bursztynowa, w 9 dużych halach zapełnione i 6 transportów kolejowych w tym GERINGA* [pisownia oryginalna – dop. autora]". W 1992 roku Podsibirski odwiedził Jerzego Nalichowskiego, ówczesnego wojewodę jeleniogórskiego. Okazuje

„Zagadkowa" lokalizacja na górze Sobiesz koło Piechowic z opisem Podsibirskiego. Dokładnie w tym miejscu Mirosław Figiel „zlokalizował" „złoty pociąg" w grudniu 2012 roku. Archiwum Ministerstwa Finansów.

się, że jego także namawiał do zawarcia umowy o nagrodę, jednakże *„wojewoda na spotkaniu oświadczył, że mimo posiadanych planów sprawa go nie interesuje. Być może oświadczenie było podyktowane tym, że wcześniej syn kapitana SS z płk wysokiego wzrostu z U.O.P. »obrobili« 2 wagony z zawartością złota ukryte w g. Ostrosz (...)"*. Następnie Podsibirski opisuje dalsze spotkania i rozmowy z kolejnymi urzędnikami, aż do spotkania z Ministrem Żelichowskim, do którego doszło w 1994 roku. Zdaniem Podsibirskiego minister miał *„poprosić o wskazanie terenu. Zgodnie z życzeniem ministra Żylichowskiego [pisownia oryginalna] dyrektor gabinetu umówiła mnie na wycieczkę do Piechowic, aby ministrowi wskazać lokalizację ukrytych dóbr. Po wizycie w terenie Minister upoważnił dyrektora gabinetu, aby z grupą geologiczną przeprowadził badania w terenie"*. Po przeprowadzeniu badań Minister Żelichowski zdecydował się na wydanie oświadczenia, które przytoczyłem na wstępie mojego materiału.

MINISTER, KTÓRY ZARZUCA PAZERNOŚĆ

9 maja 1995 roku Minister Finansów Grzegorz Kołodko, reprezentowany przez dyrektora generalnego w randze wiceministra Jana Bogutyna, podpisał umowę w głównych założeniach opartą o warunki określone w oświadczeniu Żelichowskiego. Ciekawą interpretację tych wydarzeń przedstawia sam Władysław Podsibirski. *„Prawnicy sporządzili umowę z nagrodą dla znalazcy 30% od wartości pozyskanych dóbr i 20% na sfinansowanie inwestycji w Polsce. Umowa była sporządzona na miarę państwa praworządnego, gdzie przy redagowaniu była dobra wola urzędnika bez uczucia zazdrości (...) Umowa rozbudziła zazdrość finansową u wicepremiera prof. Kołodko (wnuk gen. Rommla), ponieważ znalazca byłby zbyt bogaty, jak na warunki polskie. Wicepremier projekt na zawarcie umowy zabrał i narzu-* >>>

Fragment szkicu opracowanego przez Władysława Podsibirskiego w październiku 1998 r. Miejsce przedstawia rejon Piechowic koło Jeleniej Góry. Archiwum Ministerstwa Finansów.

rys. Archiwum Ministerstwa Finansów

>>> *cił swój styl! (...) W godzinnej rozmowie Kołodko zarzucał mi, że jestem pazerny i wyraziłem zgodę na najniższą nagrodę w wysokości 10% bez podatku".*

URZĄD OCHRONY PAŃSTWA WERYFIKUJE

Dalej nastąpiły wydarzenia, które trudno jest jednoznacznie ocenić. Pewne jest, że strona rządowa przystąpiła do poszukiwań, co przyznał w rozmowie telefonicznej ze mną dr Jan Bogutyn, co również potwierdza sam Podsibirski. Pewne jest także, że Urząd Ochrony Państwa otrzymał zadanie zweryfikowania historii, jak i samej osoby Władysława Podsibirskiego. O tego rodzaju działaniach wspomniał płk Jan Lesiak, oficer UOP, posiadacz najbardziej znanej szafy III RP, w wywiadzie udzielonym Kwiecińskiej i Maszkowskiemu. *„Poszliśmy po tropach źródeł pana Podsibirskiego i mieliśmy wrażenie, że raczej mówiono mu to, co chciał usłyszeć, a nie to, co rzeczywiście miało miejsce. Miały być niemieckie zestawienia i mapy, były niestety własnoręczne szkice Podsibirskiego, które miały być tworzone na podstawie oryginalnej dokumentacji... Tej jednak nikt nie widział".* Zgoła odmiennie przedstawia tą sytuację sam przedsiębiorca z Raszyna. *„Od stycznia 1995 do maja 1995 sekretarz stanu dr Bogutyn z gen. Czempińskim* [szef UOP – dop. autora] *intensywnie pracowali, aby odebrać nam posiadane plany".* Dziwić musi w tym miejscu upór Podsibirskiego, który chwilę wcześniej zadeklarował i zobowiązał się do przekazania tychże planów. *„Akcja zawłaszczenia planów nie powiodła się! Posiadacz planów oświadczył funkcjonariuszom UOP, że plany są ukryte u brata w Cieplicach, Jelenia Góra. W tych okolicznościach płk Lesiak wręczył swoją wizytówkę Henrykowi G.* [wspomniany wcześniej »Kielczanin« – dop. autora] *i nakazał dostarczyć plany do UOP w Warszawie".* Dalej Podsibirski stwierdził, że *„zabezpieczył plany"* i z tego powodu *„dwa razy w tygodniu do mojej willi w Raszynie samochodem służbowym był podwożony ppłk Hruszka* [oficer UOP – dop. autora], *na kawę rzekomo dobrze parzoną, choć była rozpuszczalna. Przyjazd był poprzedzony telefonem, a ja ukrytą kamerą nagrywałem (...). Pod koniec kwietnia 1995 roku ppłk Hruszka oświadczył mi, że napisze raport do ministra Bogutyna, że przejęcie planów od Podsibirskiego jest rzeczą niemożliwą".*

To ostatnie wydarzenie potwierdził płk Lesiak. *„Sporządziliśmy raport dla Kołodki, w którym napisaliśmy, że informacje dotyczące skarbu są mało wiarygodne i na tym etapie zakończyliśmy oficjalną część. Mieliśmy jednak świadomość, że gdybyśmy się pomylili i dopuścili do końca temat, to konsekwencje byłyby znaczne... W związku z tym staraliśmy się monitorować sytuację, zbieraliśmy informacje".* Ostatecznie Podsibirskiemu zaczęli pomagać prywatni inwestorzy, kuszeni przez niego wizjami ton złota ukrytego pod górą Sobiesz, którzy przez szereg lat sponsorowali przeróżne badania geodezyjne i ziemne w okolicy Piechowic, ponosząc nierzadko olbrzymie koszty. Nie było tajemnicą, że w pewnym momencie na górze Sobiesz tajemniczego transportu szukała nie jedna, a dwie niezależne ekipy i to na przeciwległych zboczach. W poszukiwaniach pociągu ze złotem zaangażowany był m.in. Ryszard Wójcik, dziennikarz z Warszawy, który przygotowywał film o poszukiwaniach Podsibirskiego. Swoją relację zawarł w książce „Łowcy skarbów" z 1997 roku i przyznać trzeba, momentami jego relacja jest naprawdę dramatyczna. *„(...) Podsibirski wszedł na łąkę i zaczął rękami oddzierać darń, zachowywał się wariat. W kadrze naszej kamery pojawiła się nagle krawędź betonowej budowli. Stanęliśmy kręgiem wokół pana Władysława. Patrzyliśmy, jak*

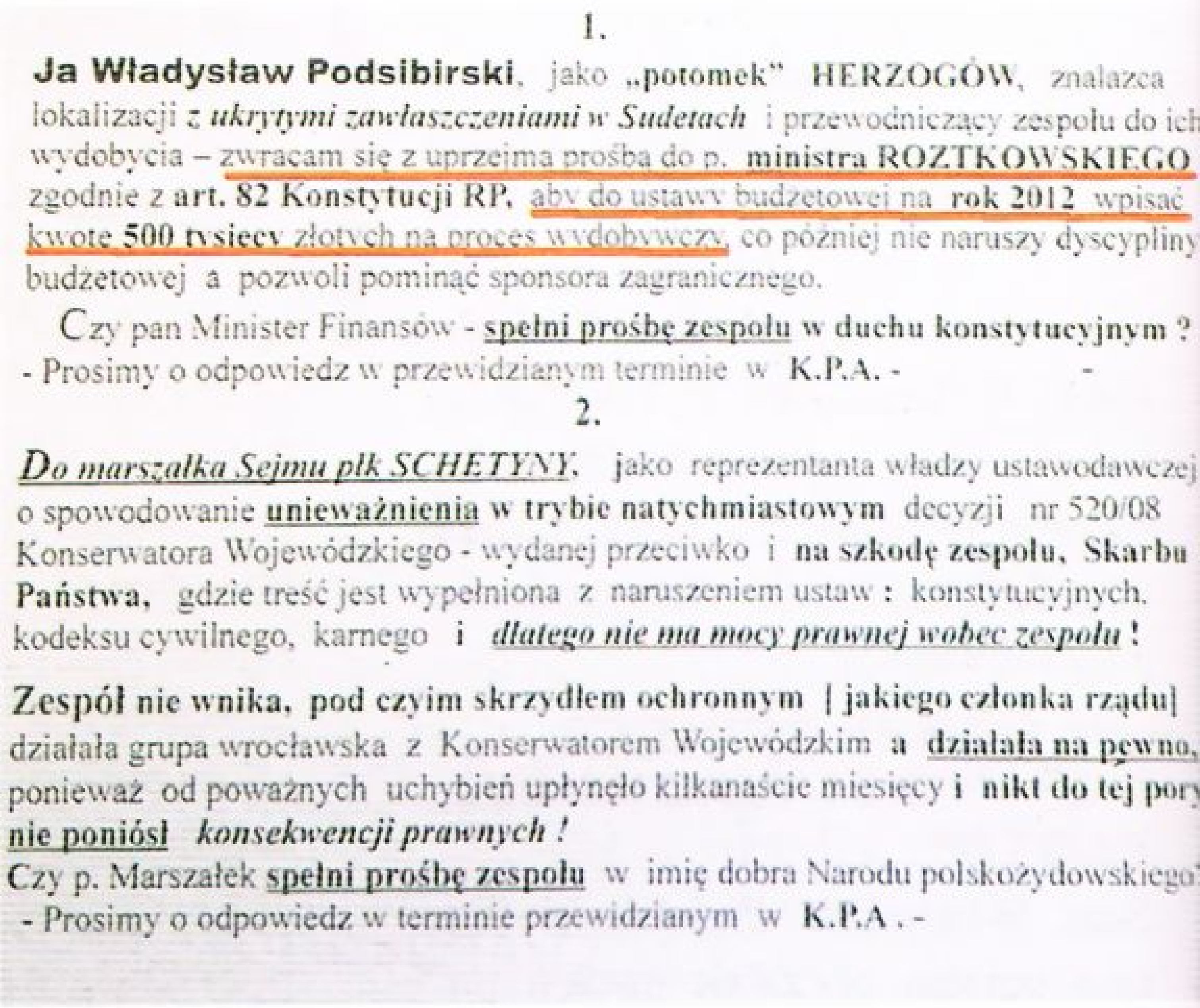

1.

Ja Władysław Podsibirski, jako **„potomek" HERZOGÓW**, znalazca lokalizacji *z ukrytymi zawłaszczeniami w Sudetach* i przewodniczący zespołu do ich wydobycia – zwracam się z uprzejma prośba do p. **ministra ROZTKOWSKIEGO** zgodnie z **art. 82 Konstytucji RP**, aby do ustawy budżetowej na **rok 2012** wpisać kwotę **500 tysięcy** złotych na proces wydobywczy, co później nie naruszy dyscypliny budżetowej a pozwoli pominąć sponsora zagranicznego.

Czy pan Minister Finansów - **spełni prośbę zespołu w duchu konstytucyjnym ?**

- Prosimy o odpowiedz w przewidzianym terminie w **K.P.A.** -

2.

Do marszałka Sejmu płk SCHETYNY, jako reprezentanta władzy ustawodawczej o spowodowanie **unieważnienia w trybie natychmiastowym** decyzji nr 520/08 Konserwatora Wojewódzkiego - wydanej przeciwko i **na szkodę zespołu, Skarbu Państwa,** gdzie treść jest wypełniona z naruszeniem ustaw : konstytucyjnych, kodeksu cywilnego, karnego **i** ***dlatego nie ma mocy prawnej wobec zespołu*** !

Zespół nie wnika, pod czyim skrzydłem ochronnym [jakiego członka rządu] działała grupa wrocławska z Konserwatorem Wojewódzkim **a działała na pewno,** ponieważ od poważnych uchybień upłynęło kilkanaście miesięcy **i nikt do tej pory nie poniósł** ***konsekwencji prawnych !***

Czy p. Marszałek **spełni prośbę zespołu** w imię dobra Narodu polskożydowskiego?

- Prosimy o odpowiedz w terminie przewidzianym w **K.P.A .** -

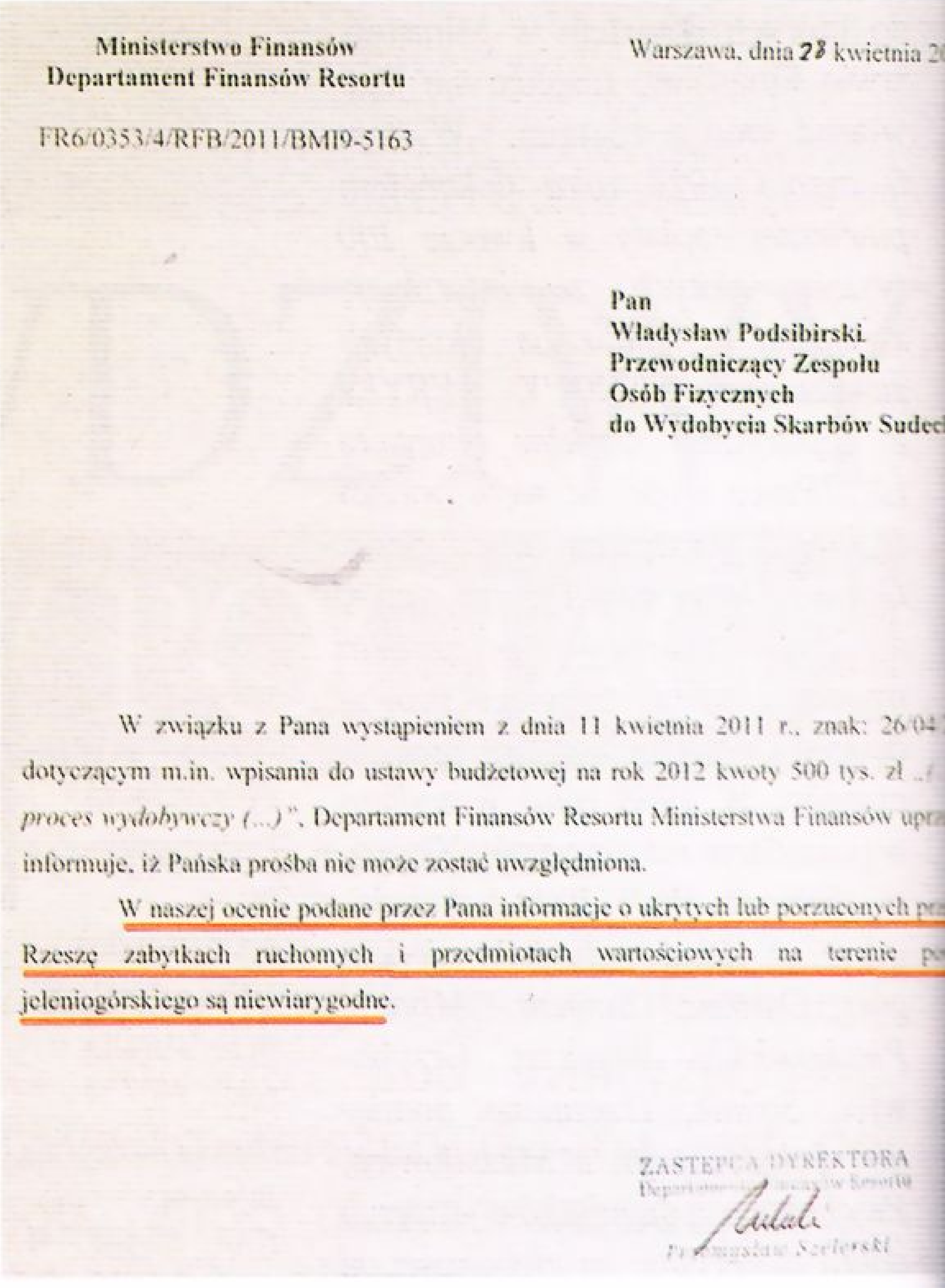

Ministerstwo Finansów
Departament Finansów Resortu

Warszawa, dnia ***23*** kwietnia 20

FR6/0353/4/RFB/2011/BMI9-5163

Pan
Władysław Podsibirski
Przewodniczący Zespołu
Osób Fizycznych
do Wydobycia Skarbów Sudec

W związku z Pana wystąpieniem z dnia 11 kwietnia 2011 r., znak: 26/04 dotyczącym m.in. wpisania do ustawy budżetowej na rok 2012 kwoty 500 tys. zł „ *proces wydobywczy (...)"*, Departament Finansów Resortu Ministerstwa Finansów upr informuje, iż Pańska prośba nie może zostać uwzględniona.

W naszej ocenie podane przez Pana informacje o ukrytych lub porzuconych pr Rzeszę zabytkach ruchomych i przedmiotach wartościowych na terenie p jeleniogórskiego są niewiarygodne.

ZASTĘPCA DYREKTORA
Departamentu Finansów Resortu
Przemysław Szelerski

Korespondencja W. Podsibirskiego z Marszałkiem Sejmu i Ministrem Finansów z kwietnia 2011 r. Archiwum Ministerstwa Finansów

chwyta rękami kępy traw, kopie butami bryły darni, odrzuca je na bok i drapie paznokciami beton. Wariat. Świadkowie też zwariowali. Zwariowana historia".

Pomijając ów plastyczny opis, Władysław Podsibirski do dziś jest uważany za postać, delikatnie rzecz ujmując, niezwykle kontrowersyjną. Jest autorem dziesiątków pism adresowanych do najwyższych urzędów w Polsce, z ambasadorami obcych krajów włącznie, peł-

nych załączników, szkiców i zdjęć. Język i forma tych trudnych do określenia jeśli chodzi o wartości dokumentów są bardzo charakterystyczne – Podsibirski używa licznych pogrubień, podkreśleń, wykrzykników i odwołań, wyraża odważne lecz często niesprawdzalne opinie (np. rzekomy nasłuch jego posiadłości prowadzony przez UOP lub próbę zamachu na życie przy pomocy potrącenia samochodem), załącza odręcznie wykonane plany o dużym stopniu szczegółowości, które jednak często rażą infantylnością czy niekonsekwencją. Ostatnie pisma, które wpłynęły od Podsibirskiego do Ministerstwa Finansów pochodzą z 2015 roku, tak więc jego walka o „złoty pociąg" trwa już bez mała 38 lat.

99% PEWNOŚCI, ŻE JEST

W ostatnich latach schedę po Podsibirskim przejął Mirosław Figiel, były pełnomocnik wojewody dolnośląskiego do spraw poszukiwania ukrytych dóbr kultury. Po wielu latach milczenia, Figiel wystąpił w grudniu 2012 roku w NTV [Niezależnej Telewizji – dop. autora] z zaskakującym oświadczeniem. *„Wiem, gdzie jest »złoty pociąg«. To jest miejscowość Piechowice, przy drodze, w odległości 400 metrów od istniejącej linii kolejowej. Wracamy z kolegami z terenu, byliśmy w tą niedzielę w miejscu, gdzie jest wlot tego tunelu. Możemy teraz powiedzieć wyraźnie: to jest miejsce, które po niewielkim nakładzie kosztów, środków i sprawdzeniu może być 100-procentową gwarancją, że jest tam »złoty pociąg«".* Dopiero pisząc ten artykuł zauważyłem, że wypowiedziane przez Figla zdanie to prawdziwy podrzędnie złożony majstersztyk (polecam przeczytać jeszcze raz), który można porównać do niedawnej wypowiedzi Generalnego Konserwatora Zabytków Piotra Żuchnowskiego o jego 99-procentowej pewności co do „złotego pociągu" pod Wałbrzychem. *„Chcę, by te informacje służyły czemuś większemu, nie tylko wzbudzeniu krótkotrwałej sensacji. Mamy tę tajemnicę, proszę ją sprawdzić",* opowiada Figiel na wizji. Po kilkuminutowym wstępie zaprezentowano materiał pod tytułem „Szukamy prawdy z Mirosławem Figlem", z którego nie wynikało… kompletnie nic nowego. W śnieżnej scenerii, ubrany w odblaskową, pomarańczową kamizelkę, Figiel wskazywał ręką kolejne miejsca i opowiadał *„sensacyjne"* okoliczności kilkunastu zgromadzonym osobom. *„Przy założeniu, że poziom jest tam, gdzie droga, to tutaj, to* [miejsce] jest wystarczającą górką, żeby spokojnie wjechał cały skład (…) *w tym miejscu, ktoś konsekwentnie, od kilku lat, zadeptuje ścieżki, żeby nie było widać jak to* [teren – dop. KK] *opada. Nie ma tu betonu, ponieważ oni drążyli skałę".* Wjazdu do tunelu bronić miało zdaniem Figla skomplikowane zabezpieczenie. *„Jeżeli te stalowe wrota gdzieś są, to gdzieś tu. Być może nawet w tym miejscu, przed tym korkiem. Tu jest korek, tu zapadlisko, tu gdzieś te wrota. Tutaj wystarczy przyjechać z georadarem. Za tymi stalowymi wrotami, które zostały zamknięte i zaspawane - może być wszystko".* Figiel w specyficzny sposób przedstawiał także wizję upublicznienia swojej „tajemnicy". *„Trzeba robić wszystko, aby to nagłośnić. Maksymalnie dużo informacji, robić koło tego zamieszanie, aby ta sprawa nie »zdechła« i aby nie przycichła. My mówimy głośno – to jest tu, w tym miejscu. A wy tutaj szukajcie. Już, cała filozofia".* W czasie emisji programu Figiel zapowiedział, że informacje o pociągu będzie *„ukonkretniał",* a szczegóły wskaże po uzyskaniu *„wszelkich zgód od samorządu i przebrnięciu przez wszystkie organizacyjne problemy".* Najwyraźniej *„organizacyjne problemy"* trwają do dziś, a sprawa *„zdechła",* ponieważ „złotego pociągu" wskazywanego przez Mirosława Figla nie odnaleziono. Na stronie Stowarzyszenia „Szukamy Prawdy z Mirosławem Figlem" znaleźć można wpisy niezadowolonych użytkowników, którzy domagali się postępów w odkrywaniu „złotego pociągu". Administrator strony informował, że *„z początkiem września 2013 roku ruszą prace odkrywcze w Sobieszowie. Obiekt jest zaminowany i olbrzymi. Dajcie nam 2-3 tygodnie, a będziemy wiedzieli na czym stoimy".* Kilka tygodni przerodziło się w długie oczekiwanie... 8 maja 2014 roku wiceprezes Stowarzyszenia Tomasz Kluba zrezygnował z pełnionej funkcji z powodu *„pogłębiającej się różnicy zdań odnoszących się do funkcjonowania Stowarzyszenia i odejściem od celów statutowych".* Na stronie poinformowano, że *„nie ma informacji co do najbliższych planów Stowarzyszenia".*

7 sierpnia bieżącego roku pojawiła się informacja, że profil zostaje zamknięty z powodu *„braku jakichkolwiek informacji jak i działań ze strony Mirosława Figla".* Wskazano jego numer telefonu komórkowego. We wrześniu 2015 roku, podczas pisania tego artykułu, ów numer nie odpowiadał. <

!

Jeśli ktoś z czytelników posiada nowe lub nieznane informacje o opisywanej przeze mnie sprawie, proszę o kontakt na adres: mediator.wroclaw@wp.pl lub przez portal społecznościowy Facebook (Grupa Eksploracyjna Miesięcznika Odkrywca / GEMO).

Krzysztof Krzyżanowski

Badacz, dziennikarz, eksplorator, fotograf. Pasjonat starych kopalni i dokumentów kartograficznych. Specjalizacja: zapomniane podziemia na Dolnym Śląsku. Współautor ok. 120 opracowań z dziedziny górnictwa i książek popularnonaukowych. Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

BIBLIOGRAFIA:

RYSZARD WÓJCIK, **„Łowcy skarbów"**
Warszawa, 1997

I. KWIECIŃSKA, P. MASZKOWSKI, **„Polityka skarbowa"**
Odkrywca, nr 12/2006

NTV NIEZALEZNATELEWIZJA **„Świadkowie i badacze – Mirosław Figiel – 07.12.2012"**
serwis Youtube, dostęp z września 2015 r.

SZUKANIE POCIĄGU JAK GONIENIE KRÓLICZKA

PIOTR GALIK

Prawdziwych złotych pociągów było niemało. Jednak czy ten najnowszy nie okaże się nigdy nie niekończącą się balladą?

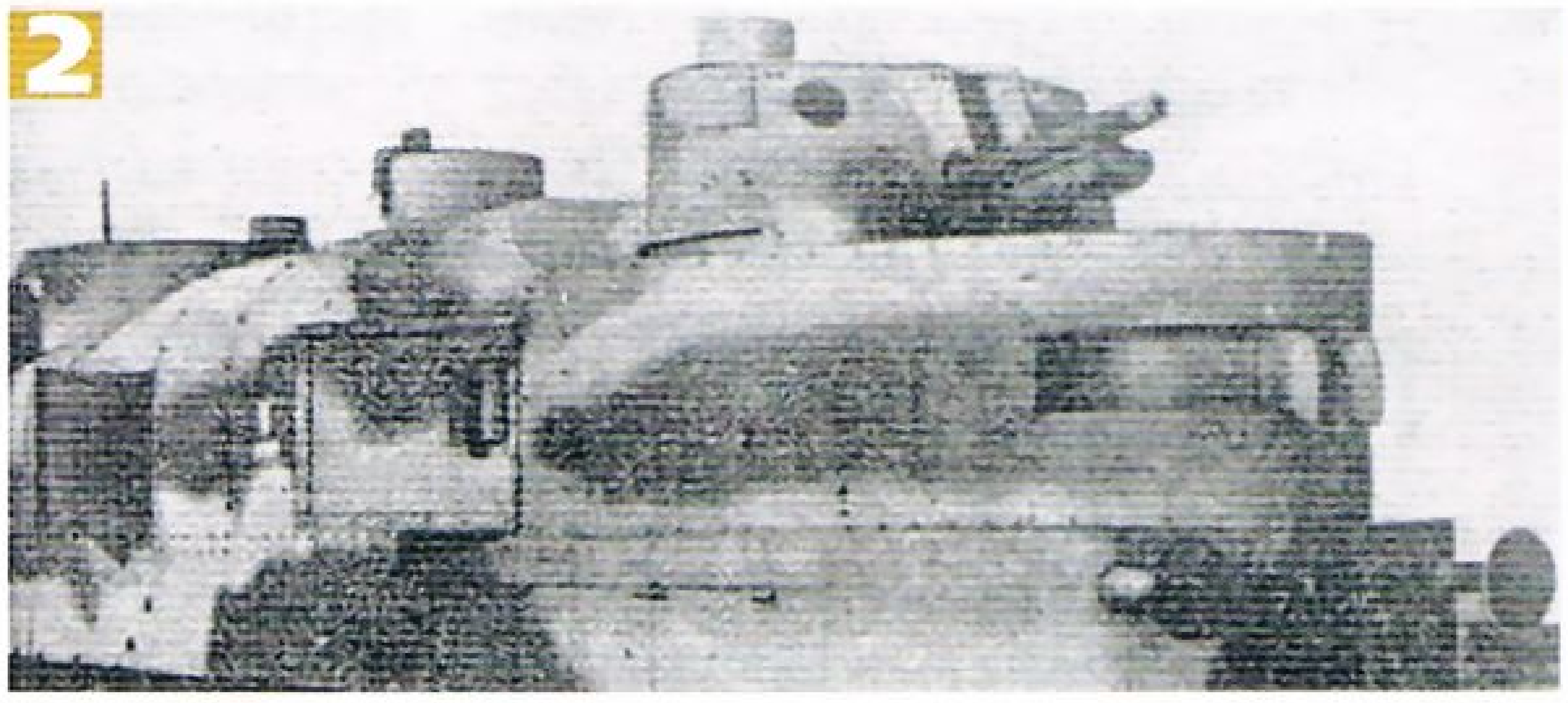

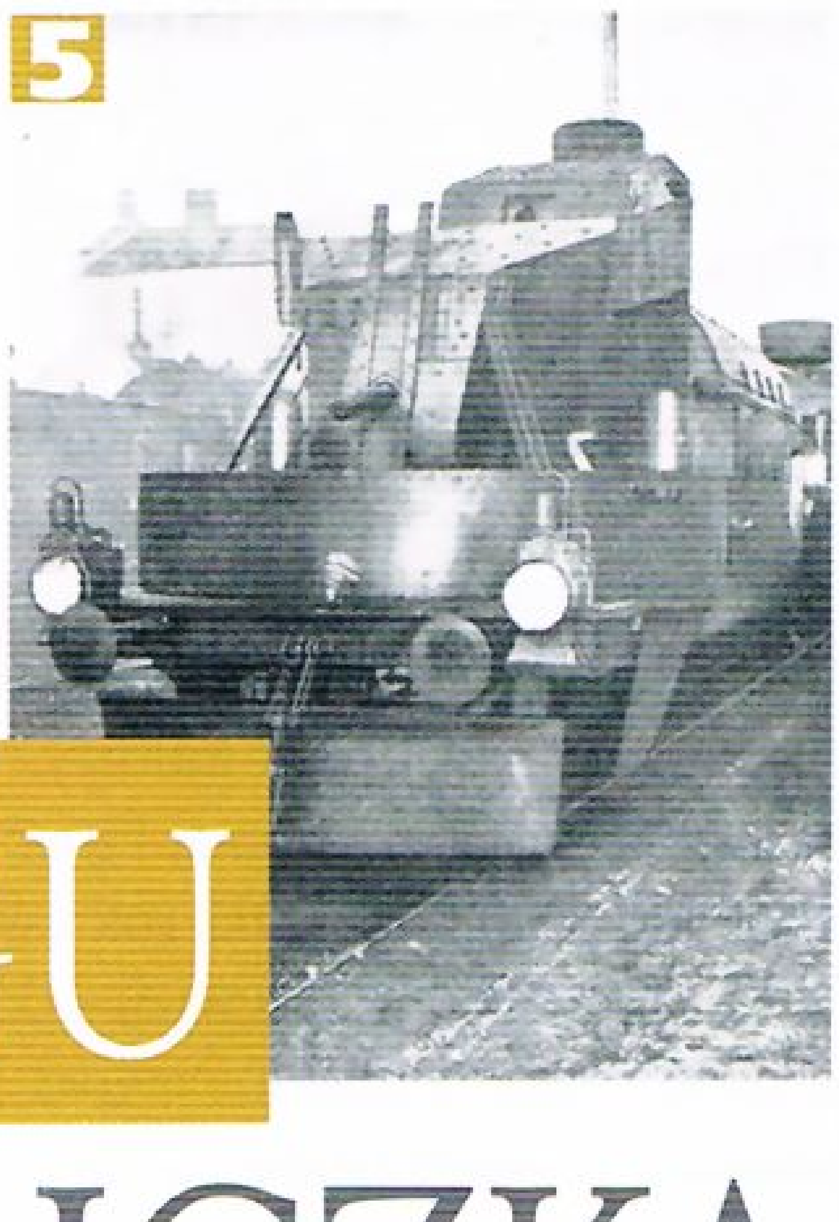

fot. Wikipedia

Od szeregu tygodni miłośników historii, poszukiwaczy skarbów, dziennikarzy i czytelników, słuchaczy czy widzów mediów elektryzuje sensacyjna zapowiedź ujawnienia lokalizacji „złotego pociągu" – składu kolejowego, który w tajemniczych okolicznościach miał opuścić oblężony przez Sowietów Wrocław, by ocalić przed najeźdźcami największe skarby banków i muzeów stolicy Śląska. Jako przedstawiciel zarówno pierwszej, jak i ostatniej z wymienionych grup z wielkim zaciekawieniem próbuję śledzić postępy badań i poczynań czynników oficjalnych, gdyż sekret „złotego pociągu" skłonił do reakcji poważne instytucje samorządowe i państwowe. Czy wreszcie, po 70 latach od ukrycia, skarby Festung Breslau ujrzą światło dzienne? Chciałbym w to wierzyć…

POCIĄG FASCYNOWAŁ I STRASZYŁ

Pociąg – pierwszy środek masowego transportu lądowego ery industrialnej – od początku istnienia budził emocje wśród użytkowników i obserwatorów. Obawiano się, że nadmierny pęd może przyprawić pasażerów „kolei żelaznej" o obłęd, że w gospodarstwach rolnych, sąsiadujących z liniami szynowymi, kury przestaną nieść jajka i krowy stracą mleko… Niesamowite, nadnaturalne zjawiska w wagonach nocnych pociągów stały się kanwą zbioru opowiadań „Demon ruchu" pióra polskiego pisarza, Stefana Grabińskiego (1887 – 1936), dziś niemal kompletnie zapomnianego, a w okresie świetności nazywanego *„polskim Lovecraftem"*. „Pociągi-widma", znikające i pojawiające się w najmniej oczekiwanych okolicznościach, uprowadzające pasażerów w zaświaty… Te niesamowite, literackie wizje okazały się zadziwiająco prorocze…

ŚMIERTELNE POCIĄGI

Podczas drugiej wojny światowej w pełni rzeczywiste pociągi odegrały przerażającą rolę, przywożąc do wybudowanych na obszarach zajętych przez III Rzeszę niemieckich obozów zagłady miliony Europejczyków, którym totalitarny obłęd ideologii nazistowskiej odebrał prawo do życia. Podobnie na Kresach, sowieckie pociągi zabierały bydlęcymi wagonami *„bywszych ljudi"*, *„społecznie niebezpieczny element"* z Polski, Krajów Bałtyckich i Mołdawii ku bezkresnym przestrzeniom

białych krematoriów. A po zakończeniu wojny, wlokące się ślimaczym tempem składy towarowe, wiozły ku Polsce „repatriantów" ocalałych z czystek etnicznych i wyrzuconych z ziemi przodów, zabierając w drodze powrotnej w przepastne trzewia archipelagu Gułag wielu tych, którym nie podobał się ustrój, siłą narzucony przez *„wyzwolicieli"...*

AUTENTYCZNIE ZŁOTE

Koszmarne skojarzenia wojenne trudno zrównoważyć bohaterskimi epizodami, w których polskie pociągi pancerne wyróżniały się skutecznością w boju, jak „Śmiały", gromiący niemieckie czołgi pod Mokrą czy „Piłsudczyk", przez cztery dni odpierający niemieckie ataki pod Mrozami... Ten ostatni uczestniczył wcześniej w ewakuacji złota z Banku Poznańskiego do Warszawy, eskortując jak najbardziej rzeczywisty „złoty pociąg". W obliczu wojennego zagrożenia naczelne władze postanowiły ewakuować 80 ton kruszcu, stanowiącego rezerwę finansową Rzeczypospolitej, najpierw do „bezpiecznego" Łucka, a stamtąd – wobec błyskawicznych postępów nieprzyjaciela – do Śniatynia, położonego niedaleko granicy sprzymierzonej Rumunii. Warto dodać, że z Warszawy i innych miast (Lublin, Siedlce, Zamość, Brześć Litewski), gdzie znajdowały się cenne depozyty, złoto przewożono kolumnami samochodowymi. Dopiero w Śniatyniu nastąpił przeładunek 75 ton złota (wcześniej na potrzeby Wojska Polskiego wydzielono kilkadziesiąt skrzyń jako ostateczną rezerwę) do wagonów, skąd polski „złoty pociąg" wyruszył do portu Constanca, by dalszą drogę odbyć statkiem. Drugim „złotym", ale nie tylko, pociągiem był transport skarbów muzealnych i archiwalnych, ewakuowanych z Warszawy wraz z zasobami Funduszu Obrony Narodowej, powstałego ze składek patriotycznej części obywateli Polski, a obejmującego srebrne i złote kosztowności, biżuterię i monety.

1 Polski pociąg pancerny „Śmiały"

2 Wagon artyleryjski polskiego pociągu pancernego „Śmiały"

3 Mieszkańcy getta ładowani do wagonów na rampie Umschlagplatzu

4 Niemiecki pociąg towarowy przejęty przez Amerykanów podczas drugiej wojny światowej

5 Typowy austriacki wagon artyleryjski z 1915 pociągu typu V. Zdobyte wagony tego typu były używane w polskich pociągach pancernych w 1939 r.

Ostatecznie obydwa pociągi skarbów szczęśliwie dowiozły swoje ładunki, które – nie bez wielu przygód – trafiły do Turcji, skąd kolejny „złoty pociąg" zabrał je do francuskiego wówczas Libanu. Z Bejrutu polskie kosztowności odpłynęły do Francji, by pozostać w dyspozycji rządu RP na uchodźstwie...

INNE ZŁOTE KOLUMNY

Podczas dwudziestowiecznych wojen „złotych pociągów" było wiele, jako że kolej – dzięki swoim wielkim możliwościom transportowym – najlepiej nadawała się do przewożenia wielkich, ciężkich i wymagających szczególnego nadzoru ładunków. Szczególnie wiele faktów i mitów, splątanych w trudny do przecięcia węzeł – dotyczy transportów skarbów w carskiej i bolszewickiej Rosji. „Złoty pociąg" admirała Kołczaka eskortowali żołnierze polscy z Dywizji Syberyjskiej i czechosłowaccy legioniści: pancerny skład z 1 000 pudów rosyjskiego złota zabrać miał do Chin ataman Kałmykow, rozstrzelany za bandytyzm w Mandżurii w 1920 roku. Wątek pociągu pancernego, wiozącego złoto, powraca zresztą w kontekście naszego, wrocławskiego złotego pociągu.

Na marginesie – swoją „złota kolumnę" mają współcześnie i Rosjanie, poszukujący zakopanych podobno gdzieś między Smoleńskiem a Moskwą ciężarówek, którymi latem 1941 roku usiłowano wywieźć poza zasięg Wehrmachtu 100 ton złota...

Prawdziwym „złotym – i – nie – tylko – pociągiem" był także skład, usiłujący zawieźć do Niemiec kosztowności skonfiskowane przeszło 400 tysiącom Żydów, obywateli Węgier, podczas ich eksterminacji w 1944 roku. W grudniu 1944 pociąg liczący 40 wagonów, wypełnionych biżuterią, kamieniami szlachetnymi (około pół tony diamentów), kruszcowymi monetami i zębami, wszelkimi precjozami, w tym dziełami sztuki, wyruszył z Budapesztu na zachód, lecz – co zaskakujące – wlókł się w iście żółwim tempie. Cenny ładunek wielokrotnie uszczuplano, przeładowując sukcesywnie zawartość składu do ciężarówek, po których ślad zaginął... Wreszcie w maju 1945 roku porzucony, uszczuplony o 11 wagonów pociąg zajęli żołnierze alianccy, okupujący Austrię. W powojennym chaosie spór o prawo własności do zagrabionych ofiarom ludobójstwa dóbr doprowadził do decyzji o sprzedaży kosztowności i przekazaniu uzyskanych funduszy Międzynarodowej Organizacji Uchodźców, działającej pod auspicjami ONZ, na cele charytatywne. Doszło jednak przy tym do gorszących malwersacji – amerykańscy generałowie nabywali zabytkowe meble, obrazy czy zabytkową broń za ułamek ich rzeczywistej wartości, a niekiedy po prostu zabierali upatrzone przedmioty jako „pamiątki z wojny"... Wieloletnie procesy sądowe doprowadziły dopiero w 2005 roku do wypłacenia odszkodowań na rzecz stowarzyszeń, świadczących pomoc ocalonym z węgierskiego Holocaustu.

POCIĄG PANDORY, CZYLI O TOKSYCZNEJ ZAWARTOŚCI

Przyjąwszy, że zgłoszone przez poszukiwaczy skarbów znalezisko rzeczywiście okaże się ukrytym w podziemnym schronieniu pociągiem – i to do tego pancernym – stajemy wobec zatrważającej możliwości, że dotarcie do niego okaże się czynem nierozważnym. Oto bowiem, wśród licznych hipotez, do najbardziej przemawiających należy ta, w myśl której tajemniczy skład może zawierać zapasy bojowych środków chemicznych, ewakuowanych przez wycofujących się Niemców z fabryki Anorgana w Brzegu Dolnym. Łatwo wyobrazić sobie skutki rozszczelnienia skorodowanych pojemników z Tabunem i Sarinem, wojskowymi toksynami o działaniu paralityczno-drgawkowym... >>>

NIEMIECKIE POCIĄGI W LATACH 1915-1940

Armia Niemiec w 1915 roku posiadała **5 POCIĄGÓW PANCERNYCH,** a w roku 1918 wyposażona była w **21 TAKICH SKŁADÓW,** które używane były głównie na froncie wschodnim (gdzie działały także pociągi pancerne Austro-Węgier i Rosji).

Dwa lata po zakończeniu I wojny światowej rozbrojone Niemcy uzyskały zgodę na zbudowanie opancerzonych pociągów przeznaczonych do ochrony szlaków kolejowych. W sumie zbudowano **22 TAKIE SKŁADY,** adaptując standardowy tabor kolejowy, a ich uzbrojenie stanowiła broń maszynowa. W 1938 roku **7 Z TYCH POCIĄGÓW** postanowiono wyposażyć w artylerię i nazwano Kampfzug. Mimo ich improwizowanego charakteru we wrześniu 1939 roku skierowano je do ataku na Polskę oraz użyto kampanii na Zachodzie w 1940 roku.

Działania w Polsce dość radykalnie zmieniły punkt widzenia niemieckiego sztabu generalnego na pociągi pancerne w wyniku oceny ich użycia. Choć niemieckie improwizowane pociągi pancerne nie uzyskały żadnego znaczącego sukcesu, to polskie przeciwnie, działały zaskakująco skutecznie. **I TYLKO JEDEN POLSKI POCIĄG PANCERNY** został zniszczony w wyniku działania Luftwaffe. Lecz i to nie wyniku skutecznego trafienia bombami, lecz przez wykolejenie się szybko jadącego składu na zerwanym przez bombę torze (był to PP. nr 13 „Generał Sosnkowski"). Już w 1939 roku ze zdobytego czechosłowackiego (5 szt. P.P.) i polskiego taboru OKH rozpoczęło formowanie pociągów pancernych z prawdziwego zdarzenia. Ze zdobytego w Polsce taboru utworzono 3 PP, i wówczas były to najsilniejsze niemieckie jednostki tego typu. W następnych latach Niemcy, mimo że stawiali na nowoczesną technikę wojskową, używali blisko **100 POCIĄGÓW PANCERNYCH** aż do 1945 roku, uznając ten „relikt" i „anachronizm" za przydatną broń...

>>> W innym sensie pojęcie toksyczności – odnalezienie sztuki, dóbr kultury, a zwłaszcza kosztowności skonfiskowanych ofiarom Holocaustu mogłoby wywołać dewastujące wizerunek Polski we współczesnym świecie spory o prawa własności i rewindykację znalezisk. Zapowiedzią takiego obrotu spraw może być oficjalna wypowiedź przedstawiciela Światowego Kongresu Żydów oraz władz Federacji Rosyjskiej. Czy Polska rzeczywiście potrzebuje eskalacji zadrażnień i resentymentów jednocześnie na Wschodzie i Zachodzie? Wystarczy fakt, że dyżurny „ogórkowy" temat skarbów III Rzeszy na Śląsku wplótł się w trwającą właśnie kampanię wyborczą, skłaniając do aktywności – ba, nawet do wysłania na miejsce oczekiwanego znaleziska oddziałów wojskowych – urzędującego Ministra Obrony Narodowej, który akurat z okręgu wałbrzyskiego zamierza ubiegać się o reelekcję... Ale dość politycznego trucia, silne dawki tej toksyny zapewniają nam co dnia wszelkie media...

SZKIEŁKIEM I OKIEM, CZYLI „KEEP COOL AND SEARCH STEADILY"

Nieco w cieniu sensacyjnych wiadomości o „złotym pociągu" pozostają opinie ekspertów, uczonych zajmujących się wojennymi i powojennymi dziejami Śląska. Zdaniem prof. dr. hab. Tomasza Głowińskiego z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego, szanse na spełnienie się „złotego snu" o skarbach Festung Breslau, Bursztynowej Komnacie czy choćby o zakonserwowanym pod ziemią pociągu pancernym, nie są wielkie. Dostępne źródła historyczne zgodnie wskazują, że ewakuację cennych depozytów bankowych oraz dóbr kultury z Wrocławia przeprowadzono już w roku 1944, przed wielką styczniową ofensywą Armii Czerwonej i okrążeniem miasta. Znana lista ewakuacyjna Grundmanna, wykaz miejsc, gdzie zdeponowano wartościowe przedmioty, obejmuje głównie prywatne posiadłości, pałace i rezydencje, a tylko jeden kamieniołom. Co najważniejsze, Niemcy przyjęli zasadę znacznego rozproszenia tych depozytów. Czy zatem wkładaliby najcenniejsze jajka do jednego, choćby i opancerzonego, koszyka? Po zamknięciu pierścienia przez oblegających, wymknięcie się długiego składu kolejowego niepostrzeżenie wydaje się niemożliwe, zatem teoria, w myśl której celowo nie objęto „złotego pociągu" wykazem Grundmanna, by mógł w sekrecie wymknąć się z obleganej twierdzy, raczej nie zasługuje na wiarę... Trudno dyskutować ze znawcą, który specjalizuje się w tematyce wojennej od lat i z natury swojej profesji może dowierzać jedynie faktom oraz dokumentom...

NIE O TO CHODZI BY ZŁOWIĆ KRÓLICZKA...

Trudno mi bronić się przed konkluzją, że dla regionu wałbrzyskiego, popularyzacji historii i rozwoju turystyki nasz „złoty pociąg" może okazać się tym bardziej złoty, im mniej będzie realny. Na dłuższą metę – kto wie – może nawet okazałoby się to skarbem dużo cenniejszym niż rzeczywiste znalezisko, które zapewne w ostatecznym rozrachunku przyniosłoby apokaliptyczne spory, afery i straty... <

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy", konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta

Nastolatkowie, którzy rzucili wyzwanie aliantom
– 12. Dywizja Pancerna SS Hitlerjugend

12. Dywizja Pancerna SS Hilterjugend – sformowana z członków nazistowskiej organizacji młodzieżowej, była nazywana przez aliantów „dywizją dzieci". Szybko jednak udowodniła, że jest dla nich równorzędnym przeciwnikiem i stoczy krwawy bój o każdy centymetr niemieckiej ziemi...

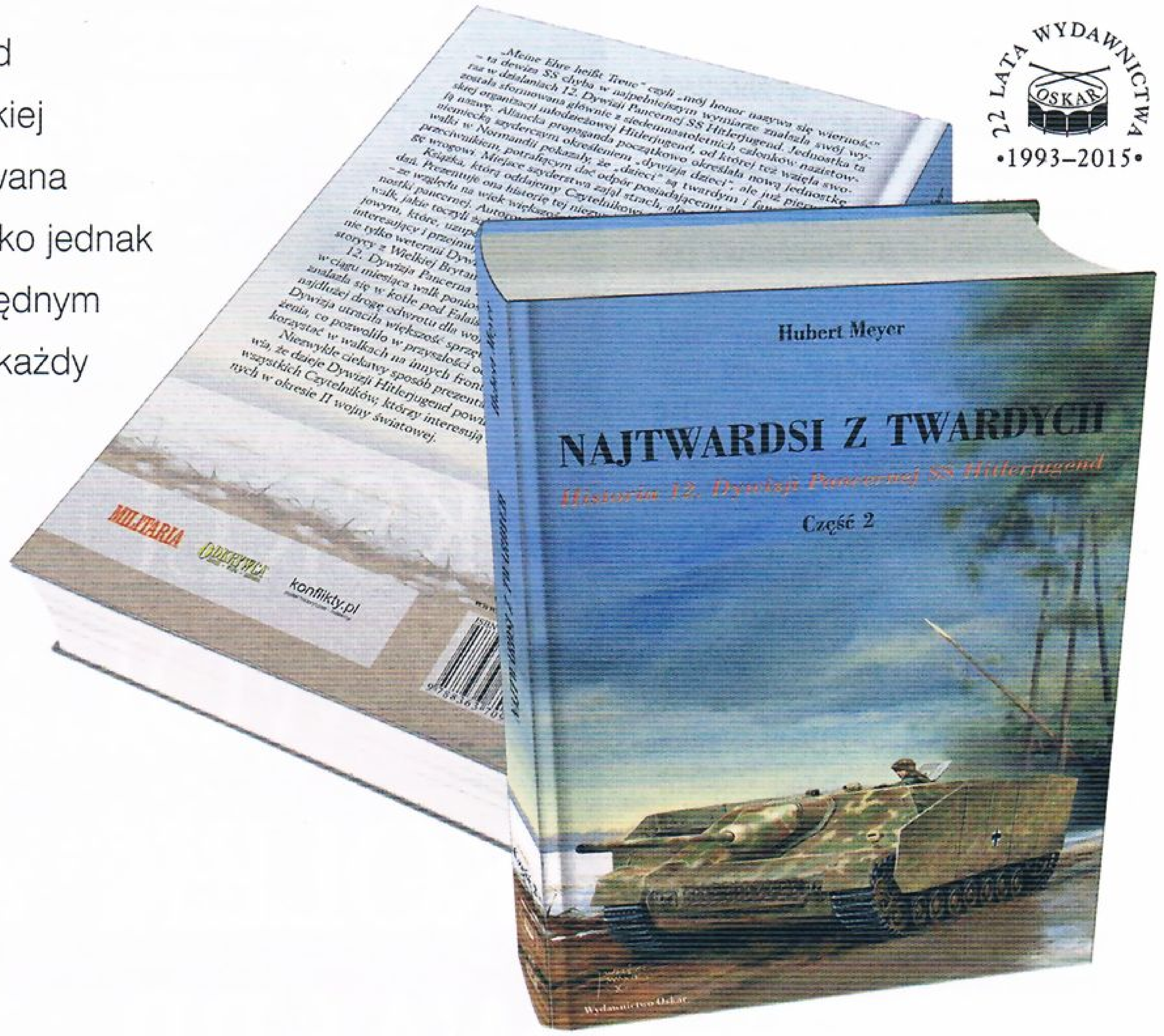

Wydawnictwo Oskar Sp. z o. o.
ul. Otwarta 5A, 80-169 Gdańsk
tel. 48 58 710 58 11
fax 48 58 712 63 09
oskar@wydawnictwooskar.pl
www.wydawnictwooskar.pl

Księgarnia internetowa
www.maszoperia.org

Już w sprzedaży

Polecamy także:

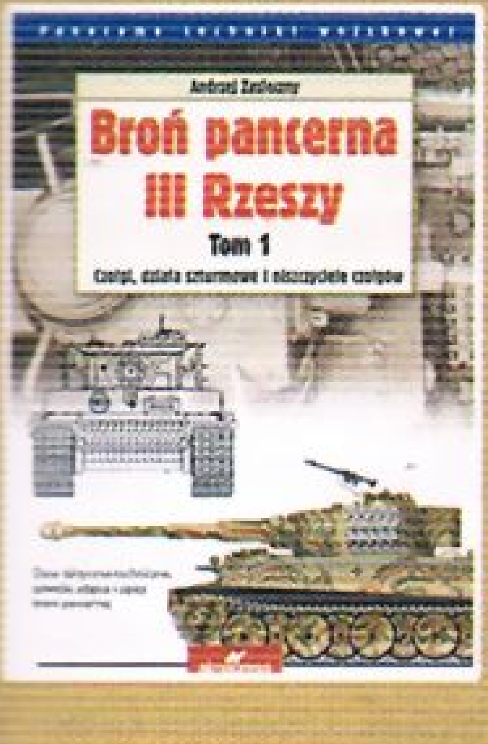

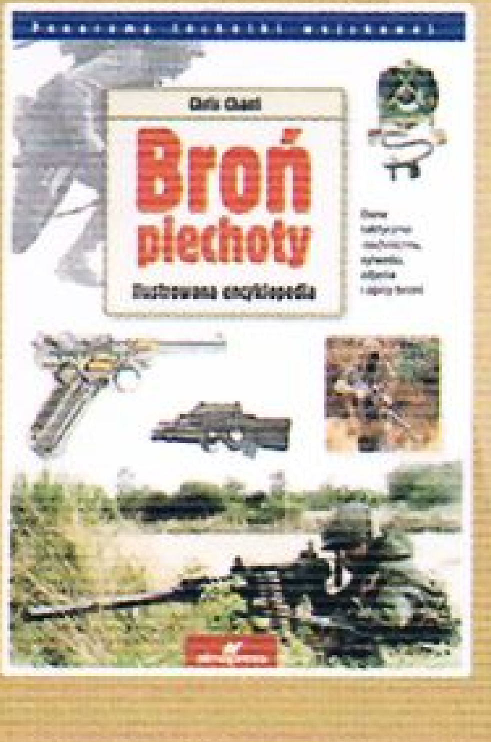

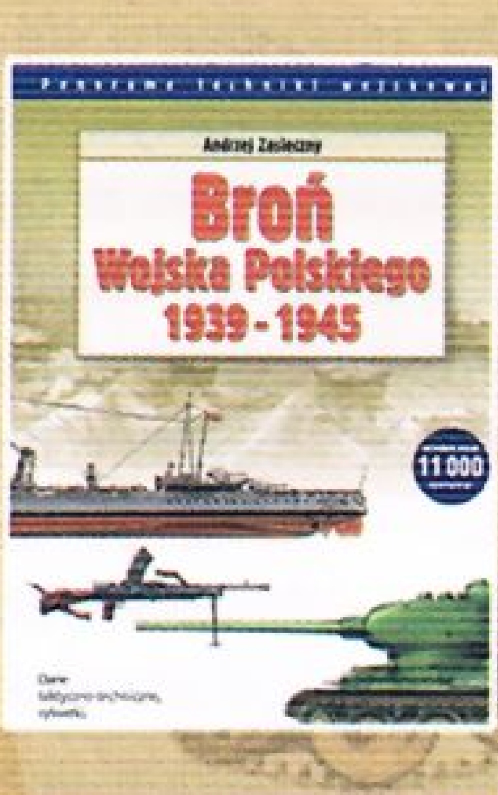

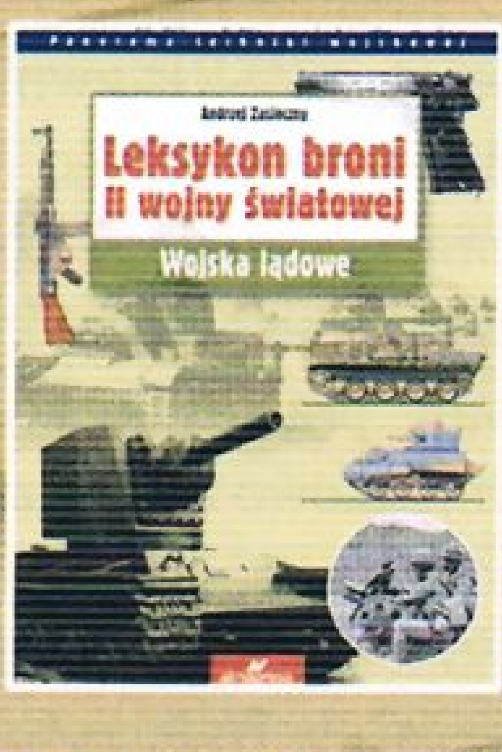

almapress

Alma-Press, ul. Łędzka 44a, 01-446 Warszawa,
tel. (22) 877 27 04
e-mail: alma@almapress.com.pl
www.almapress.com.pl

„EKSKLUZYWNA" OBWODNICA KOLEJOWA WAŁBRZYCHA

TOMASZ RZECZYCKI

Pierwsza na Śląsku i w Sudetach zelektryfikowana linia kolejowa dziś już nie istnieje. Wędrując jej nasypem, warto wspomnieć jej historię oraz region pełen tras i tuneli kolejowych…

Jednotorowa linia, o której tu mowa, zbudowana została w 1878 roku w Kotlinie Wałbrzyskiej oraz na zboczach Gór Wałbrzyskich. Używając współczesnego nazewnictwa i odwołując się do obecnego podziału administracyjnego, możemy powiedzieć, że trasa zaczynała się na stacji Wałbrzych Szczawienko, położonej w północnej części miasta. Tam odgałęziała się od głównej linii kolejowej z Wrocławia przez Wałbrzych Główny do Jeleniej Góry. Lokalna linia prowadziła od wałbrzyskiego Szczawienka (stacja na wysokości 377 m n.p.m.) przez Szczawno Zdrój (stacja na 425 m n.p.m.) – renomowane uzdrowisko, następnie przez Biały Kamień (stacja na 490 m n.p.m.) – górniczą dzielnicę Wałbrzycha, a potem zalesionym terenem po zboczu Chełmca, czyli drugiej co do wysokości góry w Górach Wałbrzyskich, liczącej 851 m n.p.m. Meandrująca trasa ponownie łączyła się z linią Wrocław – Jelenia Góra na stacji Boguszów Gorce Wschód, znajdującej się na wysokości 546 m n.p.m. Ta ostatnia przez pewien czas po drugiej wojnie światowej nosiła nazwę Kuźnice Świdnickie, chociaż położona była z dala od Świdnicy. Jak widać, trasa linii stopniowo się wznosiła, od Wałbrzycha Szczawienka do Boguszowa Gorców Wschodu. Pociągi elektryczne jeździły tą trasą od 1 czerwca 1914 roku.

IDEALNE MIEJSCE DLA PPT

Europejski koniec drugiej wojny światowej przyniósł deelektryfikację obu linii kolejowych prowadzących przez Kotlinę Wałbrzyską. Armia Czerwona z ZSRR zwinęła sieć trakcyjną, pozostawiając jednak przynajmniej część słupów i bramek trakcyjnych – niektóre z nich przetrwały prawie do końca XX wieku! Dodatkowo uszkodzony wiadukt w Szczawienku uniemożliwiał przez kilka lat prowadzenie ruchu linią omijającą Wałbrzych.

To, czy trasa kolejowa pod Chełmcem mogła być użyta pod koniec wojny przez Niemców do ukrycia w jej pobliżu wartościowych transportów, pozostaje w sferze dywagacji. Władze i instytucje polskie miały świadomość, że rejon Wałbrzycha nadawał się do takich celów. W jednym ze sprawozdań z penetracji okolic Wałbrzycha z 1950 roku, wytworzonych w Przedsiębiorstwie Poszukiwań Terenowych, czytamy: *„Wałbrzych wchodził do ostatniego planowanego rejonu niemieckiego, w rejonie tym z grubsza obejmującym Wałbrzych, Kłodzko, Sudety, Niemcy mieli stawiać rozpaczliwy opór, aż do momentu wynalezienia nowych broni. Budowano tu kwaterę Hitlera, ściągnięto wg wszelkiego prawdopodobieństwa zapasy wojenne, gotówkę i złoto. [...] Wałbrzych nie bombardowany ani razu, ze swoimi podziemiami 26 nieczynnych kopalń stanowił idealne miejsce dla ukrycia bezpiecznego choćby w największych ilościach. Penetracja więc, która z natury swej będzie dłuższa i mozolna powinna przynieść w rezultacie imponujące rezultaty."*

MYLĄCE NAZWY STACJI KOLEJOWYCH

Przedsiębiorstwo Poszukiwań Terenowych brało pod uwagę możliwość odszukania kryjówki urządzonej w zamaskowanym tunelu kolejowym. Ale poszukiwano takiego w innej części Gór Wałbrzyskich, np. pod wzgórzem

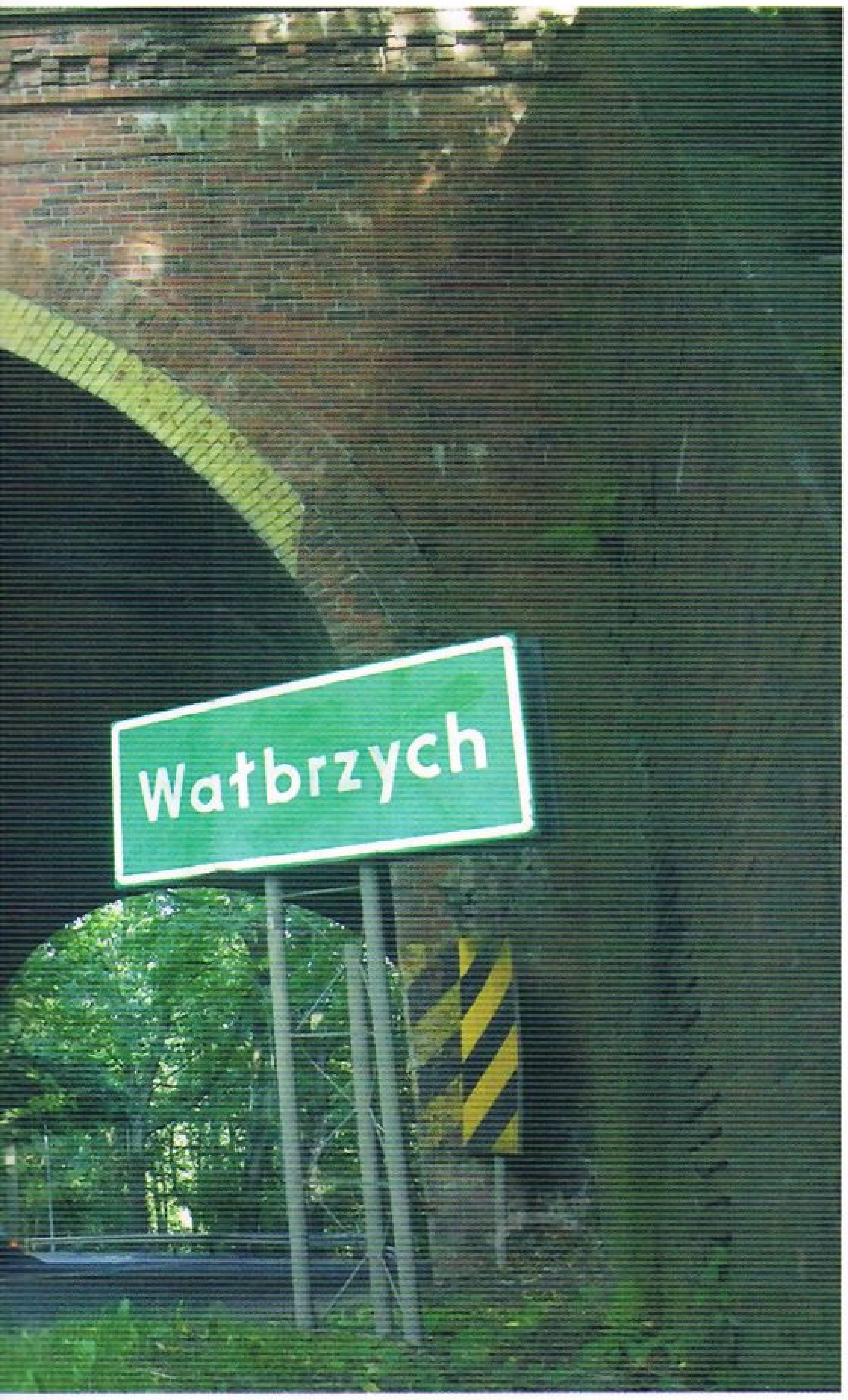

fot.: Ireneusz Borysewicz

Ceglany przepust tunelowy, przez który pod rozebraną linią szczawieńską prowadzi szosa łącząca Boguszów Gorce z Wałbrzychem, zaistniał na przełomie sierpnia i września 2015 roku właśnie przy okazji informacji o poszukiwaniach „złotego pociągu".

z Mauzoleum czy hipotetycznej odnogi tunelu pod Małym Wołowcem. Zbocza Chełmca i rejon linii kolejowej prowadzącej przez Szczawno Zdrój i Biały Kamień przypuszczalnie nie był rozważany pod tym kątem. Choć trzeba stwierdzić, że stare wyrobiska górnicze na zboczu Chełmca mogły być potencjalnym kryjówkami – jako jedne z powiedzmy tysiąca pięciuset tego typu miejsc w Sudetach...

Wróćmy jednak do dziejów podwałbrzyskiej linii kolejowej. Przez pierwsze trzy lata po wojnie była ona nieczynna, zapewne z powodu jakichś zniszczeń wojennych. Pierwsze, co zrobiono, to spolonizowano nazwy stacji kolejowych. W 1945 roku dyrekcja kolei wydała drukiem do użytku służbowego spis stacji i przystanków. Kierowano się tu wskazaniami „Komisji dla przywrócenia słowiańskich nazw na Przyodrzu" z Poznania, której przewodził ks. kanonik Stanisław Dołęga Kozierowski. Do prac tej komisji delegowały swych przedstawicieli władze administracyjne, Instytut Zachodni a także m.in. poczta. Kuriozum tego dziełka polegało na tym, że kolejarze zdecydowali się po swojemu spolszczyć nazwy niemieckie, co nie zawsze pokrywało się z obowiązującymi wtedy nazwami urzędowymi miejscowości! Na interesującej nas linii kolejowej pojawiła się więc stacja Słońsk Zdrój w Solicach Zdroju – jak wówczas nazywano późniejsze Szczawno Zdrój. Nie trzeba dodawać, że myliło to pasażerów i nie miało nic wspólnego ze stacją Słońsk we wsi o takiej nazwie położonej przy zupełnie innej linii kolejowej z Kostrzyna nad Odrą do Gorzowa Wielkopolskiego. A dodajmy jeszcze, że stacja Biały Kamień początkowo nazywała się Bielańsk.

Na absurdalność sytuacji z odmiennym nazewnictwem stacji kolejowych i miejscowości zwracała uwagę jesienią 1945 roku prasa. Podawano przykład osób zdążających na jakiś zjazd do Szczawna Zdroju (przypomnijmy raz jeszcze: wówczas zwanego Solicami Zdrojem), którzy nie dotarli na miejsce, bo nie mogli kupić biletów do stacji Solice. Stąd apelowano, aby PKP dostosowała swe nazwy do nazw administracyjnych.

Irracjonalna nazwa Słońsk nie obowiązywała zbyt długo. W rozkładzie jazdy na lato 1947 poszczególne stacje nosiły już nazwy: Szczawienko, Szczawno Śląskie Zdrój, Biały Kamień i Kuźnice Świdnickie. Wspomniany rozkład zakładał dwie pary pociągów na dobę, ale kursujących dopiero po ogłoszeniu. Była to więc fikcja, pociągi te nie wyjechały na tory. W rozkładzie figurowały one na skróconej trasie między Szczawnem Śląskim Zdrojem a Kuźnicami Świdnickimi. Z Kuźnic Świdnickich pociąg odjeżdżać miał o 10:08 i 17:45, natomiast z uzdrowiskowej stacyjki – o 10:50 i 18:40. Liczącą 13 km trasę pokonywać miał od 19 do 23 minut, a więc w czasie całkiem znośnym jak na ówczesne realia. Ale, powtórzmy, rozkład ten pozostał tylko na papierze. Między Szczawnem Śląskim Zdrojem a podwałbrzyskim Szczawienkiem pociągi miały na razie nie kursować. Powodem był uszkodzony most kolejowy pod Szczawienkiem. Prawdopodobnie chodzi o wiadukt nad ul. Wrocławską, czyli dosłownie kilkaset metrów od stacji kolejowej Wałbrzych Szczawienko. Zapewne później Polacy wykonali tam spawany most stalowy. Nie mógł to być obiekt pochodzący z czasów budowy linii, gdyż tego typu spawane konstrukcje mostowe budowano dopiero od 1928 roku.

TYLKO POSPIESZNE!

Jak wynika z ankiety uzdrowiskowej, przesłanej przez komisję zdrojową do Urzędu Wojewódzkiego Wrocławskiego, stacja kolejowa w Szczawnie Zdroju uruchomiona została w maju 1948 roku. Potwierdza to lektura górnośląskiej prasy. Katowicki „Dziennik Zachodni" w swym dolnośląskim wydaniu donosił, że ruch pociągów rozpoczął się 9 maja 1948 roku. *„Ogrom pracy dokonanej na linii Szczawienko - Solice Zdrój - Kuźnice Świdnickie - Mieroszów nie da się ująć żadnymi cyframi".* Zawiadowcą szczawieńskiej stacji został Zygmunt Rozin, a dyżurnym ruchu – Franciszek Janiuk. Ze Szczawna Zdroju w kierunku południowym pociągi odjeżdżały o 10:30 i 19:56 do Mieroszowa przez Kuźnice Świdnickie oraz tylko do Kuźnic Świdnickich o 11:39. W drugą stronę dało się dojechać bezpośrednio tylko do Szczawienka, gdzie należało się przesiąść chcąc kontynuować podróż do Łodzi, Gdyni, czy Warszawy. Dziennie szczawieńska kasa biletowa sprzedawała 40 biletów do Warszawy!

Rok później Szczawno Zdrój uzyskało bezpośrednie połączenie ze swą nową stolicą. Od 15 maja 1949 roku pociąg pospieszny z Warszawy do Jeleniej >>>

Z CZEGO SKŁADAŁY SIĘ NIEMIECKIE POCIĄGI PANCERNE II WOJNY ŚWIATOWEJ?

Od strony taktyczno-technicznej pociąg pancerny z II wojny światowej to nie igła. Nawet nie czołg. To „obiekt" porównywalny do okrętu wojennego klasy niszczyciela. Jego uzbrojenie było równoważnikiem baterii artylerii lekkiej uzupełnionej bronią przeciwlotniczą, **MIAŁ PONAD 150 M DŁUGOŚCI I OKOŁO 150 LUDZI ZAŁOGI.** Nawet nie wyglądał „klasycznie", ponieważ lokomotywa nie znajdowała się na przedzie, lecz była umieszczona w środku symetrycznie rozplanowanego składu. Przed i za lokomotywą znajdował się wagon szturmowy piechoty lub wagon dowodzenia, następnie wagony artyleryjskie i wagony-platformy z materiałami do ewentualnej naprawy torów. Taki skład mógł być uzupełniony o wagony z czołgami i drezyny pancerne.

>>> Góry rozłączano w Jaworzynie Śląskiej na dwa składy. Jeden z nich jechał trasą przez Szczawno Zdrój, zatrzymując się na tamtejszej stacji. Podobnie było w drodze powrotnej – dwa składy łączono w jeden w Jaworzynie Śląskiej.

Mankamentem trasy prowadzącej u podnóża Chełmca było to, że omijała ona przemysłowy Wałbrzych niejako obwodnicą. Zapewne to powodowało niskie zainteresowanie podróżnych, a ruch kuracjuszy do szczawieńskiego uzdrowiska nie mógł tego zrekompensować. Kolej szybko zdała sobie sprawę z nierentowności – przykładowo 7 sierpnia 1950 roku wstrzymano kursowanie w niedziele i dni świąteczne dwóch par pociągów z Jaworzyny Śląskiej przez Szczawienko i Szczawno Zdrój do Białego Kamienia. W lutym 1951 roku „Dziennik Zachodni" pisał: *„Na stacji kolejowej Szczawno Śl.-Zdrój jest tylko w sezonie letnim ożywiony ruch. Ale ruch towarowy trwa nieprzerwanie przez cały, długi rok, gdyż stacja obsługuje Zarząd Państw. Uzdrowisk, Państwowe i Komunalne Przedsiębiorstwo Budowlane, Zjednoczenie Ceramiki Szlachetnej oraz wszelkie okoliczne wsie i osiedla".* Dziennik dodawał, że przywożono tutaj koleją odpadki buraczane z kampanii cukrowniczej, które zabierały do swych potrzeb PGR Struga czy Zespół Rolniczy Struga.

Prawdopodobnie w 1950 roku ruch pociągów pasażerskich na linii szczawieńskiej ustał zupełnie, choć tylko na kilka następnych lat. Stacje w Białym Kamieniu i w Szczawnie Zdroju opustoszały. Na drugą z nich zwróciły uwagę władze kolejowe, organizując tu od 1958 roku wczasy wagonowe, o czym będzie jeszcze w dalszej części tekstu. Na razie przyjrzyjmy się temu, co działo się na torach.

Pociągi pasażerskie wróciły na linię pod Chełmcem po kilkuletniej przerwie 1 czerwca 1959 roku. W Szczawnie Zdroju zatrzymywały się odtąd pociągi pospieszne z Jeleniej Góry do Gdyni o 1:31, z Gdyni do Jeleniej Góry o 6:31, z Lublina do Jeleniej Góry o 10:24 oraz z Jeleniej Góry do Lublina o 20:13. Była to zupełnie nietypowa sytuacja, żeby po danej trasie jeździły wyłącznie pociągi pospieszne. Z tego względu trasę przez Szczawno nazywano ekskluzywną linią. Przez Biały Kamień przejeżdżały one bez postoju, natomiast wsiąść można do nich było w sąsiednim Szczawienku. W związku z ponownym otwarciem szczawieńskiego dworca kolejowego uruchomiono wtedy linię autobusową z Wałbrzycha do Szczawna Zdroju, ale kursujący kilka razy dziennie autobus jeździł pustawy i zapewne prędko linię zlikwidowano. Rok później wraz z letnim rozkładem jazdy PKP na 1960 rok przez Szczawno Zdrój wyznaczono większą liczbę pociągów pospiesznych. *„Szczawno [Zdrój] ma śliczny dworzec kolejowy, który w tym roku dopiero ożył. Przystaje przy nim kilka pociągów dziennie. Trzeba o tym napisać, gdyż mało kto o tym wie i nadal kuracjusze przyjeżdżają do Wałbrzycha"* – podawało w swym dolnośląskim wydaniu wrocławskie „Słowo Polskie" w lipcu 1960 roku. Mimo tego nadal na stacji kolejowej organizowane były wczasy wagonowe, choć pojawiały się głosy, że ze względu na bezpieczeństwo dzieci lepiej by było umieścić je gdzieś na bocznicy poza dworcem.

NIEPRZEWIDZIANA DO REELEKTRYFIKACJI

Także w zimowym rozkładzie jazdy 1960/1961 znalazły się dwie pary pociągów pospiesznych jadących przez Szczawno Śląskie Zdrój: dzienny z Jeleniej Góry do Warszawy i nocny z Jeleniej Góry do Gdyni (i z powrotem). Jednak ten drugi przestał jeździć przez kurort pod Chełmcem 7 grudnia 1961 roku, gdy jego trasę zmieniono, kierując go przez Wałbrzych Główny. Możliwe, że wcześniej przestał jeździć tędy pociąg jeleniogórsko-mazowiecki, bo w 1962 roku znowu na trasie panowała cisza i nic nie jeździło. Możliwe, że z powodu wymiany torowiska, bo do końca PRL na trasie dotrwały szyny z wybitą datą 1962. Tylko w niektórych miejscach, np. na szczawieńskiej stacji, zostawiono nieliczne oryginalne... metalowe podkłady kolejowe z czasu budowy linii.

Nie minęło dużo czasu, a kolejny raz na linii kolejowej wiodącej przez Biały Kamień i Szczawno Śląskie Zdrój pojawiło się więcej pociągów. Z powodu przebudowy wiaduktu kolejowego w Wałbrzychu przy ul. Wrocławskiej, wraz z nowym rozkładem jazdy od 26 maja do 28 września 1963 roku objazdem przez Szczawno Zdrój puszczono część pociągów towarowych oraz pasażerskich dalekobieżnych.

Były to codzienne pociągi pospieszne Jelenia Góra – Lublin, Jelenia Góra – Gdynia, kursujący w wybrane dni Jelenia Góra – Warszawa, a także pociąg osobowy Jelenia Góra - Poznań oraz osobowe do Jaworzyny Śląskiej i do Wrocławia.

Komisja Sportu i Turystyki Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Wałbrzychu dokonała 6 czerwca 1964 roku kontroli w Szczawnie Zdroju. W protokole pokontrolnym czytamy m.in.: *„Należy zauważyć również, że ilość pociągów przejeżdżających przez Szczawno Zdrój znowu się skurczyła, do jednego pociągu, od nowego rozkładu jazdy i nastąpiło to bez konsultowania się z Prezydium MRN. [...] Należy walczyć o przywrócenie przez Szczawno Zdrój pociągów i zatwierdzenie ich na stałe, oraz walczyć o to, aby trakcja kolei elektrycznej przebiegała również przez Szczawno Zdrój."*

Ten ostatni postulat nie został spełniony. Projektanci reelektryfikacji linii kolejowej z Wrocławia do Jeleniej Góry popełnili kardynalny błąd, zakładając przywrócenie sieci trakcyjnej wyłącznie w wariancie trasy przez Wałbrzych. Odnoga wiodąca przez Biały Kamień i Szczawno Zdrój nie była przewidziana do zelektryfikowania. W przyszłości miało to przynieść opłakane skutki, zwłaszcza podczas wykolejeń w Wałbrzychu...

Radni wałbrzyskiej PPRN minęli się z prawdą. Nominalnie rozkład na lato 1964 roku przewidywał trzy pociągi. W kierunku południowym był to skład z Gdyni do Jeleniej Góry oraz jeżdżący tylko w wybrane dni sezonu letniego skład z Warszawy do Szklarskiej Poręby. W przeciwnym kierunku, w stronę Szczawienka można się było tędy przejechać składem z Jeleniej Góry do Warszawy. Z Jeleniej Góry wyjeżdżał on o 22:38, na stacji Szczawno Śląskie Zdrój przystawał o 23:49, natomiast w Szczawienku o 23:56. Pięciokilometrowy odcinek ze Szczawna do Szczawienka pokonywał więc ze średnią prędkością 45 km na godzinę...

„W ciągu doby zatrzymują się w Szczawnie [Zdroju] zaledwie 3 pociągi osobowe" – narzekała we wrześniu 1965 roku w swym wałbrzyskim wydaniu „Gazeta Robotnicza" z Wrocławia. Prawda była nieco inna, były to pociągi pospieszne, a nie osobowe. Zresztą wkrótce przestały one ostatecznie kursować linią pod Chełmcem – po tym, jak 18 grudnia 1965 roku oddano do użytku sieć trakcji elektrycznej na odcinku Wrocław Świebodzki – Boguszów Gorce Wschód. Od tego momentu wszystkie pociągi pasażerskie skierowano przez Wałbrzych Miasto, a szczawieńska stacja przestała służyć podróżnym. Erzacem zamiast pociągów stała się linia autobusowa PKS z Wrocławia przez Szczawno Zdrój do Wałbrzycha, utworzona 1 czerwca 1969 roku. Przez jakiś czas jeszcze „ekskluzywną obwodnicą" jeździły pociągi towarowe, aż w końcu linię formalnie zamknięto. Zostały tylko wagony wczasowe na szczawieńskim dworcu.

Przejazd przez wąwóz w okolicy 2 km od stacji Biały Kamień (Konradów) w kierunku Boguszowa. Ze zbiorów Adama Pacześniaka. Zdjęcie z www.bazakolejowa.pl

DWA TYGODNIE W WAGONIE

Przewieziono je tam w połowie XX wieku. Wtedy to Zarząd Urządzeń Socjalnych Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych we Wrocławiu postanowił zorganizować wczasy wagonowe dla pracowników kolejowych właśnie na stacji w Szczawnie Zdroju. Nie była to zupełna nowość – kilka lat wcześniej wczasy wagonowe zainaugurowano w pobliskiej Jedlinie Zdroju. Stare, wycofane z użytku wagony towarowe po adaptacji zamieniono w wagony mieszkalne i ustawiono na bocznych torach, a pierwszy turnus szczawieńskich wczasów rozpoczął się 1 czerwca 1956 roku. Wysprzątano zaniedbany budynek dworca, w poczekalni urządzono kuchnię a w hali dworcowej – stołówkę. Na dworze urządzono mały park i ogródek jordanowski, zbudowano huśtawki. Paradoks polegał na tym, że jeśli ktoś chciał się tutaj dostać z głębi kraju, musiał jechać pociągiem do Wałbrzycha Miasta, stamtąd tramwajem na Plac Grunwaldzki, po czym drugim tramwajem do Szczawna Zdroju, a następnie dojść na nogach – bo szczawieński dworzec leżał dosłownie na końcu miasta. Okresowo dojazd był łatwiejszy, gdy przez Szczawno Zdrój kursowały pociągi pasażerskie – ale wiemy, że na przestrzeni lat raz jeździły, a raz nie jeździły...

Latem 1963 roku, jak >>>

>>> donosiła prasa, stały na stacji w Szczawnie Zdroju 53 wagony mieszkalne i wagon-sanitarka. Uczestnicy czternastodniowych wczasów mieli do dyspozycji świetlicę z bilardem, stolikiem do tenisa stołowego i telewizorem. Ośrodek był zradiofonizowany, działał ogródek jordanowski, kuchnia, biblioteka, można było skorzystać z boiska sportowego. Odpoczywający tu kolejarze korzystali także z zabiegów w uzdrowisku. Jednocześnie mogło przebywać w ośrodku wczasów wagonowych około 230 osób. Ośrodek był czynny od połowy czerwca do połowy września.

W 1966 roku ze wczasów wagonowych w Szczawnie Zdroju skorzystało 1220 osób, rok później więcej, bo 1332. Dodano bowiem dodatkowy turnus od 2 czerwca, ufundowany przez Ministra Komunikacji dla zasłużonych emerytowanych kolejarzy i ich rodzin. Wczasowicze nie tylko zabawiali się w świetlicy i na boisku, lecz także brali udział w wycieczkach na górę Chełmiec, do zamku Książ, palmiarni w Lubiechowie, czy też do Zagórza Śląskiego. Szczawieński ośrodek wczasów wagonowych, którego długoletnim kierownikiem był pan Wiśniewski, cieszył się początkowo dobrą renomą w gronie 22 tego typu placówek wczasowych funkcjonujących wtedy w kraju. Jednak ze względu na skromne warunki sanitarne w 1967 roku zajął dopiero ósme miejsce. Nic dziwnego, stare wagony eksploatowane od 1956 roku jako mieszkalne uległy zużyciu, brakowało w nich kanalizacji i bieżącej wody. Powstał pomysł, aby na placu przed budynkiem dworca kolejowego ustawić domki kempingowe, ale sprzeciwił się temu architekt powiatowy. Nie dało się też przez pewien czas zająć pomieszczeń na piętrze dworca, bo zamieszkiwały w nich cztery rodziny. Później jednak także w budynku dworcowym urządzano noclegi dla wczasowiczów – na pewno tak było już w 1969 roku. Wówczas to na jednym turnusie wczasów wagonowych mogły wypoczywać 54 rodziny kolejarskie. Wczasy wagonowe funkcjonowały na szczawieńskim dworcu prawdopodobnie do 1990 roku.

AUSCHWITZ, KNAJPA I... GORĄCZKA ZŁOTA

Potem dworzec opustoszał, a na bocznych torach wyrosły spore drzewka. Wagony wczasowe stały na stacji w Szczawnie Zdroju na pewno jeszcze wiosną 1994 roku. Mniej więcej w tym czasie zaczęli się do nich dobierać złomiarze, którzy również „sprywatyzowali część torowiska". W końcu wagony wczasowe wpisano do rejestru zabytków i odwieziono do Jaworzyny Śląskiej. Dwa spośród nich zostały w styczniu 2005 roku wyremontowane i na lawecie wywieziono je do byłego niemieckiego obozu śmierci w Oświęcimiu, gdzie stały się częścią ekspozycji. Były to wagon produkcji hiszpańskiej z 1898 roku i wagon francuski z 1917 roku.

W 1995 roku Zenon Janiga i Jacek Bruszewski zgłosili koncepcję przekształcenia częściowo już rozebranej linii kolejowej pod Chełmcem w ścieżkę rowerową. Był to nieudany pomysł – wszak w polskim klimacie w górach ścieżka rowerowa jest przez znaczną część roku nieprzejezdna z powodu pokrywy śnieżnej lub ulewnych deszczów, podczas gdy po odbudowaniu linia kolejowa mogłaby służyć pasażerom przez cały rok. Do utworzenia ścieżki rowerowej nie doszło, bo kolej sprzedała część działek na trasie, w tym około 2006 roku budynek byłego dworca PKP w Szczawnie Zdroju. Wcześniej, po likwidacji wczasów wagonowych, od 1994 roku budynek stacyjny przeszedł w ręce prywatne. Mieściła się tam knajpa, w której organizowano też koncerty. Niezależnie od tego przynajmniej w jednym miejscu w Wałbrzychu nasyp został przekopany, żeby zrobić przecinający go chodnik dla pieszych.

Budynek dawnego dworca kolejowego w Szczawnie Zdroju. Stan z czerwca 2009 roku, widok od strony byłych peronów. Fot. Tomasz Rzeczycki

Gdy wiosną 2004 roku penetrowałem zbocza Chełmca, natknąłem się w lesie na biedaszyby wykopane dosłownie tuż przy samej rozebranej linii kolejowej.

NA BEZKRESACH WSCHODU I W WALCE OBRONNEJ

Podczas gdy w pierwszych latach drugiej wojny Wehrmacht poszerzał tabor głównie o pociągi zdobyczne, to po rozpoczęciu niemieckiej ekspansji w kierunku Uralu sytuacja się zmieniła. Otóż wojna na wschodzie szybko stała się wojną o tory. Na bezkresnych i bezdrożnych stepach kolej była jedynym środkiem transportu zaopatrzenia i posiłków, który nie był podatny na błoto i roztopy czy śnieg, i który mógł szybko przewozić ładunki masowe. Na takim teatrze wojny pociąg pancerny miał wiele zalet, gdyż, jak żaden inny pojazd, mógł poruszać się szybko i daleko, przenosząc silne uzbrojenie artyleryjskie i dużą ilość amunicji. Wadą był jego defensywny charakter, lecz w miarę jak Wehrmacht przechodził do taktyki „zaplanowanych odwrotów", cecha ta traciła na znaczeniu. Jednocześnie dowództwo niemieckie miało do czynienia z koniecznością coraz silniejszej ochrony komunikacji i zaopatrzenia wojsk na froncie, więc pociągi pancerne były wykorzystywane także do obrony linii kolejowych oraz do bezpośredniej walki z partyzantami.

Do realizacji tych zadań na coraz szerszym froncie potrzebne były większe ilości tej broni, a mimo wcielenia do służby zdobytych pociągów francuskich i sowieckich, ich ilość była niewystarczająca, a rozmaitość przysparzała kłopotów. Konieczna stała się budowa nowych pociągów, o standardowej i ujednoliconej konstrukcji, co zaowocowało powstaniem pociągów pancernych typu BP42. **POWSTAŁO ICH 12, O NUMERACH 61-72,** a bazę umieszczono w Rembertowie pod Warszawą. Ich głównym zadaniem miało być wsparcie piechoty. Uzbrojenie zasadnicze stanowiły cztery lekkie haubice. W walkach odwrotowych toczonych w 1943 roku okazało się, iż pociągi wymagają wyposażenia także w armaty ppanc. co zrealizowano, dodając wagony z wieżami czołgów PzKpfw. IV i tworząc nowy standard pociągu pancernego BP44. Sformowano **11 POCIĄGÓW** tego typu o numerach 73-84, a starsze uzupełniano do nowego standardu. Etatowo Panzerzug Typ BP 42 posiadał w składzie:
• parowóz BR57 z tendrem • wagon dowodzenia • wagon piechoty • cztery wagony artyleryjskie z wieżami haubic (w tym dwa ze stanowiskami małokalibrowych armat przeciwlotniczych) • dwa wagony do przewozu lekkich czołgów (mogących operować w polu) • dwa wagony z armatami ppanc. oraz co najmniej dwa lub więcej wagonów-platform, pełniących także funkcję trałów przeciwminowych.

W połowie 1944 roku bazę w której formowano pociągi pancerne i szkolono załogi przeniesiono z Rembertowa do Milovic w Czechach, gdzie oddano do służby **9 OSTATNICH BP44.**

Wykopany materiał skalny leżał na dawnym torowisku. Trudno jednak powiedzieć, za czym kopali poszukiwacze. Występujący tam płytko węgiel wcale nie musiał być magnesem przyciągających ludzi z łopatą...

Na koniec wypada odpowiedzieć na frapujące wszystkich pytanie, czy omawiana linia kolejowa ma coś wspólnego z poszukiwaniami „złotego pociągu"? Ależ oczywiście! Ceglany przepust tunelowy, przez który pod rozebraną linią szczawieńską prowadzi szosa łącząca Boguszów Gorce z Wałbrzychem, zaistniał na przełomie sierpnia i września 2015 roku właśnie przy okazji informacji o poszukiwaniach „złotego pociągu". W serwisach internetowych jako ilustracja do tekstu publikowana była wtedy fotografia tego miejsca od strony zachodniej, czyli tam, gdzie przed wjazdem do przepustu tunelowego stoi zielona tabliczka z nazwą miasta Wałbrzych... <

Tomasz Rzeczycki

Długoletni współpracownik „Odkrywcy". Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju.

WYBRANE ŹRÓDŁA:

Archiwum Państwowe we Wrocławiu, zesp. 331 (Urząd Wojewódzki Wrocławski), sygn. XVIII/73 (Ankieta w sprawie uzdrowisk i letnisk Dolnego Śląska 1948-1949), k. 302 (Ankieta uzdrowiskowa - komisja zdrojowa Solice Zdrój)

Archiwum Państwowe we Wrocławiu, oddział w Kamieńcu Ząbkowickim, zesp. 605 (Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Wałbrzychu), sygn. 1530 (PPRN - Komisja Sportu i Turystyki – protokóły z posiedzeń – 1964), k. 33 (Protokół z kontroli w Szczawnie Zdroju 6.6.1964)

„Dziennik Zachodni Wieczór" (wyd. AB) nr 35 (1888), 11.2.1951, s. 2

„Nowiny Jeleniogórskie" nr 40 (132), 6.10.1960, s.7

FALA ODKRYĆ ZA POMOCĄ... FAL

DR INŻ. WIESŁAW NAWROCKI

Mityczny „złoty pociąg" niektórzy z odkrywców dostrzegają na razie tylko na zdjęciach geometrycznych. Co na nich naprawdę można zobaczyć?

Niesamowita fala domniemanych odkryć na Dolnym Śląsku skłoniła mnie do przeprowadzenia pewnych analiz i krótkiej oceny stosowanych metod geofizycznych w wykrywaniu obiektów podziemnych. Nie mam zamiaru oceniać efektów pracy radiestetów i jasnowidzów, bo – mimo wielokrotnie powtarzanych prób – nie poczułem w swoim wnętrzu żadnych fal. Nie jest to więc moja działka.

Zdaję sobie sprawę, że trudno jest przekonać wierzących, by nie wierzyli, a niewierzących, aby uwierzyli w ostatnio odkryte „skarby", ale być może dotrę do wątpiących.

Ale przejdźmy do skromnej nauki i opisu stosowanych metod rozpoznawania podłoża gruntowego.

JAK FALE NA WODZIE...

W nieinwazyjnych metodach badań struktury podłoża i wykrywania w nim nieznanych obiektów wykorzystywane są zjawiska związane z rozprzestrzenianiem się różnego rodzaju fal. Fala, przechodząc przez niejednorodny ośrodek gruntowy, ulega odbiciu, załamaniu, tłumieniu i innym bardziej złożonym zjawiskom fizycznym. Prostym przykładem tych zjawisk są okręgi powstałe na powierzchni wody po wrzuceniu do niej kamienia. Okręgi (fala) te, natrafiając na jakąś niewidoczną gołym okiem położoną płytko pod powierzchnią wody przeszkodę, ulegają zniekształceniom. Wyobraźmy sobie teraz, że na podstawie tych zniekształconych okręgów mamy określić rodzaj, kształt i głębokość powodującego te zmiany obiektu. Pomimo że takich doświadczeń byliśmy świadkami wielokrotnie, będzie to dla nas zadanie niezwykle trudne.

Fizyczną własnością fali jest między innymi jej długość powiązana z jej częstotliwością. Im dłuższa fala, tym mniejsza jej częstotliwość. Z zasad fizyki wynika, że fale długie o niskiej częstotliwości sięgają dużo głębiej w badane podłoże (są mniej tłumione) niż fale krótkie o wysokiej częstotliwości. Oczywiście oprócz różnic w częstotliwości, fale różnią się innymi właściwościami. Do wykrywania obiektów podziemnych są stosowane różnego rodzaju przyrządy wykorzystujące różne rodzaje fal. Fale możemy podzielić m.in. na:

› **sejsmiczne, akustyczne,** będące wynikiem wzbudzenia w wybranym punkcie drgań gruntu np. poprzez uderzenie młotem lub odpalając ładunki wybuchowe,

› **elektromagnetyczne (e.m.),** reprezentowane w przyrodzie przez bardzo szeroką gamę fal, posiadających, jak sama nazwa wskazuje, własności elektryczne i magnetyczne. Do tych fal zaliczane są tak fale (promieniowanie) rentgenowskie o bardzo wysokiej częstotliwości, fale „widzialne", czyli te, które rejestrujemy naszymi oczami, jak i bardzo długie fale „radiowe", o długości do dowolnej ilości kilometrów.

Również pomiary, oparte na poniższych metodach, powiązane są z rozprzestrzenianiem się fal:

› **elektrooporowych,** polegające na pomiarze przepływającego przez grunt prądu,

› **magnetometrycznych,** rejestrujących ziemskie pole magnetyczne wraz z jego zmianami,

fot. archiwum redakcji

› **grawimetrycznych,** (przy wykrywaniu niewielkich obiektów określane jako mikrograwimetryczne) mierzące z niezwykłą czułością wartości przyciągania ziemskiego w wybranym punkcie.
Wybór określonej metody badawczej czy rodzaju fal do lokalizacji poszukiwanego obiektu, zależy m. in. od:
› **głębokości** położenia obiektu pod powierzchnią terenu,
› **rodzaju obiektu** (kształt, materiał, wielkość),
› **własności fizycznych gruntu,** w których rozchodzi się fala.

ZASTOSOWANIE METOD BADAWCZYCH

Opiszę teraz w wielkim skrócie, gdzie mogą być zastosowane różne metody badawcze do wykrywania nieznanych obiektów podziemnych.

Metody wykorzystujące fale sejsmiczne lub akustyczne, stosowane są głównie do rozpoznawania dużych i głęboko położonych struktur geologicznych albo znajdujących się bardzo płytko (powiedzmy np. do 2 m głębokości) pod badaną powierzchnią obiektów. Rozchodzenie się tych fal w podłożu gruntowym zależy od jego „twardości" lub „plastyczności". I tak w skale (ośrodek „twardy") rozchodzą się bardzo dobrze, a np. w glinie są mocno tłumione, W trakcie wykonywania pomiaru w jednym punkcie terenu wzbudzana jest fala (drgania) poprzez np. uderzenie młotem. Fala ta rozchodzi się w gruncie, gdzie ulega odbiciom, załamaniom itp., a następnie, po pewnym czasie i z określonym natężeniem, jest rejestrowana przez ustawiony w innym miejscu geofon (urządzenia podobne do mikrofonów). Rozmieszczając wiele geofonów na wybranych profilach pomiarowych i powtarzając pomiary w różnych miejscach, otrzymuje się falowy obraz tego, co znajduje się pod powierzchnia terenu w dowolnej grafice. Rozpoznanie podłoża następuje na podstawie pomiarów prędkości fali i utraty jej energii (tłumienie). Z historii Polski możemy przytoczyć fakt, że jednymi z tych, którzy zastosowali te metody badawcze do wykrywania krypt, z ukrytymi w nich „skarbami", byli żołnierze szwedzcy, „opukując" kolbami muszkietów posadzki polskich kościołów.

Możliwość zastosowania fal elektromagnetycznych (e.m.) do rozpoznawania tego, co znajduje się pod niedostępnymi dla oka powierzchniami, jest zależna od ich długości. Fale e.m. o bardzo wysokich częstotliwościach, np. promieniowanie rentgenowskie, mają zastosowanie głównie w badaniu wewnętrznych struktur materiałów, prześwietleniach medycznych. Charakteryzują się one bardzo dużą dokładnością, ale bardzo małym zasięgiem głębokościowym. Do badania podłoża gruntowego wykorzystywane są fale e.m o znacznie niższej częstotliwości m.in. w urządzeniach określanych nazwą georadar lub angielskim skrótem GPR. Działanie ich polega na wysyłaniu z anteny impulsu fali e.m. i rejestracji powracającego impulsu, odbitego od jakiegoś elementu znajdującego pod badaną powierzchnią. Należy jednak zaznaczyć, że wysyłana fala nie ma charakteru promienia laserowego, a bardziej lub mniej ukierunkowanej wiązki o przekroju dwuwymiarowym. Z tego powodu otrzymane obrazy falowe są bardziej skomplikowane w interpretacji. Z uwagi na właściwości fizyczne, fale e.m. odbijają się np. całkowicie od elementów metalowych, które są najlepiej rejestrowane przez GPR. Kolejnym jednym z lepiej odbijającym fale materiałem występującym w gruncie jest woda, a w dalszej kolejności pustka. Możliwości pomiarowe GPR zależne są od rozwiązań konstrukcyjnych oraz rodzajów anten dostosowanych do wysyłania i odbioru fal o określonej częstotliwości. W zależności od zastosowanych anten dopasowanych do odpowiednich częstotliwości możemy wykrywać obiekty o wielkościach „centymetrowych" do głębokości powiedzmy ok. 1 m lub obiekty o przekroju 2-3 m znajdujące się na głębokości kilkunastu metrów. Są to oczywiście roz- >>>

NIEMIECKIE POCIĄGI PANCERNE W 1945 ROKU

W dniu 12 stycznia 1945 roku rozpoczęła się **OPERACJA WIŚLAŃSKO-ODRZAŃSKA,** której Wehrmacht nie mógł się skutecznie przeciwstawić. Tylko w styczniu utracono kilka pociągów w trakcie odwrotu, z powodu zniszczonych mostów. Na przykład Panzerzug 11, dawny polski pociąg pancerny nr 54 **„PIERWSZY MARSZAŁEK",** który działał aż do 13 stycznia 1945 roku gdy pod Chęcinami został opuszczony przez załogę. W lutym 1945 roku OKH powołał Grupę Bojową Pociągów Pancernych **„WISŁA"** dla wzmocnienia frontu. W walkach o Pomorze utracono kolejne pociągi pancerne, np. Panzerzug nr 77 wpadł w rosyjską zasadzkę i został zniszczony pod Bobolicami 26 lutego, Panzer-Lehrzug 5 (ex PZ 75) zniszczono w rejonie Białogardu 5 marca 1945 r. Żołnierze polscy także zetknęli się z pociągami pancernymi przeciwnika. I tak PZ 72a w dniu 7 marca przyjechał do Kołobrzegu, po czym brał aktywny udział w odpieraniu ataków 3. Dywizji Piechoty. Walczył do 16 marca, gdy uszkodzony ogniem artylerii, został porzucony. Bliźniaczy skład PZ 72b walczył trochę dłużej, gdyż w marcu 1945 r. wspierał oddziały niemieckie broniące się w rejonie Gdyni i 31 marca został wysadzony przez własną załogę na Oksywiu. W rejonie Gdańska i Wielkiego Kacka utracono także pociągi nr 28, 52 i 68 wspierające obronę Trójmiasta.

>>> ważania poglądowe. Jeżeli te obiekty będą większe, to będą możliwe do wykrywania na większej głębokości. Istotną cechą konstrukcyjną jest również to, że dla coraz większych długości stosowanych fal konieczne jest zwiększanie rozstawu anten oraz ich wielkości. Jest to powiązane z prawami fizyki.

Rozpoznanie podłoża gruntowego z zastosowaniem metody elektrooporowej można wykonywać teoretycznie do dowolnej głębokości. Wykonuje się je poprzez interpretację wyników pomiaru oporu elektrycznego gruntu na różnych głębokościach i powiązanie tych wyników z własnościami elektrycznymi skał lub innych obiektów.

Pomiar oporności gruntu odbywa się poprzez doprowadzenie do niego prądu elektrycznego za pomocą dwóch elektrod, a następnie pomiaru innymi dwoma elektrodami usytuowanymi w innym miejscu napięcia prądu, który „przepłynął" przez grunt, prawie tak jak przez przewód elektryczny. Elektrody muszą mieć bezpośredni kontakt z gruntem. Zwiększając odległości między elektrodami, osiąga się coraz większe zasięgi głębokościowe.

Znając położenie względem siebie elektrod prądowych i pomiarowych na powierzchni terenu, określa się przewodnictwo gruntu w określonym miejscu i na pewnych poziomach głębokościowych. Wykonując pomiary w różnych punktach terenu, zmieniając odległości pomiędzy elektrodami prądowymi i pomiarowymi, tworzony jest obraz „opornościowy" badanego podłoża gruntowego. Otrzymane wyniki pozwalają na uzyskanie geoelektrycznych przekrojów gruntu w formie dwuwymiarowego przekroju lub obrazu przestrzennego.

Najlepsze wyniki uzyskuje się, gdy poszukujemy obiektów w gruncie jednorodnym lub w warstwach geologicznych ułożonych równolegle do powierzchni terenu, na której wykonywany jest pomiar. Ważnym jest również, aby pomiędzy wykrywanym obiektem a otaczającym go środowiskiem były duże różnice oporności. I tak pustka charakteryzująca się teoretycznie nieskończonym oporem elektrycznym, będzie łatwiej rejestrowana w gruntach gliniastych, które cechuje niskim opór, niż w suchych piaskach lub skałach o wysokim oporze. Przyjmuje się, że wykrycie pustki (tunelu) jest możliwe do głębokości 5 razy większej od jej przekroju. Założenie takie możemy również w przybliżeniu przyjąć dla badań georadarowych.

Pomiary przewodnictwa elektrycznego gruntu można wykonywać z zastosowaniem tzw. konduktometru. Określanie wielkości przewodnictwa gruntu w tym przypadku odbywa się przez pomiar różnicy fazy między falą pierwotną wysłaną z anteny nadajnika a falą wtórną odebraną przez odbiornik. W tej metodzie nie jest wymagany bezpośredni kontakt anten z gruntem.

Znając wartość przesunięcia fazy fali pierwotnej do wtórnej, częstotliwość fali i odległość między antenami, obliczamy przewodność ośrodka gruntowego.

Pomiary wykonywane są punktowo wzdłuż wyznaczonych profili. Anteny są konstrukcyjnie połączone, gdy ich rozstaw nie przekracza 4 m. Jeżeli rozstaw anten jest większy, to są one rozdzielne.

Zasięg głębokościowy zależy od mocy aparatury, stosowanych częstotliwości fal elektromagnetycznych (od kilkuset do kilkunastu tysięcy herców) oraz odległości pomiędzy antenami. Im mniejsza częstotliwość fali elektromagnetycznej i większa odległość pomiędzy antenami, tym głębsza jest penetracja podłoża (do kilkudziesięciu metrów).

Interpretacja wyników polega na wydzieleniu odcinków anomalnych świadczących o istnieniu w podłożu obiektu zaburzającego rozkład pola elektrycznego. Jeżeli takim obiektem będzie pustka, to opór gruntu będzie wyższy w porównaniu z otoczeniem. Natomiast gdy będzie nim stalowy zbiornik, to oporność ulegnie zaniżeniu. Zaletą omawianej metody jest szybkość wykonywania pomiarów i brak konieczności fizycznego kontaktu z podłożem. Do jej wad należy zaliczyć brak możliwości oceny głębokości wykrywanego obiektu oraz, podobnie jak przy metodzie elektrooporowej, słaba rozdzielczość.

Metoda mikrograwimetryczna jest wariantem metody grawimetrycznej z technologią pomiarową dostosowaną do poszukiwania małych obiektów. Wielu z nas nie zdaje sobie sprawy z tego, że

stojąc nad podziemną pustką, jesteśmy odrobinę… lżejsi. Jest to wynikiem zmniejszenia przyciągania ziemskiego w miejscu, gdzie gęstość gruntu jest mniejsza. Istota metody grawimetrycznej opiera się właśnie na pomiarze siły ciężkości. Do badań polowych wykorzystuje się przyrząd zwany grawimetrem. Przyrząd ten używany w badaniach poszukiwawczych nie podaje wartości absolutnych siły ciężkości, ale wartości względne. Pomiary wykonywane są punktowo wzdłuż zaprojektowanych profili lub siatek profili, a następnie przedstawiane graficznie w formie wykresów lub izolinii powierzchniowych rozkładów gęstości podłoża. Zaletą tej metody jest brak wpływu na wyniki pomiarów innych własności fizycznych gruntu poza jego gęstością i niereagowanie na zewnętrzne zakłócenia np. falami elektromagnetycznymi. Jedynie drgania gruntu, w pewnym zakresie częstotliwości, obniżają dokładności pomiaru. Do wad tego rodzaju pomiarów możemy zaliczyć ich pracochłonność. Również zasięg głębokościowy, tak jak i w innych metodach, jest zależny od wielkości wykrywanego obiektu. Dla pustek o przekroju ok. 2 m będzie on wynosił do kilku metrów.

Oddziaływanie ziemskiego pola magnetycznego powoduje namagnesowanie skał i obiektów tworzących podłoże gruntowe. Stopień namagnesowania zależy od zawartości w nich materiałów o różnych właściwościach magnetycznych. Powodują one występowanie na powierzchni Ziemi dodatkowego pola magnetycznego zmieniającego naturalne ziemskie pole. Zmiany tego pola tworzą tzw. anomalie magnetyczne. Do ich wykrywania stosowane są magnetometry, mierzące bezwzględne zmiany natężenia pola magnetycznego, lub gradiometry (magnetometry z dwoma czujnikami) prezentujące już tylko względna wartość wykrytej anomalii. Ich analizy pozwalają rozpoznać struktury podpowierzchniowe. Każde ciało ma większe lub mniejsze właściwości magnetyczne.

Większość ciał magnesuje się w bardzo małym stopniu np. miedź, złoto, cynk, srebro, siarka i szkło. Kilkaset razy silniej magnesują się: sód, potas, platyna i sole żelaza, a tysiąckrotnie silniej magnesują się ferromagnetyki. Zaliczamy do nich żelazo, nikiel, kobalt i stopy tych metali. Pierwotnie magnetometry były wykorzystywane m.in. do wykrywania właśnie tych ferromagnetycznych materiałów. Postęp techniki pozwolił na bardzo duży wzrost czułości magnetometrów, w tym i gradiometrów. Pozwala to na wykrywanie za ich pomocą nie tylko ferromagnetyków, ale również płytkiego rozpoznawania struktury gruntów, m.in wykrywanie pustek, zasypanych ceglanych murów itp.

Opisane wyżej, w sposób uproszczony, metody rozpoznawania podłoża gruntowego są jednymi z podstawowych metod badawczych stosowanych w geofizyce.

APARAT, KTÓRY ZNALAZŁ „ZŁOTY POCIĄG"

Moda na poszukiwanie ukrytych pod ziemią tajemnic spowodowała rozwój, oprócz tradycyjnych wykrywaczy obiektów metalowych, coraz to większej liczby różnorodnych aparatur łączących cechy wykrywaczy metali i magnetometrów wyposażonych w czujniki magnetyczne. Są również urządzenia, w których stosowane są rozwiązania georadarowe. W ofertach niektórych firm produkujących tego typu aparaty pojawia się niekiedy w nazwie dodatek BIO, ale tego nie będę starał się analizować. Wszystkie te urządzenia mają coraz bogatsze oprogramowanie, ułatwiające interpretację otrzymanych wyników. W wielu przypadkach zależy ono od lepszej lub gorszej inwencji programistów, którzy do charakteru rejestrowanych sygnałów dobierają model obiektu, który może być ich przyczyną. Jest to oczywiście wynikiem postępu techniki, jak i zwykłego marketingu. Bo by dana aparatura się sprzedawała z jak najlepszym efektem, powinna znaleźć jak największą >>>

Najsłynniejsze „zdjęcie georadarowe" w Polsce ze szczegółami konstrukcyjnymi rzekomo odkrytego pociągu.

>>> liczbę osób, które zechcą ją kupić. Aby to osiągnąć, powinna być ona nie tylko jak najprostsza w obsłudze, ale również nie może wymagać od jej operatora zbyt wielkiego wysiłku w interpretacji otrzymywanych z niej wyników. Wszyscy producenci muszą oczywiście zachwalać swój produkt, podając bardziej lub mniej prawdziwe informacje o jego możliwościach.

Historia „złotego pociągu" sprowokowała mnie do próby oceny zastosowanej do jego wykrycia aparatury określanej symbolem KS-700. Nie ukrywam, że formalnie jest to zadanie trudne z powodu braku szczegółowych danych i dostępnych w internecie instrukcji tego przyrządu. Podjąłem jednak się tej próby z uwagi na ponad trzydziestoletnie doświadczenie w pracy z georadarem i innymi metodami badania podłoża gruntowego. Nie omieszkałem również zasięgnąć opinii wielu specjalistów wykonujących tego rodzaju badania.

Pierwszą podstawową sprawą jest ustalenie, kto jest producentem tej aparatury. Na stronie internetowej KS-700 widnieje informacja KS Analysis, technologia niemiecka, i kontakt do pracownika. Z tego co udało się mi ustalić, z pomocą kolegów z Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego, firma pod tą nazwa nie jest raczej zarejestrowana w Niemczech i jedyny kontakt z nią odbywa się poprzez jej przedstawiciela.

Dane techniczne aparatury przedstawiane w internecie nie pozwalają na ustalenie zasady jej działania, a zapytania w tej sprawie do przedstawiciela firmy nie przynoszą żadnych efektów (być może jest to tajemnica firmy). We wcześniejszych opisach tej aparatury, jeszcze tych z 2011 r., przy jej nazwie widnieje angielski skrót FMCW, czyli radar zmiennoczęstotliwościowy. Obecnie skrót ten nie jest używany przy nazwie tej aparatury.

Osiągnięcia tej aparatury prezentowane na stronie internetowej są imponujące. Oczywiście podana możliwość wykrywania pustek na głębokości 30 m w wapieniu (bardzo dobry ośrodek dla georadaru), jest możliwa dla typowego georadaru, ale z zastosowaniem dużo większej anteny. Na tej samej stronie możemy jednak znaleźć referencje stwierdzające wykrycie *„stosunkowo niewielkich tuneli, na głębokości 70 m"*. Hm!?

ANALIZA ZDJĘCIA

Spróbujmy więc poddać analizie sam obraz otrzymywany z tego georadaru na podstawie sławnego już zdjęcia domniemanego pociągu, który później został objaśniony jako obraz szybu. Zdjęcie można znaleźć na stronie http://xyz-spolkacywilna.pl/?p=39. Nazwijmy je zdjęciem nr 1.

Obraz ten charakteryzuje się stosunkowo małą, jak na georadar, rozdzielczością. Pomijam tu wmontowany „obrobiony" fragment szybu. Zauważamy również, a jest to widoczne jeszcze bardziej na prezentowanych w internecie zdjęciach z nowych odkryć, że kształt wykrytych warstw geologicznych czy podziemnych obiektów rysuje się blisko powierzchni terenu. W geordarach jest to wynikiem tzw. „powielenia" sygnałów i nie należy ich analizować na większych głębokościach. Nie można takiego obrazu interpretować, jak słyszałem w jednym z wywiadów telewizyjnych od użytkownika tej aparatury, że czerwony kolor to humus (kilka metrów?), żółty ziemia (?) a zielony to skała. Rozumiem, że niebieski to woda…

Obraz ten przypomina mi wyniki uzyskiwane z bardziej znanej aparatury na polskim rynku, FUTURE–160 i innych produkowanych przez firmę OKM. Aparatura ta wykrywa głównie obiekty metalowe, ale również rejestruje inne zmiany w gruncie na niewielkich głębokościach.

POCIĄGI PANCERNE NA DOLNYM ŚLĄSKU

Na Dolnym Śląsku najsławniejszy i najbardziej tajemniczy jest improwizowany pociąg pancerny „Poersel" z równie improwizowanej obrony „Festung Breslau". Jego nazwa pochodzi od nazwiska dowódcy, a zbudowano go w oblężonym mieście. Niestety wygląd tego pociągu i los po kapitulacji garnizonu Wrocławia w maju 1945 roku pozostają nieznane...

Wiadomo natomiast, że 11 lutego 1945 r. w Szprotawie został zniszczony Panzerzug nr 22, w którego skład wchodził wagon artyleryjski polskiego pociągu PANCERNEGO NR 54 („GROŹNY"). W tym samym czasie (około 10-12 lutego) na linii kolejowej Wrocław-Świdnica inny z niemieckich pociągów pancernych powstrzymywał natarcie sowieckiej brygady pancernej, mając za zadanie utrzymać ostatnią linię kolejową łączącą „Festung Breslau" z Rzeszą. Dzięki zaskoczeniu udało mu się zatrzymać atak i zadać przeciwnikowi spore straty, lecz w walce z czołgami pociąg został mocno uszkodzony i wycofał się z pola walki.

Kilkanaście pozostałych w służbie pociągów pancernych funkcjonowało aż do dnia kapitulacji Niemiec. Na przykład wyróżniający się w 1939 roku Panzerzug nr 7 w ostatnich dniach wojny walczył na terenach Czech i Moraw, gdzie 9 maja 1945 roku został porzucony przez załogę. Podobny los spotkał większość pozostałych pociągów pancernych i koniec ich służby jest znany, aczkolwiek podobno nie wszystkich...

Miałem również okazję osobiście porównać wyniki badań KS-700 z georadarami RAMAC i ZOND. W wyznaczonym miejscu, w którym na podstawie ukształtowanie terenu oraz innych danych mógł znajdować się szyb, wykonano badania wymienionymi przyrządami. Wszystkie trzy aparatury wykryły niejednorodność w badanym gruncie. Otrzymane z nich obrazy były, zgodnie z zasadami interpretacji, charakterystyczne dla płytko położonej pustki rejestrowanej na głębokości ok. 1 m pod poziomem terenu. Aparatura KS-700 pokazała w formacie 3D, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, szyb o średnicy ok. 3 m, sięgający głębokości co najmniej kilkunastu metrów. Interpretacja wyników z pozostałych georadarów sugerowała również istnienie podziemnej pustki (Fot. 2). Kierując się jednak doświadczeniem, zacząłem analizować inne możliwe warianty interpretacji. Drugą wersją interpretacji możliwych do otrzymania z wyników badań wykonanych georadarami RAMAC i ZOND, była możliwość gromadzenia się pod powierzchnią terenu wody opadowej. Ponieważ wykryty „szyb" zarejestrowany został płytko pod powierzchnią terenu, można było wykonać łatwą weryfikację wyników. Wykonano wykop. Jego wynikiem było „bagienko" i lita, nienaruszona skała, której strukturę potwierdzono dodatkowym odwiertem. Szybu w tym miejscu nie było.

Obraz tego „szybu" był prawie identyczny, jak przedstawiony na Fot. 2 obraz z KS-700 zamieszczony na stronach internetowych tej aparatury.

ZDJĘCIA PUBLIKOWANE W PRASIE I OPINIA SPECJALISTÓW

Rewelacyjne jest zdjęcie zamieszczone w niemieckiej prasie i przedrukowne w Gazecie Wrocławskiej z bardzo krytycznym komentarzem dr inż. Jerzego Ziętka z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, specjalisty posiadającego bardzo duże doświadczenie w badaniach georadarowych. Zdjęcie jest dostępne na stronie: http://www.gazetawroclawska.pl/artykul/749-0063,mamy-zdjecie-zlotego-pociagu-na-pokladzie-skarby-i-czolgi-a-moze-to-przekret,id,t.html

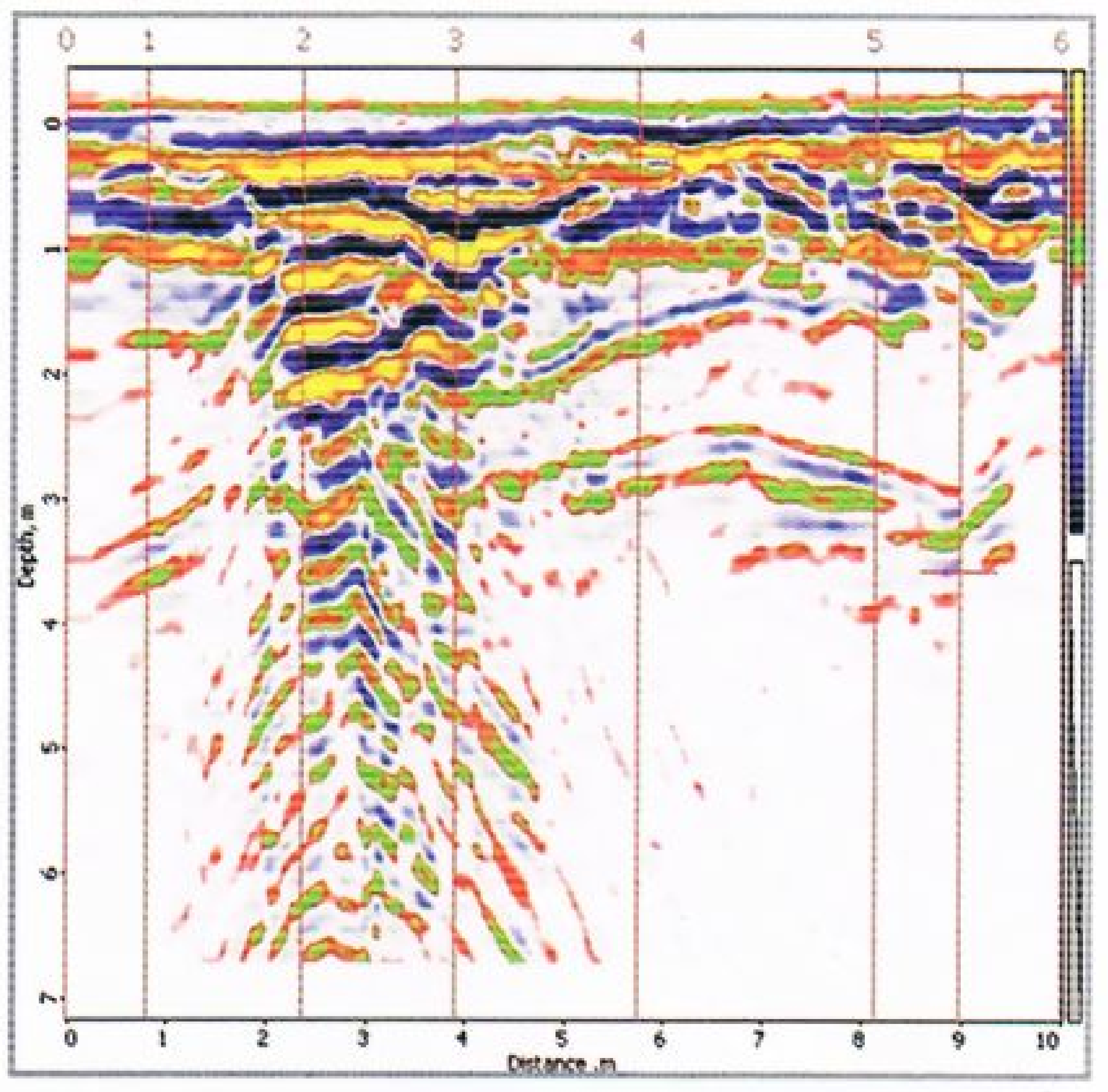

Fot. 2

Jest to owszem bardzo sugestywne zdjęcie dla laika i pokazuje możliwości obróbki komputerowej KS-700. Moim zdaniem za duże.

Prof. dr hab. inż. dr Tomasz Gołębiowski z Politechniki Krakowskiej specjalizujący się w badaniach georadarowych, tak praktycznych jak i teoretycznych, po uzyskaniu informacji o możliwościach tej aparatury, skontaktował się ze specjalistami znanego producenta georadarów zmiennoczęstotliwościowych FMCW prosząc o ich opinię. Odpowiedź była prosta. Aby uzykać georadarem tego typu tak duże głębokości penetracji, anteny muszą być znacznie większych rozmiarów – praw fizyki nie da się zmienić.

Gdyby możliwe było uzyskiwanie tak dokładnych obrazów z głębokości 8-12 m (wg wywiadów odkrywców) to wynalazca tego urządzenia powinien otrzymać Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Jeżeli nie jest to prawda, to nagroda należy się odkrywcom „złotego pociągu", ale w dziedzinie ekonomii za promocję Wałbrzycha.

Można postawić jeszcze dodatkowe pytania dotyczące tej aparatury:

– jeżeli posiada ona tak wspaniałe osiągnięcia i istnieje na rynku co najmniej od 2011 r., to dlaczego znani na świecie producenci georadarów nie wykupili praw do produkcji tego urządzenia?

– dlaczego KS-700 nie prześwietlił do tej pory piramid egipskich, a państwo Izrael wciąż ma kłopoty z wykryciem palestyńskich tuneli przemytniczych?

Pytań tego rodzaju można postawić więcej.

Mam nadzieję, że „złoty pociąg" naprawdę istnieje we wskazanym przez jego odkrywców miejscu i został odkryty na podstawie jeszcze innych badań. Obraz z georadaru miał dodatkowo przekonać niedowiarków.

Jeżeli ten pociąg istnieje na wskazanej przez jego odkrywców głębokości, to inne metody badawcze pozwolą na szybką weryfikację tego faktu. <

dr inż. Wiesław Nawrocki

Dyr. Zakładu Badań Nieniszczących sp. z o.o., wieloletni współpracownik i ekspert Miesięcznika „Odkrywca" z zakresu badań geofizycznych, autor i współautor kilkudziesięciu publikacji naukowych z zakresu nieinwazyjnych badań podłoża i kilkuset specjalistycznych ekspertyz georadarowych.

REKLAMA

Prócz pociągu pod Wałbrzychem jest jeszcze jedna, niewyjaśniona do tej pory legenda skarbowa o wielkim znaczeniu...

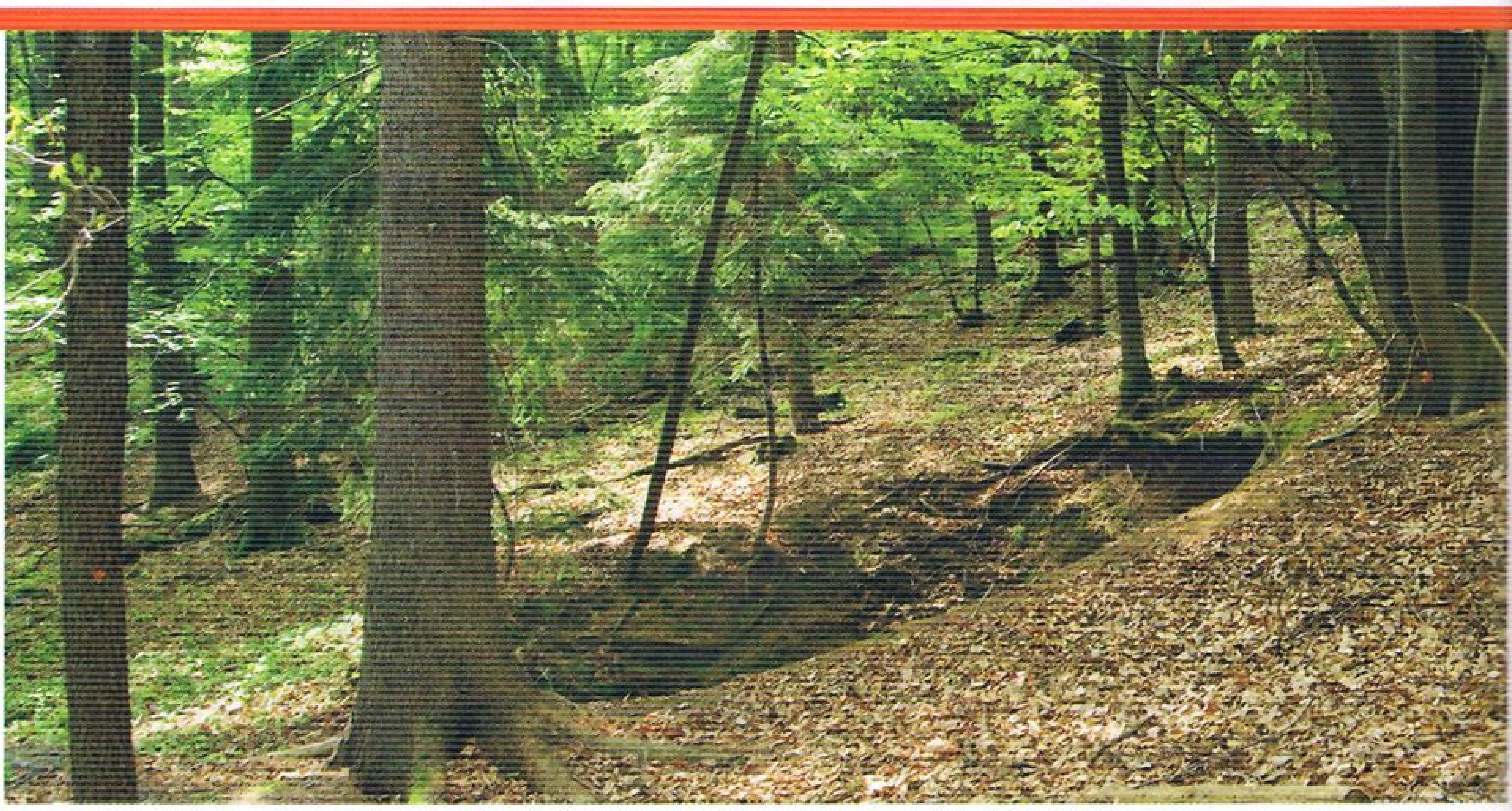

CZ. 1

ŚLEDZTWO W SPRAWIE SZCZELINY JELENIOGÓRSKIEJ

KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI

Chodzi o Szczelinę Jeleniogórską, na poły prawdziwe, na poły mityczne miejsce w pobliżu Jeleniej Góry, które skrywać miało od wojny niewyobrażalne wprost bogactwa. W świetle nowych faktów i ustaleń warto przypomnieć młodszemu pokoleniu poszukiwaczy podstawowe okoliczności tej sprawy.

Gdzieś w Sudetach...

...pod koniec II wojny światowej, został ukryty pod ziemią ogromny skarb. Ciężarówki wypełnione skrzyniami wjechały pod ziemię, wlot zawalono, świadków rozstrzelano. Wewnątrz – niebotyczne skarby: złoto, obrazy śląskich malarzy, w tym Willmanna, kosztowności. Pomiędzy nimi – jajka Fabergé: cud techniki jubilerskiej z carskiej Rosji, warte wiele milionów dolarów. Ktoś miał je odnaleźć, próbować sprzedać, zginął przez nie człowiek, potem do akcji wkroczyło państwo, wysłało swoje służby i zaczęła się nagonka na znalazców. Sprawa przycichła i przeniosła się na łamy prasy, książek i internetu – zaczęła powstawać legenda. Ile w tym prawdy, a ile fałszu?

„Szczelina Jeleniogórska" żyje w internecie na co najmniej 6 forach i 4 blogach. Na stronach tych odnaleźć można kilka artykułów prasowych, które kopiowane są przez popularne portale informacyjne. Najczęściej „Szczelina" pojawia się w połączeniu z takimi zwrotami

jak: „eksploracja", „poszukiwacze", „mityczna", „tajemnicza", „słynna", „skrytka", „poniemiecki schowek" lub po prostu „schowek", „sztolnia" i „depozyt". Kontekst „skarbowy" jest więc przeważający. Kilka miesięcy temu wykonałem z ciekawości przegląd internetowych opinii o tym temacie, które – co ciekawe – rozkładały się po połowie na przychylne sprawie, i te całkiem negatywne. Z jednej strony: *„Szczelina to legenda, która już lata temu zaczęła żyć własnym życiem (...), Romantyczna bajka opowiadana przy ognisku i piwku na zlotach niż rzeczywisty depozyt (...), Ściema na resorach. Historia dla ludzi bez wyobraźni (...), Tania kaczka dziennikarska (...)".* Z drugiej strony pojawiały się opinie całkowicie odmienne: *„Za dużo ludzi moczyło w tym palce i jest blokada informacyjna na temacie (...) Co powiecie o przedmiotach, które znaleziono podobno w szczelinie, ich zdjęcia się zachowały?".* Ludzie spierali się o „Szczelinę" na forach, blogach i w komentarzach pod artykułami, ale wszyscy poruszali się w sferze domysłów. Mając tak przeciwstawne argumenty na dwóch stronach szali, z ciekawością przystąpiłem do przejrzenia bardziej usystematyzowanych źródeł – publikacji prasowych.

Nowojorska aukcja a mord w Nowej Soli...

Moje poszukiwania doprowadziły mnie do wniosku, że historia „Szczeliny" zaczęła się od poniższej notatki z „Gazety Wyborczej" z 1992 roku: *„10 czerwca na aukcji u Sotheby's w Nowym Jorku [USA] będzie można kupić (jak oceniają organizatorzy, za ok. 3 mln dolarów) jubilerskie »Jajko Treofeum Miłości«, wykonane w 1905 roku na zamówienie cara Mikołaja II przez słynnego złotnika Petera Carla Fabergego. Od 1885 roku jajka Fabergego (potomek hugenockich imigrantów, urodzony w Petersburgu 1846 r., zmarł w Lozannie w 1920 r.) były na dworze Romanowów tradycyjnymi prezentami wielkanocnymi. Warsztat Fabergego wyprodukował 54 takie cacka. Siedem uważa się za zaginione, po II wojnie światowej na rynku pojawiły się tylko cztery [podkreślenie – KK]".* Krótko po aukcji, która odbiła się echem na całym świecie, w prasie polskiej i zagranicznej, w magazynie „Detektyw" ukazał się artykuł Andrzeja Popielskiego „Carska pisanka". Jego autor przedstawił w nim zaskakujące fakty: *„W kwietniu 1992 r. polska prasa doniosła, że Dom Aukcyjny »Sotheby's«« wystawia na aukcję w Nowym Jorku klejnot: szczerozłote zdobione emalią jajko. Nie wiem, ile »Sotheby's«« osiągnął podczas licytacji za owe cacko, bo prasa nie napisała, ale startowano od 3 mln dolarów! Ale temat jajka znany był polskiej policji ze sprawy, której jeszcze nie zamknięto".* Popielski opisał ze szczegółami, o jaką sprawę chodziło: *„Sąsiedzi Stanisława K. (personalia zmienione), mieszkańcy Nowej Soli, zauważyli, że w jego willi nie gaśnie światło. Rodzina 23 czerwca 1991 r., a później ekipa dochodzeniowa znalazła tam ciało 38-letniego Stanisława K., jego 18-letniego syna i 20-letniej Polki, przyjaciółki ojca. Stanisław K., człowiek bardzo bogaty, nie był wykształcony, ukończył zaledwie podstawówkę. Handlował, a często przedmiotami tego handlu były antyki i złoto. Co zginęło, nie wiadomo do końca. Na pewno dużo złota i pieniędzy. Rodzina szacowała, że gotówki mogło być nawet do kilkuset tysięcy dolarów! Na podłodze leżały złote drobiazgi, przy drzwiach wejściowych stały przygotowane do wywiezienia obrazy. Bandyci nie wzięli ich, więc albo się śpieszyli, albo znaleźli coś cenniejszego. Wśród opisywanych przez rodzinę zrabowanych przedmiotów był złoty trójkątny diadem z połączonych ażurowo starych złotych dolarów, dukatów austriackich i rubli. Było również... jajko ze złota, ok. 8-centymetrowej wysokości, inkrustowane emalią, puste w środku i zamykane półobrotem. Węższy jego wierzchołek przedstawiał niebieskie niebo, poniżej: góry ze szczytami w białej emalii. Spływały z nich złote wodospady, na złotej trawie rosły kwiaty z liściem. Ten opis przypominał robotę Petera Carla Fabergé...".*

"Trofeum Miłości" (Love trophy Egg) - jajko wielkanocne z warsztatu Petera Carla Faberge, wykonane w 1907 roku przez mistrza Henrika Wingstroema. Jajko zostało sprzedane w czerwcu 1992 roku na aukcji w nowojorskim domu aukcyjnym Sotheby's za 3,19 milionów dolarów anonimowemu nabywcy, ówczesny rekord finansowy dla tego rodzaju transakcji.

Andrzej Popielski jako pierwszy powiązał sprawę aukcji w Nowym Jorku ze zrabowanymi w domu Stanisława K. – który tak naprawdę nazywał się Waldemar Huczko – precjozami. Kolejne informacje na temat przyniosły relacje innych dziennikarzy, jak na przykład Ewy Przybyckiej z „Gazety Wyborczej", która śledziła sprawę morderstwa Cygana: *„Krewni zabitego twierdzą, że w skrytce było przynajmniej jedno złote jajo Fabergé z kolekcji cara Mikołaja II. Informację tę potwierdził znany jeleniogórski kolekcjoner dzieł sztuki, który widział klejnot u Waldemara Huczki i nie wątpił w jego autentyczność".* Konkurencyjna „Rzeczpospolita" donosiła z kolei, że *„nieoficjalnie mówi się, że wartość skradzionych przedmiotów sięgała nawet dwóch miliardów zł [po denominacji w 1995 r. była to równowartość ok. 2 milionów złotych – dop. KK], a wśród precjozów miało się znajdować jajo wielkanocne Fabergé".*

Wskazanie sztolni za 45% wartości znaleziska

Do kolejnego ważnego zdarzenia w sprawie „Szczeliny", tylko pozornie nie związanego z morderstwem Roma, doszło pod koniec 1994 roku. W słynnym kwartalniku o skarbach „Eksplorator" ukazał się taki oto apel skierowany do polskiego rządu, którym kierował w tym czasie Waldemar Pawlak: *„W ostatnim czasie Polskie Towarzystwo Eksploracyjne, mając na uwadze umożliwienie dalszego rozwoju poszukiwań, wystosowało list otwarty do rządu premiera Pawlaka, o zmianę niektórych przepisów, utrudniających, a niekiedy* >>>

>>> *nawet uniemożliwiających działania poszukiwawcze. Zarząd PTE we Wrocławiu, zgodnie z wytycznymi Walnego Zgromadzenia, oraz w imieniu grupy indywidualnych poszukiwaczy* [podkreślenie – KK], *zwraca się z uprzejmą prośbą do Pana Premiera o spowodowanie zmian niektórych postanowień aktualnie obowiązującej ustawy o ochronie dóbr kultury i muzeach".* Proszę zwrócić uwagę na moje podkreślenie, które wskazuje, że do PTE zgłosiła się „grupa ludzi" z interesującą sprawą. Jaka to była sprawa, można było wyczytać między wierszami nieco dalej: *„PTE dysponuje informacją o dotarciu przez kilkuosobową grupę poszukiwaczy do rozległej sztolni, dobrze ukrytej, zawierającej dzieła sztuki i wyroby ze złota i bursztynu* [podkreślenie – KK]. *Część złota została przetopiona, wartościowsze pierścienie i sygnety wywiezione do RFN, zaś bursztyn pocięty na koraliki. Ponieważ działalność ta mogła stać się niebezpieczna, przez pełnomocników grupa ta zwracała się do wojewody jeleniogórskiego z ofertą wskazania sztolni za 45% wartości znaleziska, i niedociekania tego, co już zostało wydobyte. Brak decyzji władz sprzyja dalszej grabieży".* Proszę zwrócić uwagę: ponownie pojawia się grupa poszukiwaczy, we wcześniejszym fragmencie nazwana grupą indywidualną, dalej zaś kilkuosobową. Analizując list, nieodparcie odnosi się wrażenie, że chodzi o jedną i tą samą grupę, która dostarczyła informację o „rozległej sztolni" do PTE i poprosiła o wystąpienie w ich imieniu do premiera polskiego rządu, ponieważ ich wcześniejsze próby z władzami wojewódzkimi nie dały satysfakcjonujących rezultatów. Rzeczywiście, w 2014 roku udało mi się dotrzeć do byłego wojewody, który potwierdził w autoryzowanej rozmowie, że… do takiego spotkania doszło. Zastanawiający był także inny fragment apelu o tym, że *„działalność ta mogła stać się niebezpieczna",* który sugerował, że anonimowi poszukiwacze mieli jakieś problemy z opróżnianiem ukrytej sztolni. Charakter oferty złożonej wojewodzie jeleniogórskiemu wskazywał także, że część dzieł sztuki czy też wyrobów ze złota została już wydobyta, a poszukiwacze niespecjalne chcieli się tym chwalić (znalazcom zależało, by nie dociekać tego, co już zostało wydobyte).

„To, co ujrzał, zaparło mu dech w piersi"

Czytając tekst z kwartalnika „Eksplorator", nie zdawałem sobie na początku sprawy, w jaki sposób apel powiązany jest z zabójstwem Cygana, ale szybko miałem się o tym przekonać. Niecały rok później, 21 listopada 1995 roku, ukazała się kolejna istotna publikacja. Był to artykuł Ryszarda Wójcika, znanego dziennikarza i dokumentalisty, pod tytułem „Rembrandt w lochu", który ukazał się w popularnym „Nowym Detektywie". Wójcik opisywał, że w jego redakcji pojawił się tajemniczy informator, który przekazał mu następujące informacje: *„Jest stuprocentowo pewne odkrycie ogromnego »depozytu« ukrytego w podziemnym bunkrze w końcowych tygodniach wojny. Znajdują się w nim w głównie dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, a także kosztowności z muzeów Ukrainy oraz Rosji. Podziemie jest tak obszerne, że stoją tu samochody ciężarowe i wojskowe gaziki, z ładunkami wciąż nie rozpoznanymi. Jeden z odkrywców bunkra wszedł – sam – do jego wnętrza po linie, przez wąski komin wywietrznika. Lina była za krótka, ale to, co ujrzał, zaparło mu dech w piersi: brązy, srebra i złoto migotały z daleka w świetle latarki… Za drugim razem, gdy przyszedł ze wspólnikiem, ujrzeli trupy kilkunastu oficerów niemieckich, jeden, zapewne samobójca, siedział za kierownicą auta z pistoletem w dłoni…".* Zauważmy, że to w tym momencie, po raz pierwszy w historii „Szczeliny" pojawił się intrygujący opis rzekomo ukrytych w podziemiach pojazdów oraz martwych oficerów niemieckich. Te dwa sugestywne, zapadające w pamięć obrazy, na długo stały się znakiem rozpoznawczym „Szczeliny Jeleniogórskiej". Dodajmy od razu dla jasności, że nazwa ta dopiero miała się pojawić i w momencie powstawania artykułu Wójcika nie była jeszcze używana w prasowym czy innym oficjalnym obiegu.

„Tu chodzi o miliardy dolarów"

Po analizie tekstu Wójcika raz jeszcze przyjrzałem się treści li-

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

stu otwartego PTE z 1994 roku, porównując go do relacji informatora dziennikarza z listopada 1995 r. Skąd mogłem mieć pewność, że PTE i informator mówili o tym samym miejscu? Przecież Dolny Śląsk, ze swoją bogatą historią górniczą, był i jest podziurawiony niczym szwajcarski ser i nietrudno tutaj o *„podziemne bunkry i rozległe sztolnie"*. Wpatrywałem się w oba teksty, nie zauważając tego, co było cały czas przed moimi oczami... Odpowiedzi bowiem kryły się w ostatniej części artykułu Wójcika, które wskazywały, że to ci sami ludzie odwiedzili Wójcika, jak i wpłynęli na publikację apelu PTE. *„Jak sprzedać Rembrandta? – pyta Numer Jeden [informator – dop. KK]. To nie inkrustowane jajko ze złota [podkreślenie – KK] ani krzyżackie monety czy słoik z rublówkami. Wydostanie się takiego obrazu na powierzchnię, wystawienie go na aukcję – to pewna wpadka dla znalazcy. A bunkier kryje podobne dzieła sztuki najwyższej klasy! Jak więc rozgryźć ten problem? Obaj znalazcy – bo dziś jest ich dwóch – czują się nieszczęśliwi: mają zbyt wiele, by móc to odsłonić. Coś już uszczknęli, więc wobec prawa nie są w porządku. Z Niemcami nie chcą mieć kontaktu – boją się kuli w plecy. Jeden z nich stale przebywa za granicą, próbuje to i owo spieniężyć, a ten drugi – szuka dziury w betonowym polskim prawodawstwie, rozpytuje dziennikarzy, odwiedza nawet Polskie Towarzystwo Eksploracyjne we Wrocławiu (...) Z biegiem miesięcy sprawa staje się coraz bardziej jawna, ale ani na jotę nie bliższa rozwiązania..."*.

To jednak nie wszystko. Informator miał dla Ryszarda Wójcika pewien ciekawy dokument. *„Otrzymałem brulion »Porozumienia wstępnego«, z jakim chcą wystąpić nieszczęśnicy do... rządu: Pkt. 1 Przypadkowi znalazcy spodziewają się dobrodziejstwa za wskazanie miejsca depozytu, oczekują zadośćuczynienia w wysokości 20 proc. ceny aukcyjnej. Pkt. 2. Znalazcy chcą do końca pozostać anonimowi, co jest wymogiem ich bezpieczeństwa osobistego i prawnego. Pkt. 3. Strona Rządowa zobowiązuje się zabezpieczyć pod każdym względem ochronę znaleziska, jak i konieczny transport oraz uszczegółowioną inwentaryzację ostatecznej wyceny (...)."* Proszę nie zakładać, że dziennikarz tak łatwo uwierzył swojemu informatorowi, o czym świadczyć może fragment ich rozmowy przytoczonej w artykule: *„Chce pan, aby polskie prawo wynalazło furtkę dla 2 awanturników, którzy mają dużo do zaoferowania? – pytał Ryszard Wójcik. – Czy 80 proc. to mało dla państwa? Tu chodzi o miliardy dolarów! – Prawo nie jest z gumy. Wielki pieniądz nie może kruszyć autorytetu. To niemoralne. – To niech pan czyni, redaktorze, co w pańskiej mocy, by te skarby nie uciekły z Polski, by przez zatkanie szybu wentylacyjnego – nie ucierpiały...– Ja czynię, co mogę, drogi panie. Ja o tym piszę (...)"*.

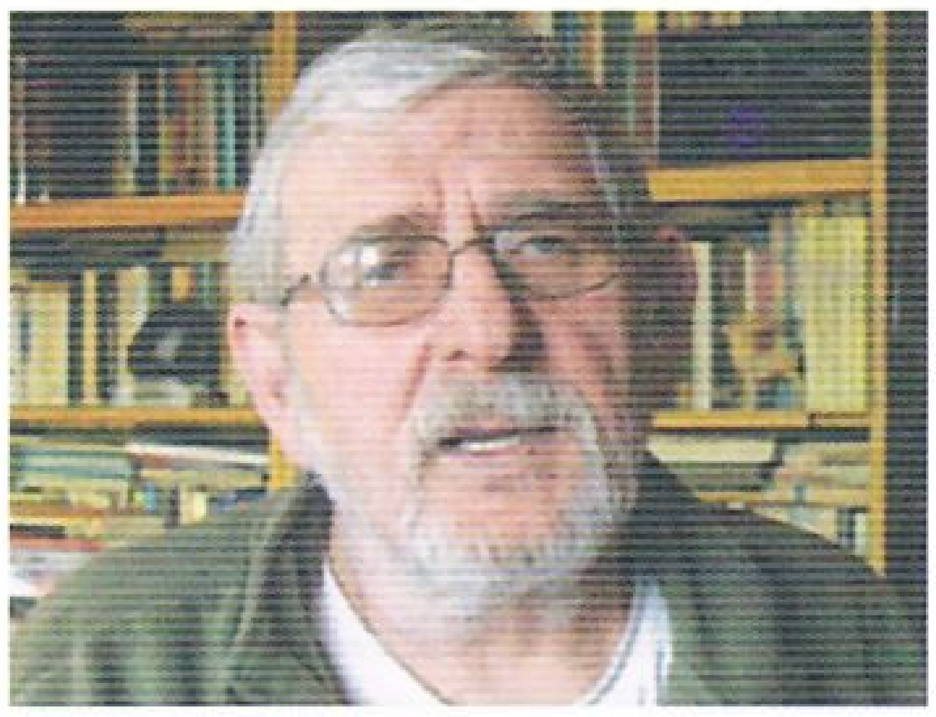

Marek Chromicz, dziennikarz „Nowin Jeleniogórskich", autor publikacji dotyczących „Szczeliny".

fot. archiwum redakcji

Znaleźli Cygana z obciętą głową

Historia tego spotkania miała swój dalszy ciąg, opisany w książce Ryszarda Wójcika „Łowcy skarbów" z roku 1997. Jeden z rozdziałów nawiązywał do spotkania dziennikarza ze swoim informatorem i opisywał dalszy ciąg poszukiwań „podziemnego bunkra". Dziennikarz otrzymał nietypową misję od swojego szefa, biznesmena i wydawcy „Nowego Detektywa" Józefa Śniecińskiego, postaci jak najbardziej autentycznej i wiarygodnej. *„W sąsiednim pokoju siedzi ktoś, kogo znam z czasów PRL jak zły szeląg, dawny funkcjonariusz wiadomych służb, ale nie z tych drobnych cwaniaczków, co łapią byle okazję dla łatwego grosza... On mówi, że chce mieć we mnie pośrednika do rozmów z rządem na temat znaleźnego przy skarbie liczonym na miliardy dolarów* [podkreślenie – KK], *rozumiesz? Wie, że się kręcę w wysokich sferach, znam ministra finansów, muszę znać, bo firmę mam taką i wydawnictwo odpowiednie, wie, że pracują dla mnie prawnicy pierwszej ligi, więc przyszedł z propozycją, bym dał zaufanego dziennikarza, który pojedzie z nim do Szklarskiej Poręby i tam na miejscu spisana zostanie oferta znalazców tunelu, skierowana do instancji rządowej. Niech określą, ile z tego chcą mieć i na jakich warunkach się ujawnią do podpisania kontraktu. Kto wie? Może oni coś naprawdę odkryli"*. Wójcik ponownie nie krył swojego sceptycznego podejścia do sprawy. *„Sami nie próbują wydobyć? – Próbują i nawet wydobywają. Złoto, kosztowności, drobiazgi. Już dwa lata to robią. Dwaj z nich wynieśli się do Szwajcarii, a dwaj są na Śląsku. Ostatnio jednak prasa zachodnia ujawniła jakąś aferę z jajkiem Fabergé, cackiem ze złota, obsadzonym kamieniami. (...) »jajko« było u nas na Śląsku u pewnego Cygana, w lodówce... Znaleźli Cygana z obciętą głową (...) Wiadomo, z jakiej kolekcji pochodzi to »jajko« – ślad hitlerowskiego rabunku dokonanego w Rosji wiedzie na* >>>

Skarb utracony?

Carska pisanka

W kwietniu 1992 r. polska prasa doniosła, że Dom Aukcyjny „Sotheby's" wystawia na aukcję w Nowym Jorku klejnot: szczerozłote zdobione emalią jajko. Wykonał je w 1895 r. słynny złotnik Peter Carl Faberge na zamówienie cara Mikołaja II dla upamiętnienia narodzin carewicza Aleksieja. Od 1885 r. takie jajka – każde o innej tematyce zdobniczej – były na dworze Romanowów prezentami wielkanocnymi.

Warsztat jubilera wykonał 54 takie precjoza, z których podczas burz dziejowych zaginęło 7. Po II wojnie światowej na aukcjach pojawiły się 4. Nie wiem, ile „Sotheby's" osiągnął podczas licytacji za owe cacko, bo prasa nie napisała, ale startowano od 3 mln dolarów! Ale temat jajka znany był polskiej policji ze sprawy, której jeszcze nie zamknięto.

Zabójstwo

Sąsiedzi Stanisława K., mieszkańcy Nowej Soli, zauważyli, że w jego willi (personalia zmienione) nie gaśnie światło. Rodzina 23 czerwca 1981 r., a później ekipa dochodzeniowa znalazła tam ciało 58-letniego Stanisława K., jego 18-letniego syna i 20-letniej Polki, przyjaciółki ojca. Ten duży i bogaty dom stał w pewnym oddaleniu od innych i przypominał nieco twierdzę – miał mocne kraty i zabezpieczenia. A jednak dostali się do niego mordercy. Stanisław K., były bokser, bronił się przed napastnikami, ale rady im nie dał. Związanego zakłuto. Synowi i przyjaciółce poderżnięto gardła.

Stanisław K. człowiek bardzo bogaty, nie był wykształcony, ukończył zaledwie podstawówkę. Handlował, a często przedmiotami tego handlu były antyki i złoto. Na stole w kuchni policjanci znaleźli wagę laboratoryjną, stąd domniemanie, że zabójcy weszli do domu pod pozorem interesu, np. sprzedaży złota (Stanisław K. nie wpuszczał do domu nieznajomych). Sposób związania ofiar i ich zabicia wskazywał na Cyganów jako sprawców.

Co zginęło, nie wiadomo do końca. Na pewno dużo złota i pieniędzy. Rodzina szacowała, że gotówki mogło być nawet do kilkuset tysięcy dolarów! Na podłodze leżały złote drobiazgi, przy drzwiach wejściowych stały przygotowane do wywiezienia obrazy. Bandyci nie wzięli ich, więc albo się śpieszyli, albo znaleźli coś cenniejszego.

Wśród opisywanych przez rodzinę zrabowanych przedmiotów był złoty trójkątny diadem z połączonych [illegible] starych złotych dolarów, dukatów austriackich i rubli. Było również... jajko ze złota, ok. 8-centymetrowej wysokości, inkrustowane emalią, puste w środku i zamykane półobrotem. Wąsaty jego wierzchołek przedstawiał niebieskie niebo, poniżej góry ze szczytami w białej emalii. Spływały z nich złote wodospady, na złotej trawie rosły kwiaty z liściem. Ten opis przypominał robotę Petera Carla Faberge.

Rodzina zamordowanego o złotniku Faberge nawet nic nie słyszała.

Głośno w cygańskim świecie

Kilka dni po zabójstwie wiedzieli o nim Cyganie nie tylko w Polsce. W tej hermetycznej społeczności zdarzały się morderstwa. Ale szło o dziewczynę, o zraniony honor, na tle alkoholowym albo uczciwości przy interesach. Takiego nie pamiętano od dawna.

Pierwsze wieści napłynęły z Niemiec. Oto Cyganie z Essen poinformowali, że 21 czerwca w piątek na tamtejszym terenie 3 polskich Cyganów usiłowało sprzedać tzw. cygańskie złoto. Takie wyroby są z reguły masywne, ciężkie i mało gustowne, stąd rozpoznali je od razu. Na jednym z sygnetów był wygrawerowany napis „Lalek...", a zamordowany Stanisław K. nosił właśnie taki cygański pseudonim. Wiadomo też było, że na 18. urodziny syna przygotował dla braci i matki 9 masywnych złotych sygnetów z grawerowanymi napisami. Dwóch braci nie było na uroczystości, więc te sygnety pozostały w domu.

Ekipa policyjna pojechała do Essen, gdzie wykonano m.in. portrety pamięciowe handlarzy. Niemcy szczerze usiłowali pomóc. Ukazały się komunikaty w „Sternie", w „Die Welt", „Frankfurter Allgemeine Zeitung"... Krótko potem na granicy zatrzymano Polaka, obywatela niemieckiego mieszkającego w Bonn (w Polsce mieszkał w Bydgoszczy). Posiadał trochę złota, w tym sygnet z napisem: „Lalek – Robertowi". Ten, wydawało się początkowo, ważny fakt opóźnił trochę śledztwo. Ów człowiek, co potwierdzono w trakcie sprawdzeń, kupił sygnet od Cygana, ale w Bydgoszczy. Pomógł dopiero...

red. Fajbusiewicz

Informacja, która nadeszła po programie TV „997", skierowała policję na Inowrocław. Tam

Artykuł Andrzeja Popielskiego z 5.10.1992 roku. Autor jako pierwszy powiązał aukcję w Nowym Jorku z morderstwem Cygana w Nowej Soli i zrabowanymi w jego domu kosztownościami.

>>> Dolny Śląsk. Po nitce do kłębka… dżentelmeni pietrają się, że już żadne z dzieł sztuki, które mają w tunelu, nie pójdzie do handlu, a pieniądz wietrzą w tym ogromny!”.

„Odkrył, że mam w torbie mały mikrofon…”

Dziennikarz najwyraźniej dał się przekonać, ponieważ rzeczywiście pojechał we wskazane miejsce, by odwiedzić tajemniczego „złego szeląga”, któremu w swojej książce nadał pseudonim „Krzywym”. Jego historia wizyty w willi tej tajemniczej persony była zgoła dziwaczna. *„Z błogosławieństwem i delegacją podpisaną przez Śniecińskiego wyjechałem z »Krzywym« do Szklarskiej Poręby Dolnej. Pojechałem, rzecz jasna, bez broni i bez własnej obstawy. Zaufałem Śniecińskiemu, że w razie czego »Krzywy« zadba o mnie i o własną skórę. »Krzywy« na miejscu już pierwszego dnia odkrył, że mam w torbie mały mikrofon z mikrokasetą na dziewięćdziesiąt minut w środku. Gdy wyszliśmy z jego rezydencji – willi na spacer do lasu, rzekomo »pomylił« moją torbę ze swoją. Zauważyłem, że kasetę mam odwróconą, nic na niej nie było jeszcze nagrane. Potem przez cztery dni czekaliśmy na łącznika. Piątego dnia łącznik się zjawił w asyście kierowcy, który pozostał w samochodzie, schowany za ciemnymi szkłami okularów. Fotografował mnie zza szyby swego auta. Miał z pewnością odbiornik, który przejmował głosy naszej rozmowy prowadzonej na poddaszu willi. Łącznik przedstawił się jako kapitan Jagodziński. Pracował »w czwórce«, tzn. w czwartym wydziale Służby Bezpieczeństwa. (…) Zaproponowałem, że może tymczasem wyklepiemy na maszynie jakiś choćby przybliżony projekt oferty dla rządu, po co marnować tyle czasu. Obaj dżentelmeni zgodzili się na to z pewnym oporem. Powstał dokument, którego oryginał znajduje się u »Krzywego« w Szklarskiej Porębie, kopię przepisaną na mojej maszynie z dyktafonu wręczyłem Śniecińskiemu, a w jakiś czas później udostępniłem ją panu Lewickiemu, redaktorowi »Nowego Detektywa«…”.* Prawie 20 lat od tych wydarzeń postanowiłem odtworzyć te wydarzenia, docierając do świadków i dokumentów, co doprowadziło mnie do zaskakujących wniosków. Zarówno „Krzywy” jak i „kapitan Jagodziński” to były realnie istniejące osoby, choć występujące pod pseudonimami, dokładnie takie, jak je przedstawiał Wójcik! Jest to jednak temat na oddzielne opracowanie, na które przyjdzie czas…

„Były tam nie tylko monety, ale i złote zęby”

W roku 1997 ukazała się jeszcze jedna publikacja prasowa. Jej autorem był Marek Chromicz, współpracownik lokalnych „Nowin Jeleniogórskich”. 14 października ukazał się tekst zatytułowany „Góry pełne skarbów”, w którym autor opisał kilka aktualnych w tym okresie spraw „skarbowych” – począwszy od poszukiwania pociągu na górze Sobiesz w Piechowicach, prace w Bolkowie, rzekomy schowek w górze Wielisławka, kopalnie miedzi w Miedziance, Zakręt Śmierci w Szklarskiej Porębie, kończąc na domniemanym skarbie na zamku Świny. Pod koniec artykułu znów pojawia się znajoma sprawa „Szczeliny”: *„Wydaje się, że jednym z materialnych dowodów na to, że w Sudetach naprawdę warto szukać, jest historia skrytki w okolicach Lubomierza* [podkreślenie – KK], *którą kilka lat temu ktoś opróżnił. W miejscowym klasztorze pod koniec wojny przez pewien czas funkcjonowała swoista „rozdzielnia” skarbów zwożonych na ten teren zarówno z terenu Rzeszy, jak i ze Wschodu. Ten właśnie majątek ukrywany był w okolicy. Wśród wielu niezwykle wartościowych rzeczy, jak twierdzi mój rozmówca, były tam także jajka Fabergé, niezwykłego kunsztu dzieło sztuki jubilerskiej, wykonane na zlecenie petersburskiego dworu cesarskiego. Dwa lata temu jedno z tych jajek nagle pojawiło się na londyńskiej aukcji, a przybyło tam podobno wprost spod Lubomierza. Z zachowanego opisu tego, co składowano w klasztorze wynika, że właśnie stąd jajko to musiało wywędrować w świat. Od odkrywców skarbu za 70 tys. DM kupił je podobno pewien Cygan, którego kilka dni później znaleziono martwego w okolicach Zielonej Góry. Mój rozmówca twierdzi, że rozmawiał z ludźmi, którzy mieli je w ręce. W tym schowku było wiele dzieł sztuki, m.in. obrazy Wilmanów. Jeden z nich wystawiono na sprzedaż we Wrocławiu, co UOP podobno wykorzystał do zastawienia pułapki. Niestety, nikt obrazu ani pieniędzy nie odebrał. W schowku tym było wiele rzeczy wschodniego pochodzenia, dzieł sztuki, biżuterii, a nawet zabytki rzymskie. Były tam nie tylko monety, ale i złote zęby, zapewne pochodzące z obozów zagłady. W schowku znaleziono też zastrzelonego niemieckiego generała z teczką przykutą do ręki* [podkreślenie – KK], *zastrzelonych żołnierzy, a także auto osobowe wraz z zastrzelonym kierowcą. Łącznie śmierć w tym schowku poniosło kilkanaście osób. Zdaniem mojego informatora w tę sprawę zamieszani są bardzo konkretni ludzie…”.* Warto zwrócić uwagę, że po raz pierwszy za sprawą Chromicza pojawia się wątek klasztoru w Lubomierzu, gdzie jest tylko jeden taki obiekt – klasztor sióstr benedyktynek, składający się z kościoła parafialnego pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i św. Maternusa, budynku klasztoru, plebanii i domu opata. Po-

!

Jeśli ktoś z czytelników posiada nowe lub nieznane informacje o opisywanej przeze mnie sprawie, proszę o kontakt na adres: mediator.wroclaw@wp.pl lub przez portal społecznościowy Facebook (Grupa Eksploracyjna Miesięcznika Odkrywca / GEMO).

EXPLORATOR
NR 1/94 KWARTALNIK 32.000 ZŁ
BADANIA • POSZUKIWANIA • ODKRYCIA • ZAGINIONE SKARBY

jawia się również londyńska aukcja, do której miało dojść zaledwie „dwa lata temu", a więc około 1995 roku. Czyżby w „Szczelinie" miało być więcej niż jedno drogocenne jajko?

Kiedy analizowałem powyższe artykuły na potrzeby niniejszego opracowania raz jeszcze w skupieniu przeczytałem swoje wywody i doszedłem do zaskakujących wniosków. Wróciłem do apelu PTE i projektu umowy z rządem, który redaktor Wójcik spisywał w willi w Szklarskiej Porębie. W obu tych tekstach od samego początku tkwiła intrygująca kwestia, która powodowała, że dramatyczne opowieści o schowku i jego zawartości... mogły być prawdą. Skąd bowiem „grupa nieformalnie zorganizowanych obywateli" mogła wiedzieć, że „znalezisko zostało ukryte przez Niemców u schyłku wojny?!" Skąd mogli być na tyle pewni swego odkrycia, aby odwiedzać wojewodę i wpisać to do formalnego projektu umowy ze Stroną Rządową?

Moim zdaniem odpowiedź może być zarówno prosta jak i szokująca. Znalazcy mogli o tym wiedzieć dlatego, że skrytka naprawdę istniała i znajdowały się w niej rzeczy, które powyższe fakty bez wątpienia potwierdzały.

Powyższy wniosek wydał mi się na tyle obiecujący, że poświęciłem swój czas na wnikliwe zbadanie sprawy. Niektóre moje ustalenia okazały się naprawdę zaskakujące.

C.D.N.

Powyższy artykuł został opracowany na podstawie książki autora „Skarb generała. Na tropie tajemnic Szczeliny Jeleniogórskiej", która zostanie wydana nakładem wydawnictwa Technol w 2015 roku. <

Krzysztof Krzyżanowski
Niezależny badacz, dziennikarz, eksplorator i fotograf. Pasjonat górnictwa, starych kopalni i dokumentów kartograficznych. Główna specjalizacja: zapomniane podziemia na Dolnym Śląsku. Współautor ponad 120 opracowań z dziedziny górnictwa i książek popularnonaukowych. Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

BIBLIOGRAFIA:

Archiwum Gazety Wyborczej
www.gazeta.pl

RYSZARD WÓJCIK, **„Łowcy skarbów"**
Warszawa, 1997

MAREK CHROMICZ
„Góry pełne skarbów?"
Nowiny Jeleniogórskie, nr 41, 1997

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

BADANIA ARCHEO
NA POLACH GRU

ANNA STRASZYŃSKA

Przez dwa sezony udało się podjąć wiele zabytków archeologicznych związanych z bitwą sprzed ponad sześciu wieków, wśród nich grot do przebijania kolczug oraz fragment ostrza miecza

23 sierpnia 2015 roku zakończył się kolejny, drugi etap badań archeologicznych prowadzonych na Polach Grunwaldzkich, które w tej edycji odbywały się pod hasłem „W poszukiwaniu obozu krzyżackiego". Czemu mają służyć te badania? Otóż Bitwa pod Grunwaldem była największą bitwą średniowiecznej Europy. Zakończyła się zwycięstwem wojsk polsko-litewskich i tym samym pogromem sił Zakonu Krzyżackiego.

Okolice Grunwaldu, Łodwigowa i Stębarku, miejsca wiekopomnego starcia, to teren pofałdowany, przecięty strumieniem i obfitujący w jeziora, częściowo zalesiony. W 1410 roku cieszył się bogatszą roślinnością niż współcześnie możemy to zobaczyć. Zmienił się krajobraz, jednak nie zmieniła się lokalizacja, w której doszło do starcia. Miejsce usytuowania obozów również pozostało to samo, a wraz z nimi tysiące pamiątek z tamtego okresu. Pozostaje je zatem odnaleźć i zidentyfikować.

– Od jakiegoś czasu myślałem o wznowieniu badań grunwaldzkich, aby kontynuować prace mojego Ojca. W roku 2013 udało się przeprowadzić niewielkie, klasyczne badania archeologiczne w rejonie jeziora Łubień i pojawił się pomysł, aby kontynuować je w kolejnym roku. W międzyczasie z Muzeum Bitwy pod Grunwaldem skontaktowali się poszukiwacze z duńskiego stowarzyszenia „Harja" i powstała koncepcja przeprowadzenia badań

LOGICZNE
NWALDU

nieinwazyjnych, z wykorzystaniem wykrywaczy metali. *Do grupy detektorystów dołączyli pasjonaci z MSHE, PHEC Thesaurus oraz osoby niezrzeszone i tak sformowaliśmy grupę, która rozpoczęła poszukiwania na Polach Grunwaldu w 2014 roku* – opowiada dr Piotr Nowakowski, kierownik działu archeologiczno-historycznego Muzeum Bitwy pod Grunwaldem

Prace poszukiwawcze prowadzone w tym roku rozpoczynały się codziennie o godzinie dziewiątej rano. W składzie liczącym niemal 60 osób pasjonaci historii stawali do walki o przeszłość. – *W pracach uczestniczą pracownicy Muzeum Bitwy pod Grunwaldem w Stębarku, zapewniający opiekę merytoryczną i czuwający nad prawidłowym przebiegiem badań oraz, jak wspomniałem wcześniej, poszukiwacze – amatorzy z Danii, Norwegii, Wielkiej Brytanii i Polski a także archeolodzy i studenci archeologii z trzech polskich uniwersytetów* – dodaje dr Nowakowski.

Dzięki tej inicjatywie udało się ustalić lokalizację obozu krzyżackiego, który usadowiony został w miejscu, w którym obecnie możemy oglądać ruiny kaplicy pobitewnej. Dowodzi tego ilość nagromadzonych wkoło niej znalezisk militarnych. Dodatkową informacją, która z perspektywy wagi wydarzenia jest istotna, to granice terenu, na którym walczono zarówno od wschodu, jak i od zachodu, co zostało ustalone również w wyniku pro-wadzonych prac.

Sporą część znalezisk na polach grunwaldzkich, odnaleźli członkowie Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl". – *»Chorągiew Mazowiecka« w liczbie 8 członków MSHE, podjęła w tym roku wiele bezcennych przedmiotów z badanego okresu, m.in. groty bełtów i strzał, topór, fragment miecza, zbrojniki z rękawic, monety, elementy ostróg, rzę-du końskiego i wiele innych, mniej lub bardziej na tę chwilę zidentyfikowanych zabytków.* – relacjonuje uczestnik poszukiwań, Przemysław Korgul, z Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl". Jednym z najciekawszych znalezisk może pochwalić się Jarek Jakubowski z MSHE, który na pobitewnych polach podjął grot do przebijania kolczug oraz fragment ostrza miecza. W sumie w toku badań poszukiwaczom udało się pozyskać około 90 podków, ponad 30 monet zarówno krzyżackich, jak i jagiellońskich, blisko 40 grotów od strzał oraz bełtów, nie zabrakło również elementów ostróg, zbrojników od rękawic pancernych, jak również toporów, które w ilości trzech sztuk wzbogacą zbiory Muzeum Bitwy Grunwaldzkiej w Stębarku.

– *Motorem naszych działań jest chęć odkrywania tej historii z przed 600 lat. Mam tylko nadzieję, że w toku badań zostanie odkryte faktyczne miejsce bitwy, gdyż ilość znalezisk na tę chwilę w mojej ocenie nie wskazuje, aby w tym miejscu starło się ponad 100 tys wojów* – opisuje swoją motywację Adrian Kłos „Adek" z MSHE.

– *Najcenniejsze w takich akcjach są spotkania z osobami, które łączy wspólna pasja, czyli historia i poszukiwania. Wzajemnie uczymy się od siebie i działamy na rzecz przyszłych pokoleń, by te mogły zobaczyć prawdziwy kawałek historii jakimi bez wątpienia są odzyskane podczas badań artefakty* – podsumowuje Paweł Grochocki z nieformalnej grupy „History Hunter", również uczestnik badań.

Na pytanie, czego życzyłby Pan sobie po zakończeniu projektu, dr Piotr Nowakowski odpowiada: – *Aby można było powiedzieć, że o Bitwie wiemy już wszystko a groby rycerzy zostały odnalezione.* <

Anna Straszyńska
Prezes Stowarzyszenia Kolekcjonerzy Czasu, członek Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl", redaktor Kuriera Praskiego. Z zamiłowania zajmuje się fotografią i historią, głównie warszawskiej Pragi-Północ.

W miejscowości Skała na Dolnym Śląsku w 1947 roku dokonano pewnego odkrycia, które okazało się nie lada sensacją…

ZNALEZIONO 10 WAGONÓW CZĘŚCI LOTNICZYCH!

SZYMON WRZESIŃSKI

Kilka kilometrów od Bolesławca i Lwówka Śląskiego, nieco na uboczu, znajduje się niewielka wieś zwana niegdyś Hohlstein. Przez pewien czas po wojnie mówiono o niej Samotna Skała, jednak obecnie nosi nazwę Skała. Pod koniec XVI wieku wieś nabyła rodzina von Lest, która przeprowadziła modernizację gotyckiego dworu w Skale. Niestety w nader trudnym okresie wojny 30-letniej, właściciele dominium w Skale popadli w tarapaty finansowe. Ponieważ rodzina nie była w stanie wywiązać się ze swego zobowiązania, postanowiła sprzedać wszystkie dobra w 1649 roku. Spośród kolejnych właścicieli Skały godnym uwagi jest hrabia Wilhelm von Gall, pełniący zaszczytną funkcję cesarskiego szambelana. Po jego śmierci (1656 r.), wieś odziedziczył hrabia Walther von Gall. Zapewne to właśnie on zdecydował się w drugiej połowie XVII stulecia dokonać dalszych zmian w wyglądzie pałacu, poprzez dodanie zachodniego skrzydła i przedłużenie głównego korpusu w kierunku północnym.

Kolejni właściciele Skały: hrabiowie i hazardziści

Po niemal stuletnim władaniu majątkiem przez hrabiów von Reder, ostatni przedstawiciel tego rodu sprzedał jesienią 1795 roku swe dobra hrabiemu Johannowi Friedrichowi von Pückler. Niestety hrabia uwielbiający hazard… przegrał swój majątek w karty. Stąd w grudniu 1798 roku przygotowano specjalną umowę, na podstawie której prawo do odkupienia całego majątku po korzystnej cenie otrzymał książę kurlandzko-żagański Peter von Biron. Nowy pan na włościach, także nie stroniący od hazardu, pijaństwa

Pałac w Skale w okresie przedwojennym

i rozmaitych zabaw, nieco ponad rok cieszył się nowym nabytkiem. Zmarł bowiem na początku stycznia 1800 roku. Na mocy testamentu Skałę otrzymała jego 18-letnia córka Marie Luise, która kilka tygodni później (26 lutego) wyszła za księcia Friedricha Hermanna von Hohenzollern-Hechingen.

Czas wypoczynku w salonach i pięknych ogrodach zakończyła kampania napoleońska. W połowie czerwca 1813 roku do Hohlstein przybył francuski dowódca Jacques Macdonald, albowiem dowódca XI Korpusu na swą kwaterę zdecydował się wybrać „skalną rezydencję" Hohenzollernów. Macdonald starał się utrzymać porządek i dyscyplinę wśród swoich żołnierzy, a ponadto oszczędzać miejscową ludność przez ograniczanie do minimum żądań dotyczących najbardziej potrzebnych przedmiotów, posług i żywności. Niewykluczone, że głów-

fot. ze zbiorów Szymona Wrzesińskiego

nym powodem dbania o majątek w Skale był fakt, iż sam Napoleon Bonaparte był ojcem chrzestnym syna właścicieli, księcia Friedricha von Hohenzollerna (ur. 1801 r.). Wyjazd Macdonalda ze Skały był ściśle związany z przeniesieniem głównego sztabu XI Korpusu do Lwówka oraz z trwającymi od 17 sierpnia krwawymi walkami we Wleniu. Niedługo po tym do dawnej kwatery Macdonalda przyjechał pruski feldmarszałek von Blücher (20-21 sierpnia).

Po wojnach napoleońskich właścicielami wsi nadal była książęca para Hermann von Hohenzollern-Hechingen (zm. 1838 r.) oraz Marie Luise z domu von Biron (zm. 1845 r.). Kolejnym dziedzicem Skały został ich syn, książę Konstantin. Słynący z miłości do muzyki w 1850 roku sprowadził kapelę dworską ze stolicy rodzimego księstwa. W lutym 1851 roku wszedł on w drugi związek małżeński, a na jego przyjęciu weselnym bawił się sam król pruski Fryderyk IV. W latach 1857-1863 koncerty w Skale prowadzili między innymi: Franciszek Liszt, Ryszard Wagner, Hektor Berlioz. Natomiast w czerwcu 1867 roku pałac odwiedził król Wilhelm I, późniejszy cesarz Niemiec.

Ruiny pałacu w Skale

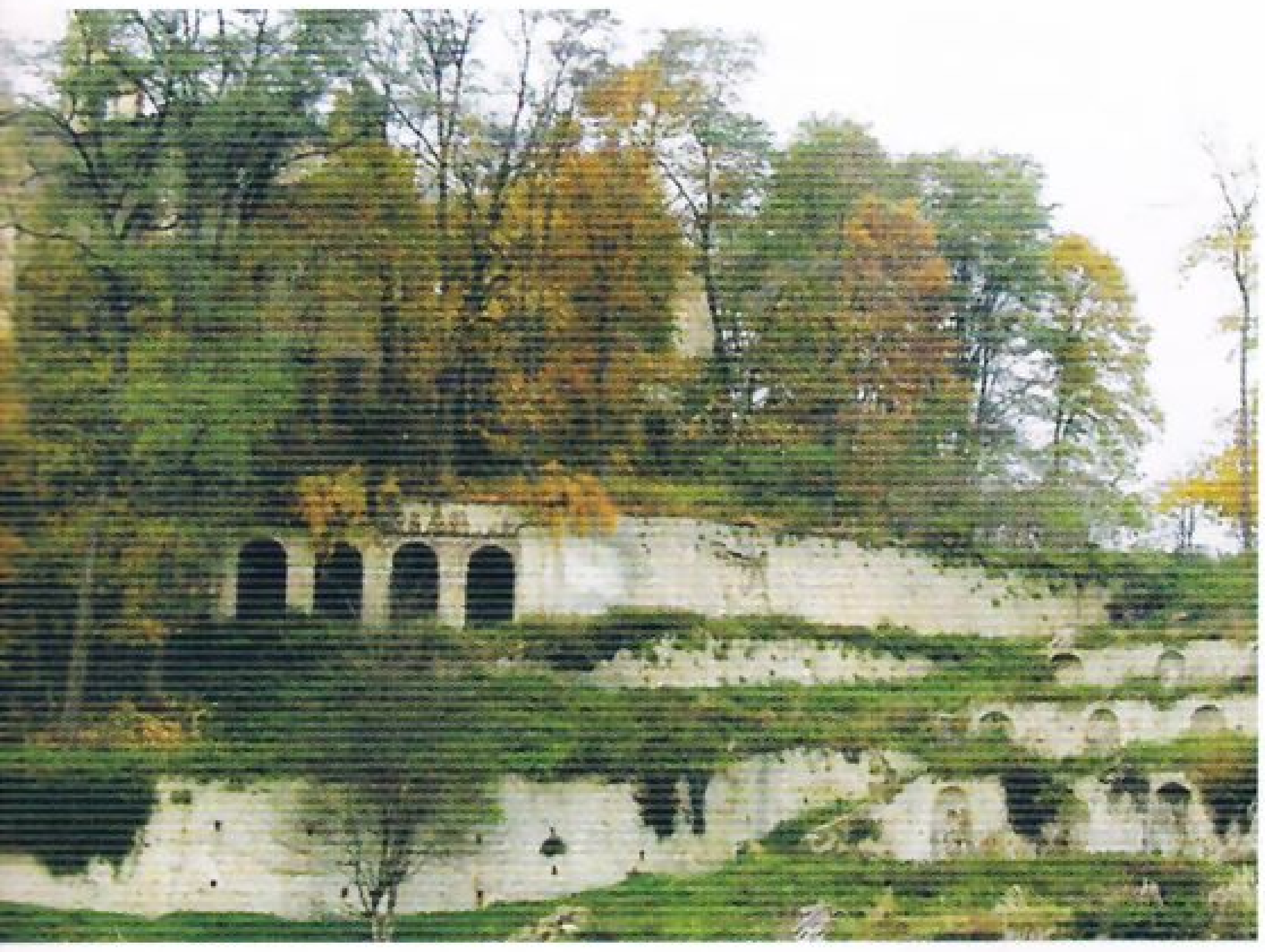

fot. Sz. Wrzesiński

Ostateczny upadek rezydencji

Po śmierci księcia Friedricha von Hohenzollern-Hechingen (1869 r.), nastąpił powolny upadek rezydencji w Skale. Nowi właściciele, zamiast korzystać z uroków tego miejsca, postanowili wywieźć do rodowej posiadłości najwartościowsze wyposażenie. Mimo że w latach 1905-1927 Skała należała do Wilhelma Hohenzollerna, książę nie przyjeżdżał do wsi. Po tym okresie pustkami świeciło już drugie piętro pałacu, a po 1930 roku kolejny właściciel sprzedał resztę wyposażenia i okoliczne dobra. Dalsze lata spowija mgła tajemnicy, z której wyłaniają się lakoniczne wskazówki. Przez pewien czas w pałacu bądź w jednym z budynków dworskich miała znajdować się siedziba lokalnego samorządu, później miejscowej komórki NSDAP oraz kobiecego oddziału Służby Pracy Rzeszy (Reichsarbeitsdienst). Pojawiają się również niepotwierdzone przekazy, że w listopadzie 1943 roku do wsi przeniósł się wraz z całą swoją rodziną niemiecki chemik dr Richard Gaettens.

Jeden z pociągów Dolnego Śląska

Jeszcze bardziej tajemniczo przedstawia się „lotniczy epizod" Skały… Podobno została tutaj przeniesiona z Berlina-Mariendorf spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, działająca na rzecz lotnictwa wojskowego (Gesselschaft für Luftwaffenbedarft GmbH). Powojenni mieszkańcy do dziś opowiadają, że przez długie lata w otoczeniu pałacu można było znaleźć rozmaite druki zamówień oraz pierścienie Segera. Były to niewielkie, metalowe elementy sprężynujące, służące do zabezpieczenia przed przesunięciem osiowym części maszyn, np. łożysk, tulei, tarczy, kół zębatych, które zamontowano na wałach, osiach bądź otworach.

Powojenne relacje można by uznać za podkoloryzowane, gdyby nie intrygujący artykuł, zamieszczony w „Słowie Polskim" 14 lipca 1947 roku, pod znamiennym tytułem „Sensacyjne odkrycie w Samotnej Skale. 10 wagonów części lotniczych znaleziono w powiecie Lwówek". Czytamy w nim: *„Podczas rozminowywania pewnego obszaru w powiecie Lwówek, kompania wojskowa natknęła się* [we wsi Skała] *na pozostawione resztki samolotów, porzucone w nieładzie. Ślady wskazywały, iż części samolotów są świeżo odpakowane i wyrzucone na ziemię. Zainteresowano się tym bliżej. I cóż się okazało? W pobliżu znajdował się, opuszczony, zaniedbany pałac jakiegoś niemieckiego magnata. Żołnierz stojący na warcie zauważył, iż zamieszkali w pobliskiej wsi Niemcy przychodzą do pałacu i wynoszą jakieś puste skrzynie. Zapytani wyjaśnili, że to na opał, i że skrzyń takich do licha leży pełnych i pustych w składach pałacowych. Wartownik zameldował natychmiast o tym swemu dowódcy. I rzeczywiście, w składach opuszczonego pałacyku znaleźli wojskowi olbrzymią ilość pak z różnymi częściami samolotów, silników i innych części mechanicznych. Wszystko to leżało w nieładzie, ponieważ już od dłuższego czasu Niemcy chodzili tutaj po drzewo ze skrzyń, wyrzucając drogocenny materiał wojenny na ziemię, niszcząc go, może nawet rozmyślnie. Ciekawe, że nikt z Polaków zamieszkałych w pobliżu pałacyku w Skale nie zainteresował się tym i nie doniósł władzom. Po rozminowaniu całego terenu stwierdzono, iż było tam 10 wagonów części lotniczych. Co się stało dalej z częściami lotniczymi? Czy w dalszym ciągu niszczeją one w składzie pałacyku w Skale czy też wojsko zabrało je do swoich składów, nie wiadomo…"*.

Obecnie pałac znajduje się w stanie kompletnej ruiny. Wejście na teren dawnej rezydencji grozi kalectwem, a nawet śmiercią! <

Szymon Wrzesiński
Więcej o pałacu w Skale w książkach ww. Autora: „Napoleon nad Bobrem i Kwisą" (wyd CB, Warszawa 2013); „Tajne kompleksy lotnicze III Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej" (wyd. CB, Warszawa 2015). Kontakt: sz_wrzesinski@wp.pl

Niedawno odnalezione zdjęcie przedstawiające dwa leżące ciała obrońców Poczty Gdańskiej ostatecznie rozstrzyga, gdzie i w jaki sposób polegli

ZWYCZAJNY RODZINNY ALBUM...

SEBASTIAN DRAGA

Wrzesień większości wielbicieli historii w Polsce nasuwa automatycznie skojarzenia z wydarzeniami sprzed siedemdziesięciu sześciu lat, z tragiczną kampanią wrześniową 1939 roku. Jeżeli z kolei pomyślimy o pierwszym września 1939 roku, to przed oczami stają nam kroniki filmowe: zdjęcia przedstawiające przede wszystkim niemiecki atak na Westerplatte czy też obronę Poczty Polskiej w Gdańsku. Te dwa wydarzenia stały się symbolami zdradzieckiego ataku na Polskę. Złożyło się na to kilka czynników. Podstawowy to przede wszystkim lokalizacja obu obiektów – Wolne Miasto Gdańsk. Teren, na którym w okresie międzywojennym ścierały się dwa żywioły narodowościowe. Teren, który utrudniał Polsce dostęp do wymarzonego morza i wreszcie miejsce, gdzie zwolennicy ideologii nazistowskiej bardzo szybko doszli do władzy. Inny powód to taki, iż na kilkanaście placówek znajdujących się pod polską jurysdykcją tylko te dwie stawiły opór. I to do tego skutecznie. Jak powszechnie wiadomo, Westerplatte miało bronić się przez dwanaście godzin, a tymczasem wytrwało aż siedem długich dni. Podobnie było z Pocztą Polską w Gdańsku. Według przyjętych planów jej ewentualna obrona miała trwać maksymalnie sześć godzin. Placówka poddała się po czternastogodzinnej walce.

Cyfryzacja a nowe odkrycia historyczne

Obserwowany w ostatnich latach wzrost zainteresowania historią spowodował, iż pod wpływem nowych odkryć wiele wydarzeń jest czasem opisywanych na nowo. Częściej jednak wypływają na wierzch nowe informacje, nowe relacje bezpośrednich uczestników poszczególnych zdarzeń czy też pojawiają się nowe zdjęcia uzu-

pełniające naszą dotychczasową wiedzę lub pozwalające spojrzeć na przeszłość pod innym kątem. Do tej pory nowe odkrycia historyczne zarezerwowane były wyłącznie dla zawodowych historyków przeszukujących z mozołem przepastne archiwa i od czasu do czasu trafiających na nieznane informacje. Postępująca cyfryzacja świata spowodowała znaczne ułatwienie w dostępie do informacji i źródeł historycznych. Dzięki temu historia i odkrycia stały się także dostępne dla zwykłych pasjonatów historii, zarówno tej dużej, jak i tej małej lokalnej. Jedną z form uzupełniania wiedzy jest obecnie wymiana artefaktów i pamiątek historycznych pomiędzy kolekcjonerami praktycznie z całego świata. Dodatkowo zawsze można próbować szczęścia w trakcie licytacji na różnego rodzaju portalach aukcyjnych.

Jakie zdjęcia zawierał album?

I właśnie tą drogą trafiło do Polski zdjęcie będące tematem niniejszego artykułu. Zostało wystawione na sprzedaż wraz z całym albumem liczącym przeszło 210 zdjęć przez zwykły sklep z antykami w miejscowości Halle na terenie Niemiec. Zdjęcie z pozoru niepozorne o niewielkich wymiarach, zaledwie 5,5 na 6 centymetrów. Na tyle niepozorne i niewiele znaczące, że nawet nie zostało odpowiednio wyeksponowane przez sprzedającego. W opisie aukcji sprzedawca poinformował, iż sprzedaje album zawierający przeszło 200 fotografii, z czego tylko około 40 przedstawia mundurowych w uniformach RAD oraz Wehrmachtu, oraz że część zdjęć została wykonana w okolicach Gdańska i Gdyni, a część w okolicy Istenburga (obecnie Czerniachowsk na terenie Obwodu Kaliningradzkiego Federacji Rosyjskiej). Oczywiście zamieszczone były fotografie poglądowe, mające potencjalnemu kupującemu przybliżyć zawartość albumu.

PRZEBIEG OBRONY POCZTY

W związku z napiętymi w 1939 r. stosunkami polsko-niemieckimi przygotowania obiektów polskich na terenie Wolnego Miasto Gdańska do obrony przed ewentualną napaścią rozpoczęły się już KILKA MIESIĘCY WCZEŚNIEJ. Większość zatrudnionych pocztowców legitymowała się przeszkoleniem wojskowym czy też nawet doświadczeniem bojowym pozyskanym dwadzieścia lat wcześniej. Dodatkowo pocztowcy skupieni byli także w komórce konspiracyjnej i przeszli dodatkowe przeszkolenie wojskowe na terenie Rzeczypospolitej.

W kwietniu 1939 r. do pracy na poczcie skierowany został PRZYSZŁY DOWÓDCA OBRONY PPOR. KONRAD GUDERSKI, który, nie ujawniając rzeczywistego celu swojego przybycia, przygotowywał polską placówkę do obrony.

Zgodnie z otrzymanymi rozkazami Poczta Polska w Gdańsku MIAŁA BRONIĆ SIĘ ZALEDWIE PRZEZ 6 GODZIN do czasu wkroczenia do miasta Korpusu Interwencyjnego. W przeciwieństwie do obrońców Westerplatte, pocztowców nie powiadomiono o zmianie planów operacyjnych i o fakcie odwołania działań korpusu.

ATAK NA POCZTĘ NASTĄPIŁ O GODZ. 04.45. Początkowo Niemcy próbowali zająć budynek tylko miejscowymi siłami gdańskiej Policji Porządkowej oraz SS-Heimwehr Danzig, które atakowały budynek przy wsparciu trzech samochodów pancernych i formacji paramilitarnych. Pierwsze szturmy zakończyły się niepowodzeniem i znacznymi stratami wśród atakujących. Dla pokonania oporu pocztowców sięgnięto więc po nadzwyczajne środki, wprowadzając najpierw do walki dwa działa kalibru 75 mm, a następnie haubicę kalibru 105 mm. Ostrzał z haubicy został zgrany z wysadzeniem wejścia głównego do budynku poczty. Tym razem działania niemieckie częściowo odniosły skutek. Obrońcy zostali zmuszeni do zejścia do piwnic. Około godziny 18.00, ściągnięto straż pożarną i do budynku wtłoczono benzynę, która następnie została podpalona za pomocą miotaczy płomieni.

OKOŁO GODZINY 19.00 NASTĄPIŁ KRES OBRONY POCZTY. Podczas jej trwania zginęło 6 pocztowców na czele ze swoim dowódcą Konradem Guderskim, 2 kolejnych w trakcie poddawania się, 4 osoby zmarły na skutek odniesionych ran w szpitalu już po zakończeniu walk. Ocalałym pocztowcom zafundowano sfingowany proces, który zakończył się wydaniem na wszystkich wyroków śmierci. Wyrok wykonano prawdopodobnie 5 października 1939 roku na gdańskiej Zaspie. Zbiorowy grób 38 pocztowców został przypadkiem odkryty dopiero w 1991 roku.

Obronę poczty przeżyło 4 OBROŃCÓW, którzy wykorzystując powstałe w trakcie poddawania się zamieszanie zbiegli z budynku.

Już po zakupie i przejrzeniu wszystkich zgromadzonych w nim zdjęć można stwierdzić, iż większość rzeczywiście przedstawiała zwykłe codzienne życie w małej miejscowości oraz podczas rodzinnych wycieczek za miasto lub w góry. Z zawartych w albumie około 40 zdjęć, na których widać wojskowych, tylko 17 ze względu na tematykę może zainteresować historyka.

Ktoś mało spostrzegawczy, oglądający te 17 fotografii, zwróci przede wszystkim uwagę na zdjęcie przedstawiające polską armatę przeciwlotniczą, rozmieszczoną w okolicy Gdyni, na co wskazuje stanowisko stacjonarne, na którym została ona usytuowana. Na kolejnych zdjęciach zobaczyć można między innymi niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein" na tle twierdzy Wisłoujście, zniszczone kasyno podoficerskie na Westerplatte, cumujący na terenie Nowego Portu „Wilhelm Gustlof", czy też wysadzony most w Tczewie. Wszystkie te obiekty znane są jednak z wielu innych zdjęć i ich pozyskanie wymaga tylko trochę cierpliwości i gotówki w portfelu.

W albumie umieszczono również zdjęcia o znacznie ciekawszej tematyce. Na jednym z nich widać żołnierzy w mundurach feldgrau obserwujących w pozycji stojącej w okopie dalekie przedpole za pomocą lornety nożycowej. Na drugim dalekim planie zaobserwować można kontury Bazyliki Mariackiej oraz Gdańskiego Ratusza. Dzięki temu udało się ustalić, iż obiektem obserwacji żołnierzy jest najprawdopodobniej Gdynia, a samo zdjęcie zostało wykonane na jednym ze wzgórz otaczających Gdańsk od strony północno-zachodniej.

Kolejne zostało wykonane najprawdopodobniej w dniu 14.09 lub 15.09 na terenie Gdyni, w trakcie walk o Kępę Oksywską. Przedstawia on moment internowania wszystkich męskich mieszkańców Gdyni oraz sprawdzanie ich tożsamości. Dzięki analizie zdjęcia >>>

GDZIE I KIEDY ZABITO 2 POCZTOWCÓW

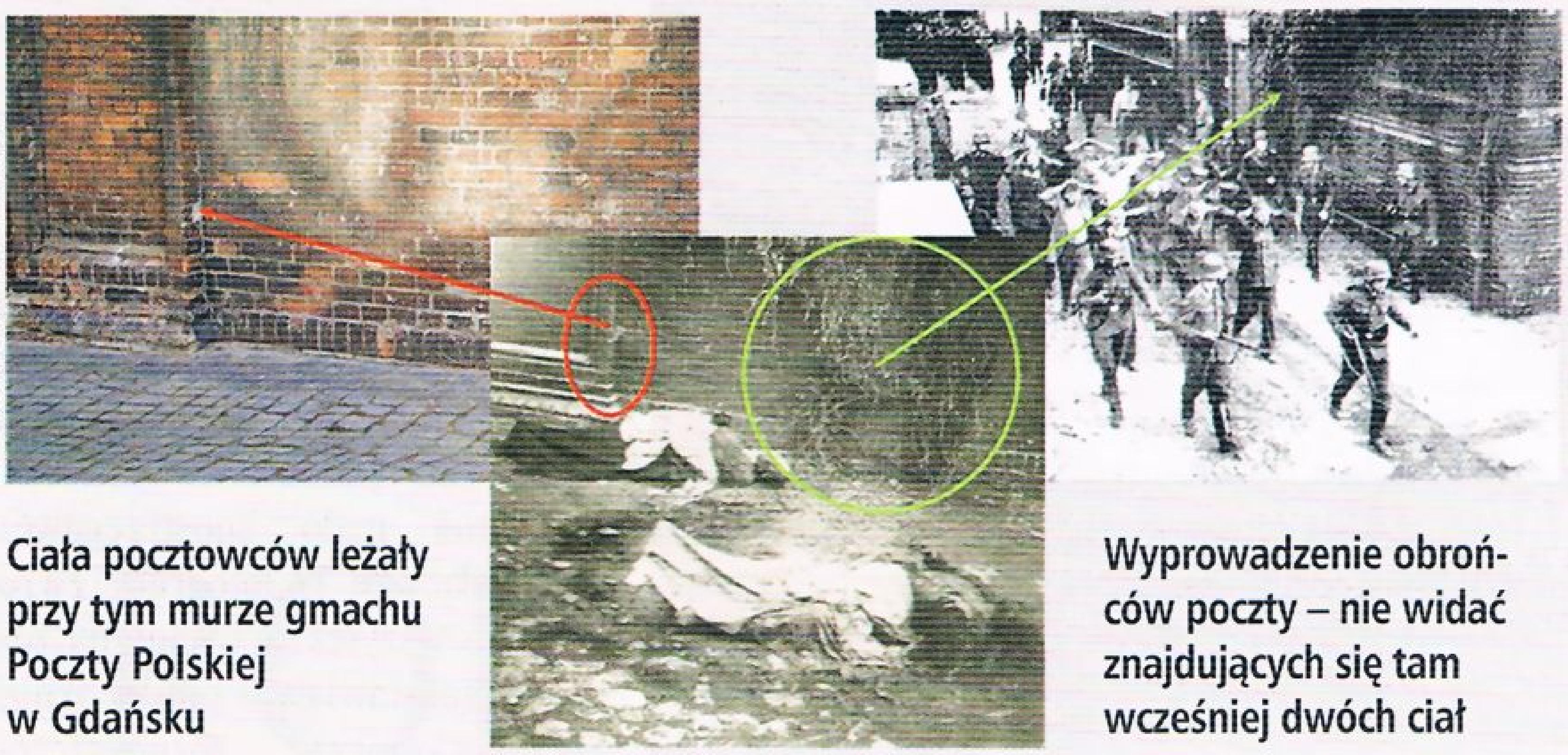

fot. Polska Kronika Filmowa

Ciała pocztowców leżały przy tym murze gmachu Poczty Polskiej w Gdańsku

Wyprowadzenie obrońców poczty – nie widać znajdujących się tam wcześniej dwóch ciał

>>> można ustalić, że zrobiono je w okolicy Urzędu Miasta, a widoczni na nim żołnierze należą do jednostek Landespolizei Danzig.

Bardzo ciekawe są cztery zdjęcie przedstawiające budowę i same umocnienia w Gdańsku i jego okolicach. Widać na nich budowę okopów, stawianie zasieków oraz także proste przeszkody drogowe, mogące powstrzymać co najwyżej lekkoopancerzone wozy bojowe. Na najbardziej interesującym zdjęciu uwidoczniono umocnienia albo punkt kontrolny na jednej z ulic Gdańska, najprawdopodobniej od strony Sopotu. Tutaj widać, iż zapory są już bardziej zaawansowane i wykorzystano luźno ustawione tzw. smocze zęby.

Najważniejsze zdjęcie kolekcji

Jak już wcześniej wspomniano, najważniejsze zdjęcie jest niepozorne. Jedyna fotografia, na której właściciel albumu bezpośrednio pokazał ludzi, przeciw którym walczył. Widoczni na zdjęciu Polacy są martwi. Pomimo małego rozmiaru ukazuje one w widoczny sposób, jakiego rodzaju śmiercią zginęli. Dodatkowo na zdjęciu uwidoczniono fragment muru, przy którym leżą zwłoki. Pierwsze skojarzenie jakie nasunęło się po obejrzeniu zdjęcia – Poczta Polska w Gdańsku. Po chwili jednak następuje konsternacja, czy aby na pewno. Gdzie na terenie budynku Poczty znajdują się takie zamurowane drzwi? Nastąpiła chwila niepewności, jednakże wystarczyło poszperać trochę w domowej biblioteczce i sprawa się wyjaśniła. To nie zamurowane drzwi tylko ozdobny portal, jaki otaczał frontowe wejścia do budynku. A więc na pewno budynek Poczty Polskiej w Gdańsku. Pytanie – czyje ciała pokazano na zdjęciu? Jest tylko jedna możliwość. To bohaterscy obrońcy poczty. Dyrektor Okręgu Poczty i Telegrafów, doktor Jan Michoń oraz naczelnik urzędu Józef Wąsik. W momencie gdy pocztowcy po podpaleniu budynku przez Niemców powzięli decyzję o zaprzestaniu obrony i poddaniu się, postanowili iść na czele kolumny i poprowadzić kolegów do niewoli. Jako pierwszy z białą flagą wyszedł Jan Michoń i tuż po minięciu drzwi został zastrzelony. Jego ciało na zdjęciu znajduje się tuż przy murze obok wyjścia z budynku. Jako drugi wychodził Józef Wąsik. On także zginął. Informacje na temat jego śmierci były sprzeczne. Według jednej wersji podobnie jak Michoń został zastrzelony, według drugiej został spalony żywcem za pomocą miotacza ognia. Zdjęcie nie pozostawia wątpliwości. Ciało było spalone, a wokół ciała na ziemi widać wyraźnie czarny okrąg, pozostałość po palącej się mieszance zapalającej…

Gdzie i kiedy wykonano zdjęcie?

Pozostało tylko udać się pod budynek poczty, dokonać na miejscu wizji lokalnej i potwierdzić osobiście, iż jest to ten sam budynek, co na fotografii. Wszelkie wątpliwości rozwiały się praktycznie od razu. Okazało się, że zdjęcie zostało wykonane od strony wschodniej budynku przy drodze prowadzącej do dawnych garaży pocztowych, którą po kapitulacji prowadzono pocztowców. Wyjaśniło się zatem, którym wyjściem pocztowcy wychodzili z budynku. Nie głównym, jak do tej pory uważano, ale bocznym. Nie było ono wcale bezpieczniejsze, jak przekonali się Michoń i Wąsik, ale po prostu głównym wyjściem, po jego wysadzeniu, nie można było wyjść. Z drugiej strony budynek poczty na tyle mało ucierpiał w czasie wojny, że okazało się, iż układ cegieł na murze z fotografii jest identyczny z tym obecnym. Zgadzają się nawet wyszczerbienia na rogach pojedynczych cegieł. Na zdjęciu widać jeszcze bluszcz wspinający się po murze budynku.

Prace przy umocnieniach Gdańska

Po dokładnym sprawdzeniu dostępnych zdjęć, pokazujących budynek zarówno przed wrześniem 1939 roku, jak i w trakcie walk, udało się także uzyskać potwierdzenie jego istnienia. Dodatkowo zdjęcie, na którym widać bluszcz, przedstawia moment wyprowadzenia pocztowców do niewoli. Na zdjęciu tym nie widać już ciał zabitych pocztowców.

Nasuwał się tylko jeden wniosek: zdjęcie z albumu niemieckiego żołnierza zostało zrobione w dniu 01.09.1939 roku w godzinach wczesnowieczornych pomiędzy poddaniem się poczty a wyprowadzaniem polskich jeńców do niewoli. Niewątpliwie widoczne na nim ciała to Dyrektor Okręgu Poczt i Telegrafów doktor Jan Michoń oraz naczelnik urzędu Józef Wąsik, którzy zginęli podczas poddawania się. Do czasu pojawienia się fotografii pochodzącej z rodzinnego albumu młodego Niemca podobne ujęcie nie było znane. Jest to na chwilę obecną jedyna znana fotografia pokazująca ten moment obrony poczty.

Kim był właściciel zdjęć?

Analiza stanowiących główną część w albumie, z pozoru mało istotnych cywilnych zdjęć pozwoliła zebrać bardzo dużo informacji odnośnie życia właściciela. Wiemy, że urodził się 1916 lub 1917 roku, więc w 1939 roku miał zaledwie 22 lub 23 lata. Udało się odczytać jego imię – Wilhelm oraz nazwisko. Jak się okazało nazwisko dosyć rzadkie (zdecydowałem się nie podawać go do publicznej wiadomości). Przed wojną występowało tylko w rejonie Prus Wschodnich, w okolicy Istenburga, a niektóre ze zdjęć zostały wywołane w zakładzie fotograficznym znajdującym się właśnie w tym mieście. Prawdopodobnie jego rodzina nie mieszkała w samym Istenburu, tylko na wsi w pobliżu. Wilhelm miał też rodzeństwo, brata oraz siostrę. Jakim był człowiekiem? Na tamte czasy i kraj, w którym mieszkał, normalnym. Należał do towarzystwa sportowego o zabarwieniu nacjonalistycznym Arbeiter-Turn- und Sportbund (ATSB). Odbył obowiązkową służbę Reichsarbeitsdienst (RAD; niem. Służba Pracy Rzeszy). Następnie rozpoczął służbę wojskową. Już w stopniu podoficera znalazł się w Gdańsku. Z jego munduru zniknęły oznaczenia wskazujące na przynależność do Wehrmachtu. Prawdopodobnie w ramach rozbudowy gdańskich formacji militarnych skierowano go do jednego z dwóch pułków Landespolizei Danzig. W albumie nie ma już zdjęć Wilhelma w mundurze, większość zdjęć opisanych datą została zrobiona nie później niż w 1940 roku. Te, które zostały wykonane później, wskazują jednoznacznie, iż przeżył on wojnę i zamieszkał po jej zakończeniu w Halle.

Zdjęcia z albumu. Na czwartym widać osobę, która sfotografowała ciała zabitych pocztowców

Wątpliwości rozwiązane

Pomijając powody, dla których Wilhelm zamieścił fotografię w swoim albumie, opowiada ono nam bardzo dużo o ostatnich chwilach obrony poczty. Dzięki niej wiemy, jak dokładnie zginęli naczelnik poczty Józef Wąsik i dyrektor Okręgu Poczt i Telegrafów doktor Jan Michoń. Potwierdza ona w sposób jednoznaczny jedną z dwóch wersji śmierci naczelnika Wąsika. Dodatkowo można dokładnie wskazać miejsca ich śmierci. Dowiedzieliśmy się także, którym dokładnie wyjściem pocztowcy wychodzili, idąc do niewoli. Jest ono klamrą spinającą znane dotychczas fotografie pokazujące ostrzeliwany budynek poczty oraz pocztowców prowadzonych do niewoli. Jest też doskonałym przykładem rozwiązania jednej z małych zagadek historii po latach.

Tym samym cały album po dokładnym przejrzeniu nabiera innej wartości.

O odkryciu nieznanego wcześniej zdjęcia o ogromnej wartości historycznej zostały natychmiast powiadomione trójmiejskie muzea, w tym także Muzeum Poczty Polskiej w Gdańsku.

Sebastian Draga
Rekonstruktor, miłośnik historii, członek SGO Pomorze

Niewinny incydent z małej wiejskiej stacji PKP uruchomił nieproporcjonalnie duże siły SB. W poszukiwaniu jego sprawców sprawdzono aż 4710 wzorów pisma!

HISTORIA JEDNEJ ULOTKI

BARTOSZ BIJAK

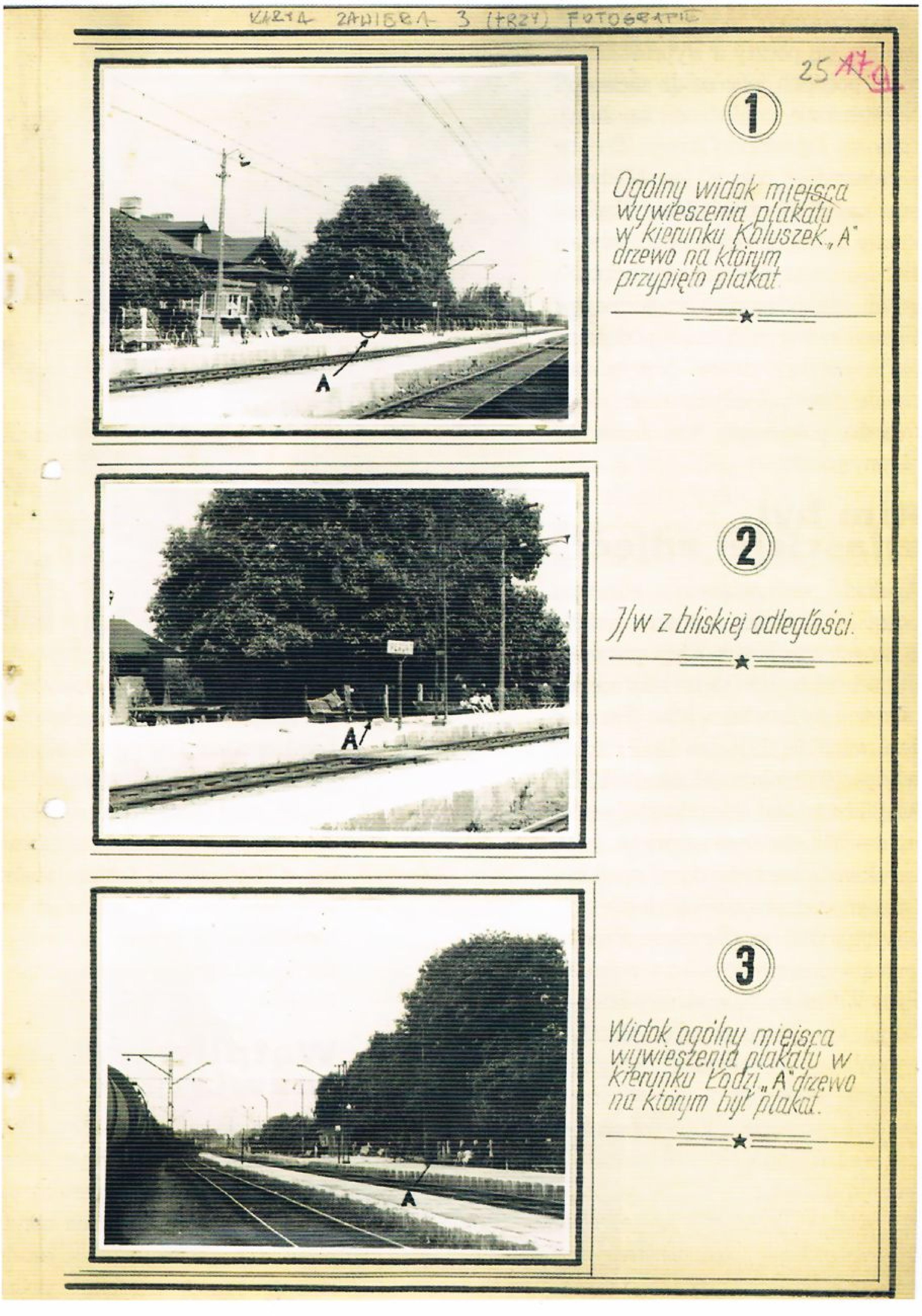

fot. Materiały archiwalne: IPN Ld 5/107

Na podstawie bandyckiego „prawa" zwanego doktryną Breżniewa 20 sierpnia 1968 roku wojska ZSRR i jego satelitów z Układu Warszawskiego (Bułgaria, NRD, Węgry, Polska) przekroczyły granice zrewoltowanej Czechosłowacji. Interweniowały, by zdławić wolnościowy, choć w granicach socjalizmu, bunt Czechów i Słowaków. Do historii przeszło kilka protestów przeciwko tej agresji: samospalenie Ryszarda Siwca na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, demonstracja grupki odważnych radzieckich dysydentów na Placu Czerwonym (tzw. demonstracja siedmiorga) czy późniejsze samospalenia Jana Palacha w Pradze. Jednak bezpieka w każdym z krajów socjalistycznych skrzętnie odnotowywała i analizowała najdrobniejsze nawet formy protestu jak napis na murze czy negatywne komentarze w zakładach pracy. W przypadku wykrycia sprawców nie mogło się obyć bez wyciągnięcia konsekwencji.

Jeden z takich wypadków i jego następstwa chciałbym bliżej przedstawić czytelnikom „Odkrywcy". To nie będzie sensacyjna bomba na miarę złotego pociągu z Wałbrzycha, lecz prosta historia z małej wsi pod Łodzią. Czasem jednak takie „małe historie" więcej mówią, a przynajmniej dużo lepiej unaoczniają jakieś zjawiska – jeśli tylko dobrze się w nie wczy-

tać – niż poważne, specjalistyczne opracowania pisane hermetycznym językiem przez naukowców dla naukowców. Grzeszyłbym rzecz jasna co najmniej brakiem skromności, gdybym takie ambicje przypisał swojemu skromnemu artykułowi, nie mniej jednak mam nadzieję, że Czytelnicy przekonają się po jego lekturze do tego typu podglądania przeszłości.

Kiedy 24 sierpnia 1968 roku, kilka dni po rozpoczęciu najazdu na Czechosłowację, ówczesny minister obrony narodowej gen. Wojciech Jaruzelski przemawiał do swych żołnierzy, dziękując im za *„bojową, żelazną dyscyplinę, za godne reprezentowanie munduru"*, nieco ponad pół tysiąca km od stolicy Czechosłowacji dwójka młodych ludzi postanowiła zaprotestować przeciwko agresji i udziałowi w niej polskich jednostek wojskowych. I w tym momencie rozpoczyna się historia jednej ulotki.

3 rano, dworzec Gałkówek

W nocy z 24 na 25 sierpnia 1968 roku służba patrolowo-obchodowa w rejonie obsługiwanym przez Posterunek MO z Gałkowa Dużego przypadła plut. Jerzemu Wójtowiczowi. Milicjant miał już za sobą obchód wsi Żakowice, Różyca, Kaletnik, Gałków Mały i Duży. Do końca dyżuru, tj. do godz. 3 nad ranem pozostało mu jeszcze tylko pół godziny i zupełnie nie przypuszczał, że służba przedłuży mu się o prawie 4 kolejne. Na koniec plut. Wójtowicz pozostawił sobie wizytę na stacji PKP Gałkówek. Na początku wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku: w poczekalni pusto, na peronie nikogo, jednak wychodząc na peron zauważył, że na drzewie koło bufetu wisi jakaś kartka. Przypomniał sobie, że wcześniej jej nie widział, a jedyne ogłoszenie wiszące na peronie przyczepione było do ściany bufetu i dotyczyło meczu piłki nożnej. Podszedł więc do podejrzanej

Tak wyglądała ulotka, która zawisła na dworcu w Gałkowie

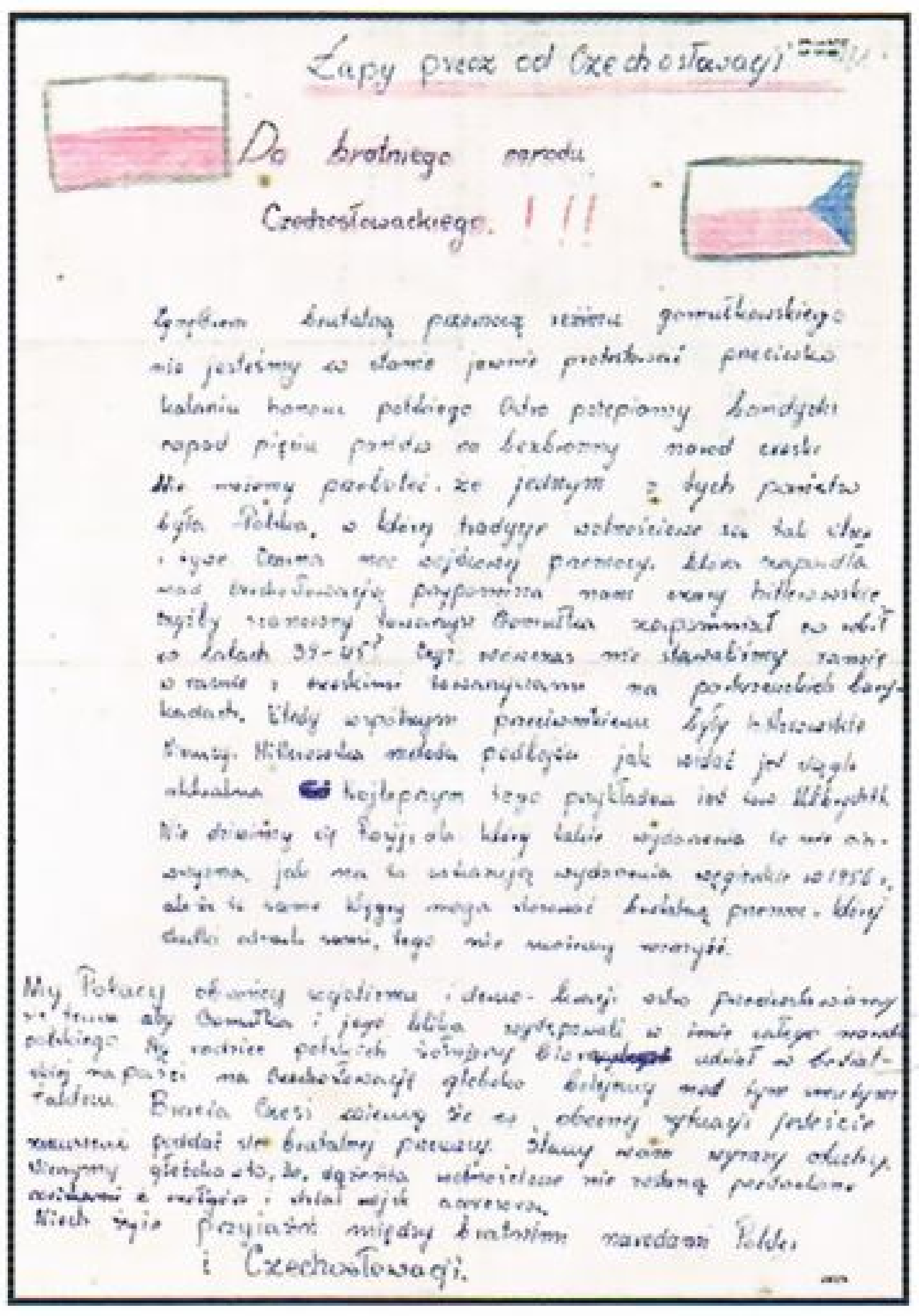

fot. Materiały archiwalne: IPN Ld 5/107.

kartki i już po kilku pierwszych zdaniach wiedział, że sprawa jest „śmierdząca", bo polityczna. Jak później pisał w notatce służbowej, tekstu nawet nie doczytał do końca. A brzmiał on tak: *„Łapy precz od Czechosłowacji. Do bratniego narodu Czechosłowackiego!!! Zgnębieni brutalna przemocą reżimu gomułkowskiego nie jesteśmy w stanie jawnie protestować przeciwko kalaniu honoru polskiego. Ostro potępiamy bandycki napad pięciu państw na bezbronny naród czeski. Nie możemy przeboleć, że jednym z tych państw była Polska, w której tradycje wolnościowe są tak silne i żywe. Czarna noc wojskowej przemocy, która zapadła nad Czechosłowacją przypomina nam czasy hitlerowskie. Czyżby szanowny towarzysz Gomułka zapomniał co robił w latach 39-45? Czyż wówczas nie stawaliśmy ramię w ramię z czeskimi towarzyszami na partyzanckich barykadach? Wtedy przeciwnikiem były hitlerowskie Niemcy. Hitlerowska metoda podboju jest jak widać ciągle aktualna. Najlepszym tego przykładem jest tow. Ulbriht. Nie dziwmy się Rosji, dla której takie wydarzenia to nie pierwszyzna jak na to wskazują wydarzenia węgierskie w 1956 r., ale że same Węgry mogą stosować brutalną przemoc, której skutki odczuli tego nie możemy rozgryźć. My Polacy, obrońcy socjalizmu i demokracji ostro przeciwstawiamy się aby Gomułka i jego klika występowali w imię całego narodu polskiego. My rodzice polskich żołnierzy biorących udział w bestialskiej napaści na Czechosłowację głęboko bolejemy nad tym smutnym faktem. Bracia Czesi wiemy, że w obecnej sytuacji jesteście zmuszeni poddać się brutalnej przemocy. Ślemy wam wyrazy otuchy. Głęboko wierzymy w to, że dążenia wolnościowe nie zostaną przestrzelone pociskiem z czołgów i dział agresora. Niech żyje przyjaźń między bratnimi narodami Polski i Czechosłowacji.*

Plutonowy pokręcił się jeszcze kwadrans wokół stacji, lecz nikogo nie spostrzegł. Następnie zdjął i zabezpieczył ulotkę oraz powiadomił Komendę Powiatową MO w Brzezinach. Około godz. 3.50 nad ranem został ze snu wyrwany technik dochodzeniowy i wraz z drugim funkcjonariuszem udali się na posterunek MO w Gałkowie Dużym, by zabezpieczyć ulotkę. Oględziny zakończyli o godz. 7.50.

Wielkie polowanie na autora

Dwa dni po ujawnieniu ulotki SB rozpoczęła dochodzenie z art. 170 kk mówiącego o rozpowszechnianiu fałszywych wiadomości mogących wywołać niepokój publiczny. Publiczny niepokój wywołany przez ulotkę wiszącą kilka nocnych godzin na małej, wiejskiej stacji PKP? Brzmi absurdalnie, szczególnie dla młodszych czytelników, lecz to znak tamtych czasów świetnie ilustrujący opresyjny charakter ustroju PRL. Ówczesne władze wyjątkowo alergicznie reagowały na wszelkie przejawy oporu o charakterze politycznym, zwłaszcza że Władysław Gomułka był jedynym komunistycznym przywódcą Polski, który przez chwilę cieszył się autentycznym poparciem społecznym. Do tego ulotka odnosiła się do działań międzynarodowych pod przywództwem ZSRR. Sprawę uznano za szczególnie ważną, ponieważ poprowadził ją bezpośrednio Wydział Śledczy KWMO, >>>

Dokumentacja fotograficzna przedstawiająca miejsce zdarzenia

>>> a nie bezpieka stopnia powiatowego. Polowanie na autora lub autorów ulotki wobec braku świadków musiało się opierać na badaniu wzorów pisma. Jeszcze tego samego dnia dwóch funkcjonariuszy SB udało się do siedziby gromadzkich rad narodowych w Gałkowie Dużym i Różycy. Tam poddali analizie 438 podań z okresu 1966 – sierpień 1968 r. składanych do prezydiów GRN przez okolicznych mieszkańców. Pierwszy strzał okazał się pudłem. By nie szukać na oślep, milicjanci z lokalnego posterunku, którzy najlepiej znali ten teren, sporządzili listę 22 osób (21 mężczyzn i 1 kobieta), które wg ich opinii mogły sporządzić ulotkę. Niestety, nieznane są mi kryteria, jakimi się kierowali przy jej tworzeniu. Szkoda, bo one też wiele zapewne mówiły o minionym ustroju. Być może jednym z nich było niemieckie pochodzenie (okolica od czasów zaborów do końca wojny była gęsto zasiedlona przez Niemców), na co mogą wskazywać niektóre nazwiska i imiona. Wydawać by się mogło, że teraz poszło lepiej, ponieważ wytypowano dwie osoby, od których miano pobrać następnie próbki pisma sporządzone na żądanie. Ostatecznie jednak okazało, się że to nie sprawcy. Trzeciego dnia śledztwa – jak się zdaje – SB wpadła na nowy pomysł, tj. że sprawca wcale nie musi być okolicznym mieszkańcem, lecz może zwyczajnie pracować w pobliżu stacji PKP. W miejscowym Ośrodku Transportu Leśnego por. Z. Szamałek oddał się lekturze akt osobowych. Przejrzał 74 teczki pracowników i ponownie musiał się przyznać do porażki. To jednak nie mogło zniechęcić funkcjonariusza śledczego SB. Tego samego dnia, czyli 30 sierpnia 1968 roku udał się wraz z dwoma kolegami do jednostki wojskowej w Gałkowie Małym. Obecność wsparcia nie może dziwić, wszak tym razem śledczy mieli do przejrzenia charaktery pisma 351 osób. Sprawdzano wszystkich, aktualnych i byłych, pracowników cywilnych jednostki. Po żmudnej pracy wyeliminowano ich z grona podejrzanych. Warto w tym miejscu zapytać, czy przypadkiem koledzy po fachu z WSW nie zrobili tego samego na prośbę SB z aktami żołnierzy. Niestety, na to pytanie odpowiedzi w materiałach sprawy nie odnajdziemy.

Tysiące wzorów pisma do sprawdzenia

Kończyły się wakacje, młodzież szykowała się do powrotu w szkolne mury, a tymczasem trzech funkcjonariuszy SB z KWMO w Łodzi w ostatnią sobotę sierpnia zamykającą ten miesiąc w 1968 r. udało się na stację PKP Gałkówek, by kontynuować śledztwo. Cóż tam robili, czy jakieś wzory pisma można znaleźć na stacji? Otóż można i to wcale nie mało. Udali się prosto do kasy i wzięli na warsztat zamówienia na bilety miesięczne. Mimo że sprawdzali tylko te złożone od maja do sierpnia, było ich aż 665! Wytypowali 13 mężczyzn i 1 kobietę, których pismo wydawało im się podobne do tego z ulotki. Typy okazały się ponownie nietrafione. Do końca miesiąca przewinęło się przez akta sprawy 16 kandydatów na podejrzanych, z który wszyscy okazali się niewinni. Ta liczba nie rzuca na kolana, ale 1016 sprawdzonych w ciągu 5 dni osób (ściślej rzecz biorąc wzorów pisma) musi robić wrażenie. Przypomnijmy – chodzi tylko o ustalenie autora jednej ulotki.

W początkach września kontynuowano przeczesywanie instytucji, w których bezpieka mogła znaleźć wzory pisma obywateli. Grupa trzech funkcjonariuszy odwiedziła Urząd Pocztowy w Gałkowie Dużym. Tym razem sprawdzono... 1067 wzorów pisma na podstawie składanych tam wniosków o zezwolenie na używanie odbiorników radiowo-telewizyjnych. Tak duża liczba sprawdzeń musiała zaowocować wytypowaniem osób do bardziej szczegółowej kontroli. Lista liczyła 14 mężczyzn i 2 kobiety. Wśród nich znalazł się – o czym SB jeszcze nie wiedziała – ojciec jednego ze sprawców. Dodatkowa kontrola wytypowanych na poczcie osób dała jednak wynik negatywny. Kolejne kroki zawiodły prowadzących dochodzenie do Biura Dowodów Osobistych w Brzezinach. Poszukiwania zaczęły zataczać szerszy krąg, obejmując kolejne wsie: Gałkówek-Parcelę,

Tablice poglądowe. Załączniki do ekspertyzy grafologicznej

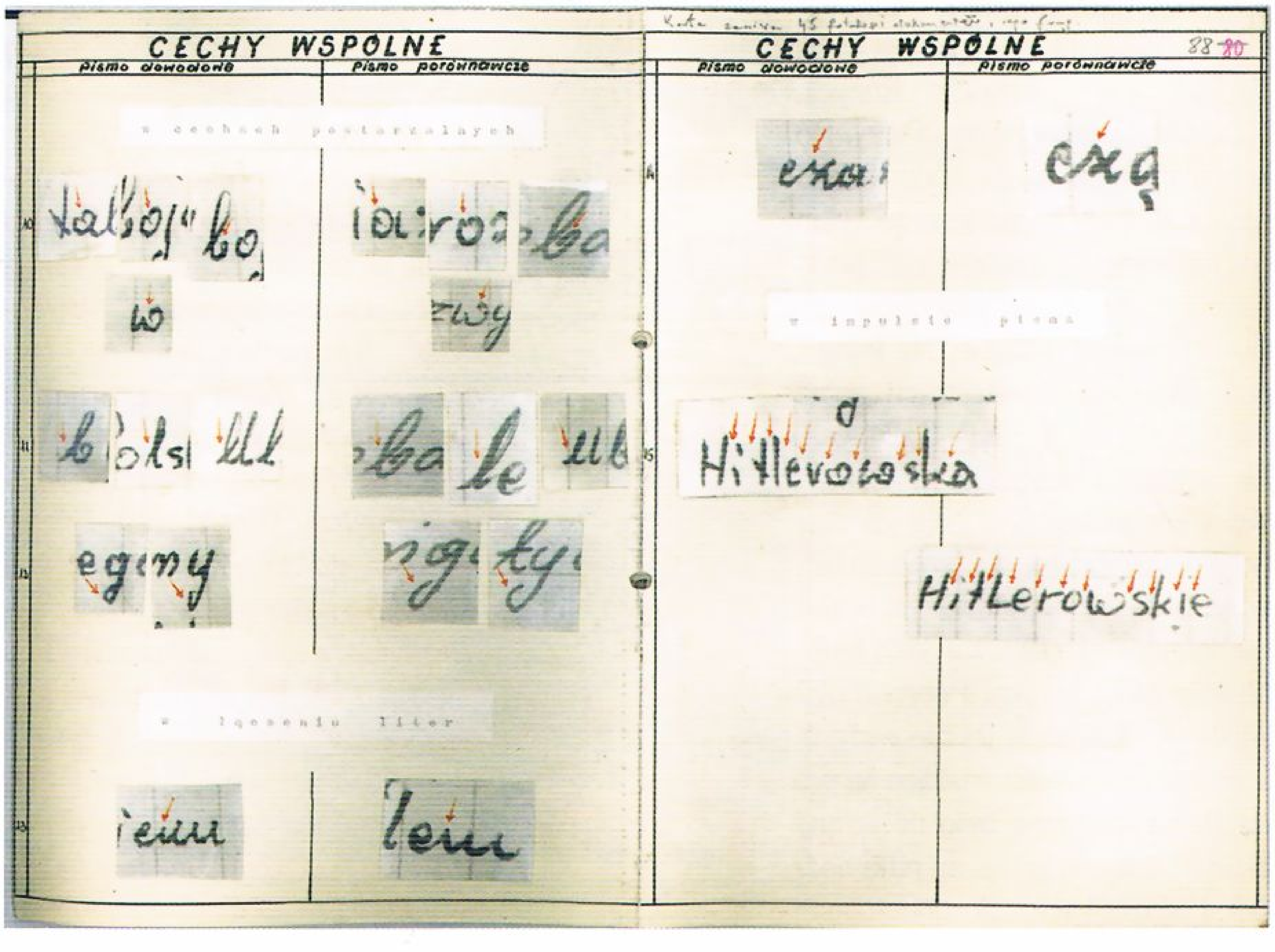

fot. Materiały archiwalne: IPN Łd 5/107

Zieloną Górę, Justynów i Janówkę. Z grona kandydatów na potencjalnych sprawców skreślono dalsze 718 osób. Jako że urzędy i instytucje okazały się kopalnią wzorów pisma, bezpieka drążyła coraz bardziej ten kierunek. W Wydziale Administracyjnym i Skupu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Koluszkach funkcjonariusze mieli do dyspozycji jako materiał porównawczy 500 podań złożonych przez obywateli w latach 1967-1968. Wzorów pisma odpowiadających temu z ulotki wśród nich nie odnaleziono.

Czytanie prac... maturalnych

W Koluszkach „smutni panowie" złożyli jeszcze wizytę w miejscowych technikum i szkole zawodowej. Nie wiadomo, czy zawiodło ich tam podejrzenie młodocianego wieku sprawców, czy po prostu „czesali" systematycznie wszystkie instytucje w miasteczku, w których mogli coś odkryć. Oprócz akt osobowych 309 uczniów przeglądali również 81 prac maturalnych tegorocznych absolwentów. Spośród 390 osób tylko charakter pisma jednego ucznia zawodówki okazał się zbliżony do tego z ulotki, zbliżony, lecz nie tożsamy. W dniach 5-6 września śledczy ponownie zawitali do Biura Dowodów Osobistych w Brzezinach. Na cel wzięli podania o wydanie dowodu osobistego mieszkańców Gałkowa Małego, Gałkowa Dużego i Borowej. Analizie poddano 1019 wzorów pisma. Stało się to, co przy tak szeroko zakrojonych i dokładnie prowadzonych poszukiwań musiało się stać. Wreszcie wytypowali osobę (Wiesława I), która, jak się wkrótce okazało, zredagowała i zawiesiła ulotkę na stacji PKP. Po 11 dniach od rozpoczęcia dochodzenia i weryfikacji 4710 wzorów pisma wreszcie SB mogła ogłosić sukces.

Wyrok zapadł

Od wstępnie podejrzanego pobrano próbkę pisma, zarekwirowano również jego pracę maturalną napisaną rok wcześniej w LO w Koluszkach, by wykorzystać ją jako tzw. materiał porównawczy bezwpływowy. Podczas pobierania wzorów pisma od Wiesława I, chłopak, nie widząc innego wyjścia, przyznał się do winy. Materiały zebrane przez SB trafiły do prokuratury, która wszczęła śledztwo, zmieniając przy tym kwalifikację prawną czynu na art. 22 dekretu z 13 czerwca 1946 roku (tzw. mały kodeks karny), mówiący o rozpowszechnianiu nieprawdziwych informacji mogących wyrządzić istotne szkody interesom państwa. W samo południe 12 września 1968 r. chłopak został zatrzymany, a dzień później trafił do aresztu w Łodzi. Podczas pierwszego przesłuchania wyjawił, że w redakcji i wywieszeniu ulotki pomagał mu kolega Wiesław II. Dwa dni później również on siedział w areszcie tymczasowym z identycznymi zarzutami. Po upływie niemal pełnego miesiąca obaj opuścili areszt. 26 listopada zapadł wyrok: Wiesław I – 2 lata więzienia, Wiesław II – 1 rok i 6 miesięcy, w obu przypadkach w zawieszeniu na 4 lata.

fot. Materiały archiwalne: IPN Ld 5/107

Literą „A" oznaczono drzewo, na którym wisiała ulotka.

W toku licznych przesłuchań Wiesław I, główny inspirator zdarzenia, indagowany na temat celu, jaki mu przyświecał, mówił początkowo, iż był to protest przeciwko zakłamaniu polskich mediów, które nie mówiły prawdy o wydarzeniach w Czechosłowacji (konfrontował ich komunikaty z rozgłośniami czeskimi, Radiem Wolna Europa i Głosem Ameryki), a później twierdził, że nie potrafi swego postępowania racjonalnie wyjaśnić. Wiesław II od początku nie umiał wytłumaczyć, dlaczego wziął udział w stworzeniu i wywieszeniu odezwy. Obydwaj opowiadali, że szybko doszli do wniosku, iż popełnili błąd i mieli zamiar zdjąć ulotkę na drugi dzień, ale ubiegła ich MO. Żałowali swojego czynu, twierdząc, że zostali zmanipulowani przez zachodnie rozgłośnie radiowe i złożyli coś w rodzaju samokrytyki.

Z armaty na muchę

Ta prosta historia jednej ulotki ukazuje w dobry sposób opresyjny charakter PRL i jej włodarzy. Pokazuje świetnie, obok totalnego braku wolności słowa, zawziętość bezpieki w tropieniu i bezwzględność traktowaniu tych, których uznała za wrogów ustroju (areszt tymczasowy za wywieszanie ulotki). Unaocznia również niektóre z absurdów tamtych dni. Bo jak inaczej określić przekonanie wymiaru sprawiedliwości, że wisząca przez kilka godzin na małej, wiejskiej stacji PKP ulotka może wywołać niepokój społeczny lub wyrządzić istotne szkody interesom państwa. <

Bartosz Bijak

Z wykształcenia etnolog i historyk, na co dzień archiwista w łodzkim oddziale IPN, a przede wszystkim ojciec. Miłośnik archeologii krajobrazu i pieszych wędrówek z dala od uczęszczanych szlaków

BANKIET W RESTAURACJI „RIGA"

LESZEK ADAMCZEWSKI

Ten bankiet przeszedł do historii powszechnej. Budynek restauracji, w którym się odbył, nie przetrwał do czasów współczesnych. Arthur Greiser gościł tutaj kolacją grupę zbrodniarzy...

Zabij mnie pan, ale nie pamiętam takiej restauracji – zaklinał się starszy mieszkaniec wielkopolskiego Koła, który z racji wieku musiał pamiętać czasy, gdy to miasto nazywało się Warthbrücken. Ale przecież dzieci, a on był wtedy dzieckiem, nie chodzą po restauracjach – w myślach usprawiedliwiałem zagadniętego mężczyznę. A zwłaszcza do restauracji, która pewnie była *Nur für Deutsche,* nie chodziły polskie dzieci.

W gabinecie burmistrza Koła i w jego sekretariacie wśród kilkunastu zgromadzonych w tamten ostatni majowy czwartek osób nie było nikogo, kto żyłby w czasach drugiej wojny światowej. No i nikt z nich nie wiedział, gdzie w wojennym Kole była restauracja „Riga".

Reprodukcja widokówki przedstawiającej wnętrza restauracji „Riga" w Warthbrücken

W końcu chyba wszyscy zgodzili się, że może znajdowała się ona na parterze dawnego hotelu na Starym Rynku. Ktoś dodał, że była to reprezentacyjna budowla w okupowanym mieście.

W końcu maja 2015 roku dawny hotel był już tylko ruiną, w której trudno było dopatrzyć się śladów świetności. Przez wiele lat opuszczony, strawiony przez pożar straszył na głównym placu Koła. Ktoś przebywający w sekretariacie burmistrza wytłumaczył mi, że na początku transformacji ustrojowej hotel sprzedano, a jego nowy właściciel w ogóle nie troszczył się o kupiony budynek. A to przecież – dodał – zabytek. Stojący naprzeciw-

ko ratusza dom pochodzi bowiem z 1887 roku. W czasach drugiej wojny światowej hotel nazywał się Deutsches Haus (Dom Niemiecki) i gdy kilkanaście minut później z bliska oglądałem ruinę, uznałem za prawdopodobne, że poszukiwana restauracja mogła zajmować parter tego budynku.

Nie zajmowała, bo „Riga" znajdowała się w innym miejscu Warthbrücken, ale też nie ulega wątpliwości, że w latach 1942–1944 do Deutsches Haus zaglądali „bohaterowie" naszej opowieści. Wpadali na sznapsa, dobre piwo i golonkę. Niektórzy zapraszali niemieckie pielęgniarki z miejscowego szpitala. Wieczorem członkowie Sonderkommando Kulmhof zabierali dziewczyny do swego obozu i wczesnym rankiem hauptsturmführer SS i komisarz kryminalny Hans Bothmann będzie je wyrzucał, często pijane i nagie, prosto na ulicę, ku uciesze uczniów znajdującej się po przeciwnej stronie drogi szkoły. *„Skarżyłem się na to inspektorowi oświatowemu. Skutek był taki, że najpierw szkołę przeniesiono na plebanię, a potem, w październiku 1942 roku, zamknięto"* – wspominał miejscowy nauczyciel Erhard Michelsohn, cytowany przez Patricka Montague'a w pracy „Chełmno. Pierwszy nazistowski obóz zagłady".

Kulmhof był pierwszy

Nikomu nie śniły się jeszcze komory gazowe Auschwitz II-Birkenau, Treblinki czy Sobiboru, a konferencja w Wannsee była dopiero w planach, gdy niedaleko wielkopolskiego Koła rozpoczęła się zagłada Żydów. Zaplanował ją i przekonał do niej nazistowskich decydentów z Berlina namiestnik Rzeszy w Kraju Warty i poznański gauleiter NSDAP Arthur Greiser. Jesienią 1939 roku stanął on na czele okręgu, który chciał szybko „oczyścić" z Żydów. Tych z Poznania i w ogóle z dawnych ziem zaboru pruskiego w krótkim czasie wypędzono do Generalnego Gubernatorstwa. Ale na terenie Kraju Warty znajdowały się też ziemie z dawnego zaboru rosyjskiego, w tym licząca ponad 600 tys. mieszkańców (od 1940 roku – grubo ponad 700 tys.) Łódź, przemianowana na Litzmannstadt, gdzie odsetek ludności żydowskiej był znaczny, a jej wysiedlenie do GG nie wchodziło w grę.

Nazistowscy przywódcy czekali na dzień, w którym Wehrmacht i armie sojuszników Rzeszy ruszą na Związek Radziecki. Po 22 czerwca 1941 roku względy międzynarodowe nie stały już na przeszkodzie w realizacji starego celu ruchu hitlerowskiego – rozprawy z żydostwem. Wprawdzie czekano jeszcze na wojnę ze Stanami Zjednoczonymi, ale już latem tegoż roku podjęto konkretne przygotowania. Przed szereg wysunął się Arthur Greiser, który na środę, 16 lipca 1941 roku, zwołał do Posen odprawę czołowych działaczy NSDAP Kraju Warty. Zastanawiano się nad dalszym losem ponad 300 tys. Żydów w Warthegau, ale tylko najbardziej zaufanych współpracowników namiestnik poinformował o tym, że za cichą zgodą Berlina wszystkich Żydów należy w najbliższym czasie zabić, a całą akcję przeprowadzić skrycie.

Namiestnik Rzeszy w Kraju Warty i gauleiter NSDAP Arthur Greiser był gospodarzem bankietu w kolskiej restauracji Riga.

Dokładnie pięć lat później Arthur Greiser oświadczy w Auli Uniwersytetu Poznańskiego przed sądzącym go Najwyższym Trybunałem Narodowym, że o polityce eksterminacyjnej wobec Żydów dowiedział się dopiero z... procesu norymberskiego. Jeśli wierzyć sprawozdawcy tygodnika „Żołnierz Polski", a był nim Witold Wirpsza, w auli wybuchł śmiech.

To Arthur Greiser osobiście nadzorował przygotowania do uruchomienia pierwszego w Rzeszy obozu masowej zagłady. Catherine Epstein, autorka znakomitej biografii namiestnika Kraju Warty zatytułowanej „Wzorcowy nazista", znalazła sensacyjny dokument na ten temat. Był to biuletyn stacji nasłuchowej Luftwaffe, gdzie zarejestrowano przebieg rozmowy między prezesem rejencji łódzkiej Warthegau Friedrichem Uebelhoerem a szefem Biura Policji Państwowej w Litzmannstadt Robertem Schefe. Epstein napisała: „Uebelhoer miał powiedzieć Schefemu, że *»zgodnie z rozkazem gauleitera przebywający w getcie chorzy mają być zabrani. Na pytanie Biura Policji Państwowej, czy Berlin wie o sprawie, padła wymijająca odpowiedź«. Wypowiedź Uebelhoera wskazuje, że Greiser nie tylko wydał rozkaz zamordowania części Żydów z łódzkiego getta, lecz także zrobił to bez wyraźnej zgody władz centralnych"*. Była jednak, o czym świadczą ujawnione po wojnie dokumenty, zgoda szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy obergruppenführera SS Reinharda Heydricha i cicha zgoda jego przełożonego Heinricha Himmlera.

Najpierw wybrano lokalizację obozu. W grę wchodziła tylko >>>

>>> wschodnia część Kraju Warty, znajdująca się stosunkowo blisko Łodzi, a jednocześnie maksymalnie oddalona od dużych ośrodków miejskich. Uznano, że najlepsze będą okolice miasteczka Warthbrücken, a ściślej rozciągające się nieco na południe od Koła lasy rzuchowskie koło wioski Chełmno nad Nerem, przemianowanej na Kulmhof am Ner. Wysiedlono zeń większość mieszkańców, a sam obóz urządzono w przypałacowym parku, który otoczono wysokim parkanem. Wybrano również załogę obozu. Tu Greiser postawił na ludzi już sprawdzonych, a mianowicie na Sonderkommando Lange, które pod dowództwem komisarza kryminalnego, obersturmführera SS Herberta Langego, uczestniczyło w wymordowaniu pacjentów zakładów psychiatrycznych w Kraju Warty. W odróżnieniu od akcji T-4 w „starej" Rzeszy ludzie Langego nie patyczkowali się z „polskimi wariatami". Otumanionych zastrzykami ze środkami uspokajającymi wpychano do blaszanego pudła samochodu ozdobionego napisem *Kaiser's Caffe Geschäft* i rysunkiem filiżanki dymiącej kawy. Podczas jazdy spaliny dostawały się do tegoż pudła ciężarówki, a znajdujący się wewnątrz ludzie w męczarniach umierali wskutek zatrucia tlenkiem węgla. Po konsultacjach z wyższym dowódcą SS i policji Kraju Warty obergruppenführerem SS Wilhelmem Koppe, Greiser postanowił, że Żydów mordować się będzie w identyczny sposób.

Jesienią 1941 roku w Kulmhofie zakwaterowało się specjalne komando SS, które tworzyła grupa poznańskich gestapowców oraz żandarmów i policjantów. Dowodził nimi Herbert Lange, ale po kilku miesiącach na tym stanowisku zastąpił go znany nam już hauptsturmführer SS Hans Bothmann. I tak powstało Sonderkommando Kulmhof.

W wydanej w 2011 roku książce „Zmierzch bogów w Posen" pisałem między innymi: *„Pierwsze transporty Żydów zaczęły trafiać do Chełmna nad Nerem od 8 grudnia 1941 roku. Przyszłe ofiary gromadzono na placu przed pałacem, gdzie przemawiał do nich esesman. Oświadczał on, że będą stąd kierowani na roboty przymusowe, a przed wyjazdem muszą się wszyscy wykąpać, zaś ich odzież będzie wydezynfekowana. Następnie wchodzili oni do pałacu, gdzie w dobrze ogrzanym pomieszczeniu widzieli drzwi z napisami: »Do kąpieli« i »Do lekarza«. Rozebranych ludzi prowadzono korytarzem do wyjścia, gdzie stał specjalnie skonstruowany samochód, który w istocie był jeżdżącą komorą gazową. Czar prysł. Opornych, którzy nie chcieli wejść do samochodu, żandarmi popędzali kijami. Drzwi zatrzaskiwano, w komorze gasło światło, po czym kierowca włączał silnik. Spaliny poprzez rurę wydechową trafiały do wnętrza samochodu, w ciągu kilku minut zabijając stłoczonych w pojeździe ludzi. Gdy milkły krzyki i odgłosy szamotaniny, samochód ruszał w kierunku oddalonego od Chełmna o 4 kilometry lasu rzuchowskiego. Co kilka dni któregoś z Żydów przed wejściem do samochodu śmierci zmuszano do napisania krótkiego listu lub tekstu na widokówce, że pracuje on w fabryce w miejscowości X lub Y i że mu oraz jego krewnym powodzi się dobrze. Takie listy lub widokówki Niemcy wysyłali następnie do gmin żydowskich z pieczęciami pocztowymi Lipska, Monachium i innych miast Rzeszy".*

Kolorowa fotografia Waltera Geneweina przedstawiająca Żydów z łódzkiego getta, którzy na stacji przeładunkowej Radegast, zwanej bocznicą na Marysinie, zajmują miejsca w wagonach.

Widok na zrekonstruowaną stację Radegast, z której łódzkich Żydów wywożono do obozów śmierci

Podejrzenie przeradza się w pewność

Amerykanie się nie spieszyli. Dopiero w 1948 roku dyplomatom z Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie przekazali kopię sensacyjnego opracowania, które można także uznać za formę wspomnień. Wspomnień ważnego w powiecie kolskim dygnitarza hitlerowskiego. Liczący 62 strony maszynopis nosi wymowny tytuł: *„Die grosse Lüge – Chelmno. Der Nationalsozialismus, wie ihn das deutsche Volk nicht kennt"* (Wielkie kłamstwo – Chełmno. Narodowy socjalizm, którego nie znał naród niemiecki). Autorem napisanych w lutym 1945 roku wspomnień był 49-letni wówczas hauptsturmführer SS Heinrich May, noszący stosunkowo

niski numer legitymacji NSDAP, a mianowicie 44 185. W Kraju Warty pełnił on stanowisko nadleśniczego w powiecie Warthbrücken. Kolscy Niemcy z władz hitlerowskich uważali Maya za swego i nie krępowali się jego obecnością. A ponadto w realizacji zadania, które czekało Sonderkommando Kulmhof, May miał odegrać ważną rolę dostawcy drewna opałowego.

Cytując fragmenty jego wspomnień, korzystałem z wersji pochodzącej z wczesnych lat 80. XX wieku. W tym dokonanym na zlecenie ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce tłumaczeniu opracowania nazwy miejscowości podane są w polskim brzmieniu, chociaż były nadleśniczy używał także nazw niemieckich.

„Jesienią 1941 roku – pisał Heinrich May – *zawiadomił mnie leśniczy Staegemeier, który miał swą stałą siedzibę w leśnictwie Ladorudź, że do Chełmna przybyło specjalne komando i zażądało od niego drewna opałowego. Mówiąc to Staegemeier był dziwnie poważny, na co nie zwróciłem z początku większej uwagi. [...] W pewien czas później jechałem w towarzystwie landrata i kreisleitera* [starosty i kierownika powiatowej instancji NSDAP – przyp. L. A.] *Bechta z Chełmna do Koła. Gdy przejeżdżaliśmy przez las, powiedział Becht wskazując ręką w stronę rewiru 77: »Pańskie drzewa będą wkrótce lepiej rosły«. Kiedy spojrzałem na niego pytająco, odpowiedział, że Żydzi dają dobrą mierzwę. Chciałem dowiedzieć się czegoś bliższego, ale Becht był bardzo tajemniczy i zmienił temat rozmowy. Zastanawiałem się długo nad zagadkowymi aluzjami. Nie mogłem sobie jednak ich wytłumaczyć. Z góry odrzucałem rodzące się u mnie podejrzenie, że ma być tutaj przeprowadzana jakaś straszliwa akcja przeciwko Żydom, bo było to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem".*

W innym miejscu nadleśniczy May pisał: *„Podczas ostrej zimy 1941-1942 widać było potworne rzeczy. Widziałem kolumnę tych nieszczęśliwych istot maszerujących przez Koło: mężczyzn, kobiety, dzieci, starców. Za kolumną jechał wóz zaprzężony w konie, który miał zapewne podejmować tych, którzy już chodzić nie mogli. Niedaleko urzędu pocztowego widziałem, jak kobieta, która niosła na ręku małe, widocznie dopiero kilkumiesięczne dziecko, pośliznęła się i upadła. Dziecko było już na pół zamarznięte, gdyż nie słyszałem żadnego krzyku. Ktoś z eskorty schwycił dziecko za jedną nóżkę i rzucił je jak kłodę drewna na wóz. Tych, którym ze strachu i zimna uginały się kolana i którzy nie mogli już dotrzymać kroku, popędzono brutalnymi uderzeniami kolbą. Widziałem dwie ładne, dobrze ubrane dziewczyny, które wzięły między siebie starą, wychudzoną kobietę. Była to pewnie ich matka. Obie dziewczyny z trudem wlokły kobietę. Gdy kobieta nie mogła już dalej iść i upadła na drodze, obie starały się postawić ją na nogi. Przez to pozostały trochę za kolumną. Jeden z konwojujących żandarmów skoczył do nich natychmiast i krzyknął: »Obrzydliwe żydostwo, chcecie może jechać!«. [...] Ludzie spoglądali otępiali na ulicę i oglądali się za tym smutnym pochodem. Niemcy i Polacy. Nie mogę pojąć, że ludzie ci nie krzykną głośno z oburzenia i nie rzucą się na tę bestię. Ale nie mam prawa się dziwić. Przecież sam też nic nie robię. Nieostrożne słowo oznacza śmierć. Nie ma wymiaru sprawiedliwości w Kraju Warty".*

„To można zrobić, dziewczyno"

Pewnego dnia u nadleśniczego zjawił się kierownik komanda specjalnego Hans Johann Bothmann, który chciał z May'em omówić sposoby maskowania. W jego wspomnieniach czytamy między innymi: *„Jadę z Bothmannem do rewiru 77. Przerażony wkraczam po raz pierwszy na to straszliwe miejsce. Na polanie, która została przez wyrąb rozszerzona, widzę najpierw grób mniej więcej 200 metrów długi i 5 metrów szeroki. Grób jest pokryty ziemią na wysokość około dwóch metrów. Nieco dalej znajduje się taki sam grób o długości 150 metrów. Ten grób był na trzy czwarte długości zasypany. Drugi koniec był jeszcze otwarty. Nie odważyłem się tam pójść i rzucić okiem. Wkrótce zjawił się znowu zamknięty wóz, skierował się do otwartej części grobu i tyłem dojechał do jego skraju. Wóz otworzono i wtedy zobaczyłem stos wypadających z niego nagich ciał ludzkich. Byłem około 80 metrów od wozu. Pod wodzą żandarma dobiegła grupa tam zatrudnionych, do połowy nagich robotników, aby zwłoki zrzucić do grobu. Bothmann powiedział mi, że zwłoki układa się dokładnie warstwami; w przeciwnym razie* >>>

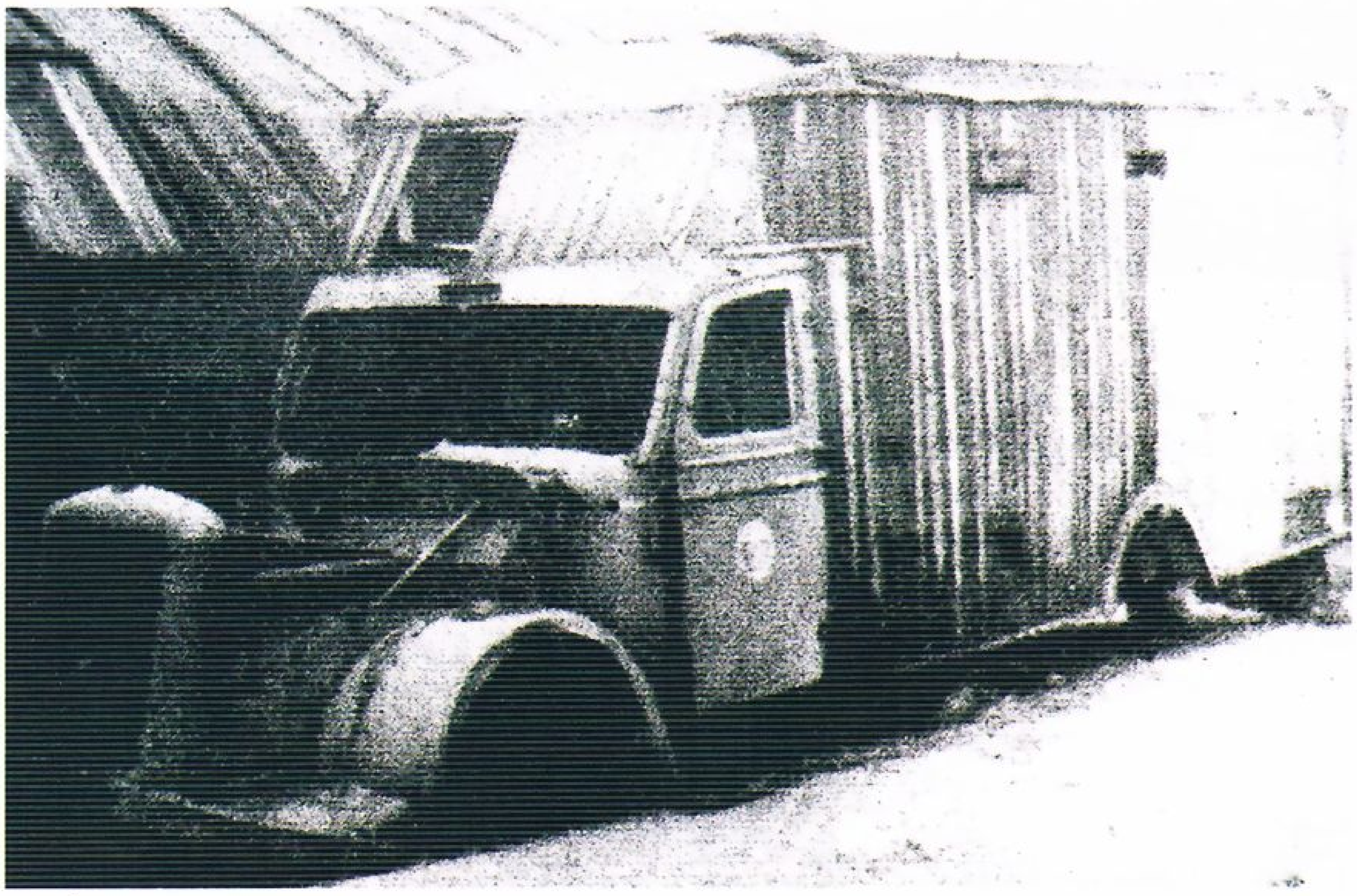

Zdewastowaną ruchomą komorę gazową z Kulmhofu Polacy po wojnie odnaleźli porzuconą na jednej z posesji we wschodniej Wielkopolsce.

>>> *grób pomieściłby za mało. W linii pionowej do tego grobu pracowała koparka z napędem motorowym i taśmą nad wykopaniem drugiego grobu. Przy pomocy motorowo napędzanej taśmy również groby zasypywano. Zamówiłem w hurtowni nasiennej większą ilość nasion jałowca, aby to miejsce obsiać. Między jałowiec miały być posadzone świerki i brzozy".*

Jednak do tego nie doszło, ponieważ latem 1942 roku nad zakopanymi grobami unosiła się – jak napisał May – *„wstrętna, silna, słodkawa woń. Musiałem zatkać sobie nos i opuściłem to miejsce tak szybko, jak mogłem"*. Zbiorowe mogiły więc rozkopano i palono rozkładające się zwłoki. Ogromne ilości potrzebnego drewna opałowego dostarczył nadleśniczy May po uzyskaniu na to zgody krajowego urzędu leśnictwa. Potem zbudowano dwa prowizoryczne piece krematoryjne.

Oddajmy raz jeszcze głos świadkowi masowych zbrodni. Heinrich May napisał także: *„Młoda kobieta, która ma wejść do komory gazowej, zaczyna dziko krzyczeć i ciągle powtarza: »Ja nie chce się udusić, wolę być zastrzelona«. »To można zrobić, dziewczyno« powiedział Bothmann, podniósł pistolet i strzelił. Starsza kobieta o twarzy szarej z przerażenia i strachu prosi wraz z córką, by mogły siebie same zabić. Prosi o sznur. Bothmann rzuca jej ze stosu odzieży biustonosz. Córka kładzie się na ziemi, a matka rzuca jej pętle naokoło szyi. Gdy matka pętlę zacisnęła, córka krzyknęła z przerażenia. Z szatańskim uśmiechem Bothmann ze swoimi katowskimi pachołkami temu się przypatrywał".*

Profesor Blome pyta o zgodę Führera

Niespodziewanie dla wszystkich, 11 września 1942 roku, do kierownictwa Litzmannstadt-Ghetto nadszedł z Posen rozkaz wstrzymujący akcję eksterminacyjną w Kulmhofie. Dla mieszkańców łódzkiego getta oznaczało to wstrzymanie wywózek, co zresztą natychmiast ogłoszono publicznie. Arthur Greiser uznał bowiem, że ów obóz zagłady spełnił już swe zadanie. Ostatnie deportacje Żydów z Łodzi do Chełmna nad Nerem załatwiły bowiem problem z wyżywieniem około 100 tys. „bezproduktywnych darmozjadów", a pozostali w Litzmannstadt-Ghetto Żydzi mieli teraz spokojnie pracować na rzecz gospodarki wojennej Wielkoniemieckiej Rzeszy, przy okazji wzbogacając prywatne konta lokalnych działaczy NSDAP, a być może także Greisera i jego najbliższego otoczenia.

Rozkaz z 11 września nie zamknął obozu w Kulmhofie. Trafiło doń jeszcze kilka dodatkowych transportów Żydów, a ponadto Greiser już wcześniej liczył, że – jak 1 maja 1942 roku napisał do reichsführera SS Heinricha Himmlera – *„przy pomocy tego samego doświadczonego w pracy oddziału specjalnego, zaraz po zakończeniu akcji z Żydami [będzie można] uwolnić okręg od niebezpieczeństwa, które z każdym tygodniem przybiera coraz to bardziej katastrofalne rozmiary"*. Namiestnik liczył, że niejako przy okazji komando Bothmanna wymorduje około 35 tys. Polaków pochodzenia nieżydowskiego chorych na gruźlicę. *„Zrozumiałe* – pisał do Himmlera – *że akcji tej podlegaliby tylko ci Polacy, u których lekarz urzędowy stwierdziłby nie tylko otwartą gruźlicę, ale i jej nieuleczalność oraz wystawił odpowiednie zaświadczenie"*. Himmler zgodził się na propozycję Greisera, ale krótko potem do akcji wkroczył profesor Kurt Blome, zastępca kierownika Głównego Urzędu NSDAP do spraw Zdrowia Publicznego. Zapytał on Greisera *„czy Führer rzeczywiście wyraził zgodę na takie rozwiązanie"* i, jakby odpowiadając sam sobie, w piśmie do namiestnika Rzeszy stwierdził, że Hitler takiej zgody nie wyda, bo wcześniej wstrzymał eutanazję psychicznie chorych. Jednocześnie Blome obszernie wyjaśnił Greiserowi, że zaplanowanej przez niego akcji nie da się utrzymać w tajemnicy. Zaprotestują kościoły, zaprotestują Włosi, a ponadto niektóre *„kręgi społeczeństwa [niemieckiego] będą rozsiewać pogłoski, że tego rodzaju*

Monumentalny pomnik upamiętniający Żydów zamordowanych w Kulmhofie stoi w lesie koło Chełmna nad Nerem.

Symboliczny cmentarz żydowski w lesie koło Chełmna nad Nerem na zdjęciu z 1998 roku.

metody zastosuje się w przyszłości wobec chorych na gruźlicę Niemców". Podobnej treści pismo Blome wysłał do Himmlera, który 3 grudnia 1942 roku w liście do Greisera cofnął swą wcześniejszą zgodę. Całej tej korespondencji w sprawie wymordowania chorych na otwartą gruźlicę Polaków z Kraju Warty nie znali prokuratorzy i sędziowie Najwyższego Trybunału Narodowego, oskarżający i sądzący Greisera. Na dokumenty te natrafiono dopiero znacznie później.

Przez siedem miesięcy, od 1 maja do 3 grudnia 1942 roku, krążyły pisma w sprawie wymordowania chorych na gruźlicę Polaków, a tymczasem członkowie Sonderkommando Kulmhof po wymordowaniu Żydów z ostatnich transportów usuwali ślady popełnionych tu zbrodni ludobójstwa. Z pomocą grupki pozostawionych przy życiu Żydów rozkopywano mogiły, wyciągano rozkładające się ciała i palono je we wspomnianych krematoriach. Jednocześnie sortowano rzeczy odebrane Żydom, w tym kosztowności i pieniądze, pakowano je i wysyłano w głąb Rzeszy.

Bothmann nie spieszył się i nie poganiał swych podwładnych. W Kulmhofie i Wartbrücken czas po służbie, do której się przyzwyczaili, upływał miło. *„Członkowie Sonderkommando nie narzekali na przydział do Chełmna. Za służbę otrzymywali podwyższony żołd oraz dodatkowy przydział żywności. W weekendy odwiedzali kino w Kole, a w miejscowych restauracjach oddawali się libacjom w żeńskim towarzystwie"* – czytamy w pracy „Chełmno. Pierwszy nazistowski obóz zagłady".

Usnęli przy stolikach

Na początku marca 1943 roku prace nad usuwaniem śladów po funkcjonującym w okolicach Kulmhofu obozie masowej zagłady dobiegały końca. W powietrze wyleciały oba prowizoryczne krematoria, a wkrótce potem pałac. Usunięto gruz, wywieziono używany przez esesmanów sprzęt, przede wszystkim młyn do kości i koparkę. Gdzie tylko się dało, zasadzono drzewa.

I wreszcie w piątek, 5 marca, w Kulmhofie pojawiła się kolumna limuzyn na czele z mercedesem o numerze rejestracyjnym P-1. Wysiadł z niego sam Arthur Greiser, który nieco ponad trzy lata później przed Najwyższym Trybunałem Narodowym zapewniać będzie sędziów, prokuratorów, obrońców i publiczność, że w Chełmnie nad Nerem nigdy nie był. Z pozostałych samochodów wysiedli wyżsi oficerowie SS na czele z szefem łódzkiego gestapo sturmbannführerem SS doktorem Ottonem Bradfischem. Na gości z Posen i Litzmannstadt czekali już wyprężeni w równym szeregu członkowie Sonderkommando i Polizeiwachtkommando. Meldunek Greiserowi złożył Bothmann. Namiestnik Rzeszy w kraju Warty w imieniu Führera podziękował załodze obozu za wykonaną pracę. Poinformował, że w związku z bliską likwidacją obozu, a przed podjęciem dalszej służby dla Niemiec, każdy otrzyma czterotygodniowy urlop specjalny i zaproponował, że mogą oni skorzystać z jego oferty i czas ten za darmo spędzić w jednym z majątków Greisera.

– *A teraz, towarzysze* – zakończył Greiser przemowę do morderców – *zapraszam wszystkich na skromny żołnierskie posiłek do Warthbrücken. Spotkajmy się tam* – i w tym momencie spojrzał na zegarek – *za dwie godziny, by w milszej atmosferze kontynuować naszą rozmowę.*

– *Baczność!* – krzyknął Bothmann.

– *Sieg Heil!*

Po restauracji Riga, gdzie odbył się pożegnalny bankiet, we współczesnym Kole nie został żaden ślad. W tym miejscu stoi dziś jeden z obiektów znanej w Polsce sieci handlowej. Niewiele też na temat tego przyjęcia wiadomo. Odbyło się ono w wielkiej sali tejże restauracji i oprócz zapraszającego i zaproszonych obecni byli również szef łódzkiego gestapo i prawdopodobnie wtajemniczony w to zbrodnicze przedsięwzięcie landrat kolski. Bankiet zaczął się od kolacji, podczas której przemawiali Greiser i Bothmann. A potem alkohol lał się strumieniami. Wódkę popijano piwem tak, iż rychło większość esesmanów usnęła przy stołach...

Ani Hans Bothmann, ani żaden z jego ludzi nie sądził, że kiedykolwiek wrócą do Kulmhofu. A jednak po roku odwołano ich z okupowanej Jugosławii i sprowadzono do Kraju Warty. *„Wiosną 1944 roku* – pisał Heinrich May – *Bothmann ze swoim komandem specjalnym nagle pojawił się znowu i ponownie zażądał wielkich ilości drewna opałowego. Ofiary przywożono teraz, po odbudowie wysadzonego w powietrze mostu, kolejką wąskotorową aż w bezpośrednie sąsiedztwo grobów. Gazowanie następowało na samym placu. Szczegółów nie znam, ponieważ nie miałem tam już dostępu".*

Polskiemu wymiarowi sprawiedliwości nigdy nie udało się odnaleźć Heinricha Maya i go przesłuchać. Według amerykańskich informacji po wojnie mieszkał on w miejscowości Sulzbach. Polacy ustalili, że w 1947 roku w czterech strefach okupacyjnych Niemiec było 14 miejscowości o tej nazwie. Zimna wojna i powojenne trudności komunikacyjne przeszkodziły poszukiwaniom. <

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. Najnowsza pozycja tego Autora to „Zejście do piekieł" wydana nakładem Repliki.

Zdjęcia: archiwum autora

1

2

3

fot. myvimu.com

MYVIMU.COM, CZYLI MOJE WIRTUALNE MUZEUM

KLAUDIA MRÓZ

To specjalistyczny serwis dla prywatnych kolekcjonerów i osób zakochanych w historii. Zrzesza 9000 pasjonatów i prezentuje 150 tys. eksponatów!

Scenariusze są różne – niektórzy szukają dla samej frajdy, inni zgłębiają wybraną tematykę. Jedni żyją od „akcji do akcji", drudzy traktują eksplorację jako jedną z wielu rozrywek. Jednak gdy już poświęcimy czas i chęci na poszukiwania, a „fantów" zaczyna przybywać powstaje kwestia: co teraz? Co zrobić, kiedy nie mamy możliwości wyeksponowania wszystkich zdobyczy? Kiedy okazuje się, że wylicytowany w emocjach „fant" okazał się kolejnym dublem? Jak ogarnąć szybko rozszerzającą się kolekcję? Co z wiedzą, którą z pasją maniaka zgłębiamy na temat naszych skarbów?

Jak działa MyViMu.com

W odpowiedzi na takie i podobne pytania powstał serwis myvimu.com, czyli Moje Wirtualne Muzeum. Jego idea jest prosta. Robimy zdjęcie lub skan eksponatu, dodajemy je do naszego profilu, czyli „Wirtualnego Muzeum", dołączamy opis oraz parametry i publikujemy. W dowolnej chwili możemy wygenerować, a następnie wydrukować karty katalogowe dla naszej kolekcji. Na bieżąco widzimy też statystyki odwiedzin naszego „Muzeum". Mamy więc dwie główne funkcje serwisu – katalogowanie oraz prezentację zbiorów. Eksponaty można także skomentować i „polubić", co ma znaczenie dla ich wyników w rankingu. Oprócz tego mamy możliwość dyskusji na forum oraz możemy pogłębić swoją wiedzę, czytając blog MyViMu.

1 Pistolet wz.35 VIS – Muzeum First to Fight

2 Fragment kolekcji naszywek Kustosza Camonoka

3 Odrestaurowany Opel P4 pick-up z 1936 roku – Muzeum Blitzteam

Sami Użytkownicy tak oceniają serwis i jego możliwości: *„Moja kolekcja rozrastała się i potrzebowałam „czegoś" do uporządkowania zbiorów. Własna strona www z powodu miernych umiejętności mnie przerażała, blog nie dawał za wiele możliwości w usystematyzowaniu zbiorów (...) w końcu znajomy podesłał mi link do MyViMu. Zalogowałam się z ciekawości i... zostałam"* – mówi Kustosz Muzeum Naparstków Ewki, która z serwisu korzysta od 1,5 roku.

Wielu czytelników czasopisma „Odkrywca" prezentuje w MyViMu swoje kolekcje, które cieszą się niemałym zainteresowaniem. Militaria stanowią dużą część eksponatów umieszczonych na portalu i mają wielu entuzjastów, ale jest jeszcze dużo innych, równie ciekawych przedmiotów. Pocztówki, naparstki, gliniane gwizdki, dzieła sztuki, a nawet papierki po przedwojennych cukierkach – wśród eksponatów panuje duża różnorodność.

Dla prac naukowych i... rodzinnych zagadek

Jednak MyViMu to nie tylko kolekcjonerzy. To również pasjonaci szukający ciekawostek, osoby zgłębiające tajniki konkretnej tematyki, dla których zbiory prywatnych kolekcjonerów to często ogromna kopalnia wiedzy. Każdy odnalezio-

ny czy kupiony „fant" to fragment układanki, historii tworzonej przez nas wszystkich. Jesteśmy dumni za każdym razem, gdy okazuje się, że dzięki MyViMu ktoś rozwikłał zagadkową historię rodzinną albo uzupełnił swoją pracę naukową o nowe, intrygujące fakty. Jak powiedział jeden z naszych Użytkowników, Kustosz Muzeum Tomatorum: *„Możliwość publicznego zaprezentowania swoich zbiorów stała się dodatkowym bodźcem do ich rozwijania. Teraz to już nie tylko żyłka zbieracza amatora. To także chęć pokazania czegoś ciekawego i, co tu dużo mówić, chęć zaistnienia w świecie kolekcjonerów. Zdaję sobie sprawę, że moje amatorskie zbiory w porównaniu ze zbiorami profesjonalnych zbieraczy są skromne, ale pomimo tego mam wiele satysfakcji z tego powodu, że dzięki MyViMu zostały one dostrzeżone i docenione".*

Serwis zmieniał się na przestrzeni lat, odświeżyliśmy logo i wygląd strony. Wciąż się rozwijamy a razem z nami prawie 9000 kolekcjonerów i ponad 150 tysięcy eksponatów. Korzystanie z MyViMu zawsze było i jest darmowe. Chcemy, aby każdy pasjonat mógł rozwijać razem z nami swoją kolekcję bez obaw o koszty. Choć w niedalekiej przyszłości planujemy wprowadzić m.in. odpłatne konta PRO z dodatkowymi opcjami, konta podstawowe nadal nie będą wymagały opłat. Obecnie pracujemy również nad nową formą wirtualnych wystaw, która pozwala na tematyczne grupowanie eksponatów i ich atrakcyjną prezentację.

Zdaniem profesjonalisty

Kustosz Muzeum w Pieskowej Skale (Oddział Muzeum Narodowego w Krakowie), Pan Olgierd Mikołajski, napisał w mailu do jednego z naszych Użytkowników (cytowanego wyżej Tomatora):

„Kolekcjonerstwo wszelkiej maści jest pasją bezcenną dla samego zbieracza, poszerza jego horyzonty, daje możliwość snucia różnych rozważań i refleksji, pozwala poczuć się odkrywcą i oderwać choć na chwilę od codzienności. Pasja kolekcjonerów ma też duże znaczenie dla profesjonalistów. (...) Zalążkiem niemal każdego muzeum są zbiory przekazane przez kolekcjonerów".

Ze swojej strony zachęcamy do pokazywania swoich zbiorów na MyViMu.com – niech nasza wiedza i trud nie giną w czeluściach szuflad. Bądźmy dumni z naszej wyjątkowej pasji!

Klaudia Mróz
Łącząc zamiłowania do tradycji i nowych technologii, od 3 lat czuwa nad rozwojem serwisu myvimu.com.

REKLAMA

PIOTR NIKOŁAJEWICZ PALIJ,
ZAPISKI OFICERA Z NIEWOLI

Wspomnienia majora Piotra Nikołajewicza Palija mają w sobie ten specyficzny klimat, który porywa nas w Sołżenicynie czy Herlingu-Grudzińskim. Czytelnik zagłębia się wraz z Palijem w meandry życia obozowego i obserwuje walkę o przetrwanie niemal trzymając autora za rękę. Tak sugestywny bowiem jest język Palija. [...]

Przede wszystkim jest to jednak książka rozliczeniowa ze zbrodniczym systemem Stalina. Autor, podobnie jak każdy oficer radziecki wzięty do niewoli, staje przed tragicznym dylematem: wracać po wojnie do Rosji i tam trafić do łagru lub dać się zabić w wyniku procesu o zdradę (bo przecież żołnierz radziecki się nie poddaje) czy też wybrać armię Własowa i walczyć z Rosją Stalina u boku Hitlera. [...]

empik
bonito.pl
II WOJNA ŚWIATOWA www.sww.w.szu.pl
książka z plusem
HISTORIA .ORG.PL
ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA
TVP HISTORIA
konflikty.pl portal historyczno - militarny
MILITARIA

WOJNA OD STRONY KUCHNI
CZ. 8

RACJE ŻYWNOŚCIOWE WEHRMACHTU

DZISIAJ JEMY ŻÓŁWIA!

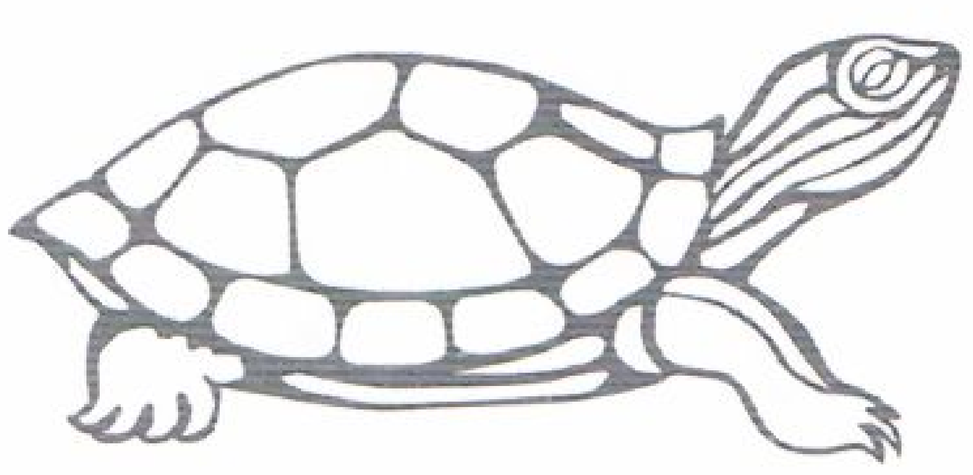

TOMASZ BIENEK

Czas podjąć temat wojennego jadłospisu, a zatem konserw oraz racji żywnościowych tudzież posiłków wydawanych przez kuchnie polowe. Zaczynamy od armii, która najbardziej zaśmieciła polskie pobojowiska rozmaitymi puszkami, czyli Wehrmachtu.

Temat niemieckich racji żywnościowych z okresu II wojny światowej jest tak skomplikowany jak cała struktura tejże armii. Zmieniająca się koniunktura lat 1939-1945, rozmaite fronty, na których przyszło walczyć niemieckim żołnierzom, wreszcie mnogość paramilitarnych organizacji i chaos w ich zaopatrywaniu – tworzą skomplikowany świat, który być może kolekcjonerom z krajów dawnego bloku wschodniego, pamiętającym „kartki" i „pewexy" jest nieco łatwiejszy do zrozumienia niż zbieraczom z USA czy Kanady.

O ile to, co z codzienną i żelazną konsekwencją otrzymywał do jedzenia każdego dnia żołnierz aliancki było typowo „fastfoodowym" i nieźle przemyślanym zestawem, o tyle jego niemiecki lub włoski przeciwnik na froncie mógł liczyć już raczej na łut szczęścia. Jeśli transport działał sprawnie – wojsko miało co jeść. Były to posiłki pozwalające nie tylko na zachowanie pełni sił, ale także dobrego animuszu. Częściej jednak, zwłaszcza na froncie wschodnim, żołnierze „z musu" rekwirowali żywność i tak już ubogim chłopom z nielicznych wsi lub polowali na zwierzęta. Gordon Rottman, autor znanej publikacji o niemieckim sprzęcie z czasów II wojny pisze wprost: *„Racje polowe (...) były raczej spartańskie w porównaniu z amerykańskimi czy brytyjskimi odpowiednikami".* Jest to jednak typowe dla amerykańskich kolekcjonerów ujęcie tematu.

Choć katastrofalna w każdym calu aprowizacja Wehrmachtu w Związku Radzieckim zaważyła na wyniku niejednej bitwy, aliancka ocena zawartości niemieckich konserw nie powinna być aż tak druzgocąca. Podobno ich smak cenili Amerykanie; czyżby znudzenie „fastfoodowymi" posiłkami? Nam, dzisiejszym poszukiwaczom sprzętu z lat II wojny światowej, trudno dywagować o smaku, jakości czy wartościach odżywczych tamtych posiłków, oddajmy więc głos weteranowi, Polakowi, oficerowi służby medycznej Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, chirurgowi Eugeniuszowi Mierczyńskiemu. Doktor Mierczyński, pełniąc służbę na tyłach, w przerwach między walkami, miał okazję przypatrywać się służbom zaopatrzeniowym oraz aprowizacji walczących oddziałów, czemu daje wyraz w swojej książce, opisując wypadki z pustyni:

„Nasi zdobyli na Niemcach masę sprzętu i zaopatrzenia.

Nie mogliśmy się nadziwić, jak bogato są wyekwipowani żołnierze Afrika-Korps, podczas gdy my wciąż fasowaliśmy konserwy mięsne (corned-beef), które nigdy nam Polakom nie smakowały. Niemcy mieli różne konserwy jarzynowe, między innymi kapustę kwaszoną w dużych blaszanych puszkach. Po otwarciu puszki pachniała świeżością i bardzo nam smakowała. Każdy żołnierz niemiecki dostawał także czekoladki w okrągłych pudełeczkach, poukładane z trójkątów. (...) Prócz tych specjałów całe beczki francuskiego koniaku i win francuskich".

Być może to jednak gatunkowa bliskość kuchni polskiej i niemieckiej zaważyła na ocenie dr Mierczyńskiego. Dla równowagi podać można scenę z rewelacyjnego włoskiego filmu wojennego w reżyserii Enzo Monteleone (polski tytuł: „El Alamein – na linii ognia"), w której wygłodniali włoscy żołnierze czekają zapadnięcia zmroku, by podczołgać się do brytyjskiej ciężarówki z zaopatrzeniem, która wcześniej wjechała na minę. Starzy weterani zabierają ze sobą przysłanego świeżo z Włoch, idealistycznie nastawionego „żółtodzioba", oznajmiając mu wprost: „idziemy na zakupy". Potem siedząc wspólnie przy wraku, wychwalają różnorodność i walory smakowe brytyjskich konserw, nie tylko mięsnych, ale i owocowych, a także zawierających inne przetwory.

Standardowe niemieckie konserwy – oprócz posiłków z „armaty gulaszowej", jak w Wehrmachcie nazywano kuchnię polową – stanowiły jeden z filarów wyżywienia niemieckiego żołnierza od samego początku wojny. To właśnie te puszki, z reguły sygnowane normą DIN znajdujemy na pobojowiskach. Chyba jedynym większym uprzykrzeniem dla poszukiwaczy są resztki tubek po serze topionym, >>>

1

1 Deska ze skrzynki po norweskich konserwach dla niemieckiej armii. Co ciekawe, firma pod tym szyldem istnieje do dzisiaj.

2

2 Dająca „kopa" czekolada z domieszką kofeiny była hitem po obu stronach frontu. Produkowana dla Wehrmachtu już przed wojną, dziś jest kultowym przedmiotem z wyposażenia tej armii.

3

3 Klasyczne konserwy stalowe, sygnowane z reguły „DIN-Packung" oraz odpowiednim numerem, oprócz mięsa mogły zawierać też ser, konserwowane warzywa lub konserwowany chleb. Po wykopaniu przedstawiają zwykle opłakany stan.

4

5

4 Żywność była na froncie wschodnim cenniejsza niż amunicja. Tutaj: zdobyczna na Sowietach amerykańska „tuszonka".

5 Wszechobecne aluminiowe tubki po serze Tilsiter Bona, klasyka racji żywnościowych Wehrmachtu.

6

6 Portugalskie puszki po sardynkach – klasyka znalezisk na pobojowiskach i dowód masowego importu tego produktu do III Rzeszy.

fot. Tomasz Bienek (4)

7

8

9

7 Kolejna konserwa znaleziona na Półwyspie Helskim. Produkt z Norwegii, sygnowany Norvege – Norway i symbolem ryby.

8 Zdaniem wojskowego chirurga Eugeniusza Mierczyńskiego, dostarczane dla Wehrmachtu konserwy warzywne były rewelacyjne.

9 Puszka po sardynkach hiszpańskich, znaleziona w niemieckim okopie na tzw. Linii Gotów przez znanego we Włoszech poszukiwacza Roberto Licciardello.

>>> wydawanym niemieckim żołnierzom na każdej szerokości geograficznej, na której przyszło im walczyć. „Tilsiter Bona" i „Tilsiter Ada" o 20-procentowej zawartości tłuszczu, co można wciąż przeczytać na wykopywanych strzępach tubek, stały się nawet bohaterkami jednej z niemieckich kronik z okresu wojny. Na czarno-białej taśmie widać jak żołnierze jednostek górskich przenoszą całe skrzynie z równo poukładanymi tubkami serów tej marki.

Wśród niemieckich konserw sprzed 1945 roku panował podobny podział jak w dzisiejszych produktach spożywczych – puszki konserw rybnych wykonywano raczej z aluminium i miały z reguły owalny kształt; mięso pakowano w cylindryczne opakowania stalowe. Jednak – jak wiedzą ci, którzy zajmują się niemieckim sprzętem z tamtego okresu – w tamtej armii nic nie mogło być regułą. Wiarę w jakiekolwiek przepisy, które rzekomo mogły rządzić aprowizacją niemieckiego żołnierza, wydaje się podzielać wspomniany już Gordon L. Rottman: *„Racje dzielono na cztery podstawowe kategorie: jedyna, odpowiednia, by wspomnieć o niej, to »prowiant I« (Verpflegungssatz I) wydawany żołnierzom w strefie działań bojowych. Składał się ze świeżej, suszonej, puszkowanej lub innej konserwowanej żywności, przygotowywanej przez kuchnie polowe, często w postaci gulaszu lub zup, obficie uzupełnianych chlebem czy ziemniakami. W Afryce Północnej, aby zapobiec marnotrawstwu żywności, chleb zastąpiono Zwiebackiem, ziemniaki – suszoną fasolą, a tłuszcz i masło do smażenia – olejem z oliwek".*

Wydaje się, że autor publikacji zapomina dodać, iż produkty jak suszona fasola i oliwa z oliwek pochodziły z magazynów armii włoskiej, gdzie zaopatrywali się walczący w Afryce Niemcy. Nie chcąc nic ujmować skądinąd niezłym publikacjom, oddajmy znów głos weteranowi – tym razem skierowanemu na front wschodni żołnierzowi Wehrmachtu, Guyowi Sayerowi. Pochodzący z francusko-niemieckiej rodziny ochotnik trafił, co ciekawe, do wojsk transportowych, i nie raz opisuje kwestie aprowizacyjne. Tak to przedstawia on – bardzo pozytywny jego zdaniem – pobyt w Mińsku roku 1942, z lubością opisując punkty gastronomiczne, w których żywili się niemieccy żołnierze:

„Stały tam wielkie, pomalowane na rozmaite barwy, kamionkowe naczynia wypełnione płynem, w którym pływały różne rośliny, a także różnorodnymi suszonymi warzywami. Inne naczynia zawierały substancję podobną do melasy – coś pomiędzy konfiturą a masłem. (...) Często proponowano nam wymieszaną z tą melasą delikatną mąkę żółtawej barwy. Nie było to złe i przypominało, oczywiście z grubsza, smak miodu. Jedyne, co wzbudzało obrzydzenie, to nadmiar tłuszczu. (...) Halls akceptował wszystko, co Rosjanie z taką uprzejmością mu oferowali. Czasami budziło to moje obrzydzenie. Podsuwał menażkę tym sowieckim sklepikarzom, którzy z szyderczą miną napełniali ją najprzeróżniejszą kapiącą, lejącą się masą. W jego naczyniu wymieszane były gotowane ziarna zboża, kawałki solonych śledzi i różne inne rzeczy".

Podkreślam, pomimo iż nie mam zamiaru wdawać się w polemiki z zachodnimi autorami, których cenię, wydawać się jednak może, że szczegółowe wyliczanie zawartości amerykańskich racji

10

11

fot. Tomasz Bienek (6)

10 Standardowa porcja margaryny dla żołnierza Wehrmachtu. Ze zrozumiałych powodów jest to dobrej jakości kopia.

11 Od lewej model produkowany przez Norwegów jeszcze na rynek komercyjny, z angielskim hasłem „Aluminium container improves quality", oraz dwa kolejne modele, produkowane już dla Niemców w okupowanej Norwegii.

K czy C, i zestawianie tego do tzw. „niemieckich odpowiedników" po prostu nijak się ma do rzeczywistości.

Można bowiem przyjąć, że w latach wojny to, co żołnierz niemiecki otrzymywał do jedzenia, zależało od miejsca, czasu i sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie bez przesady można stwierdzić, iż każdy europejski produkt spożywczy, nieważne – wojskowy czy cywilny, produkcji niemieckiej czy z kraju sojuszniczego, okupowanego, wrogiego czy neutralnego – mógł na równi trafić – i trafiał, do hitlerowskiej menażki. Po rozdęciu do niebywałych rozmiarów zarówno armii oraz SS, jak i towarzyszących im pomocniczych struktur, także opartych o polową aprowizację, masowe rekwizycje żywności już nie wystarczały – i braki jedzenia trzeba było łatać importem. Każdy chyba poszukiwacz zna małe, stalowe, lakierowane na czerwono konserwy po sardynkach. Znajdowane są od Wału Atlantyckiego po przedpola Stalingradu. To produkt portugalski, ale równie często importowano konserwy rybne z Hiszpanii. Aluminiowe, prostokątne puszki po sardynkach norweskiej produkcji – są w niemieckich okopach tak popularne, iż z reguły uznawane są za niemieckie.

Nie jest to konserwa w naszym rozumieniu tego słowa, aluminiowe pojemniki na gotowane jajka stanowiły w Wehrmachcie uzupełnienie racji żywnościowych.

O różnorodności, a jednocześnie przypadkowości otrzymywanych produktów spożywczych wspomina przywołany już wcześniej weteran Guy Sayer:

„W magazynie mieszczącym się w dość pokaźnym budynku dwa pierwsze plutony naszej kompanii kończą właśnie pobieranie zaopatrzenia. Chłopaki wychodzą, obładowani najprzeróżniejszymi produktami żywnościowymi, kocami, skarpetami itd. Ja dostaję cztery puszki delikatesowych sardynek francuskich, dwie duże kiełbasy warzywne w celofanie, paczkę sucharów witaminizowanych, dwie tabliczki szwajcarskiej czekolady, wędzoną słoninę i ze ćwierć kilograma cukru w kostkach".

Widać więc jak na dłoni, że żołnierz niemiecki otrzymywał do jedzenia to, co akurat mogło mu dać kwatermistrzostwo. Nijak się to miało do przewidzianych przez regulaminy zachodnich armii zawartości żywnościowych pakietów.

Nie należy też zapominać, iż poza piekłem frontu wschodniego, a także zaciętych, ale rozpoczętych pod koniec wojny walk na zachodzie Europy, setki tysięcy żołnierzy Wehrmachtu bytowały w bardzo spokojnych rejonach świata. Pomińmy może tak egzotyczne garnizony Wehrmachtu, jak baza morska Batawia na wyspie Jawa (dzisiejsza Dżakarta), gdzie zawijały U-Booty operujące na Pacyfiku, a ich załogi odpoczywały na lądzie – i wraz z niezbędnym niemieckim naziemnym personelem technicznym, skazane były automatycznie na poznanie tajników kuchni azjatyckiej. O wiele więcej niemieckich żołnierzy, marynarzy i lotników, zaznało kuchni polskiej. Genialny historyk, Tomasz Szarota w swej obszernej pracy, „Okupowanej Warszawy dzień powszedni", opisuje, jak przyjeżdżający do Warszawy żołnierze różnych formacji wroga, wiedząc od bardziej doświadczonych kolegów o czarnorynkowym procederze >>>

>>> w stolicy Generalnej Guberni, przywozili np. jedwabne pończochy, by wymieniać je za cukier lub wędzony boczek – towary na wagę złota w ich dalszej podróży, dla wielu w jedną stronę, czyli na Wschód.

Zabawny w pewnym sensie jest też fakt, iż to właśnie „handlowcy z Wehrmachtu" byli dla zamożnych warszawiaków jedyną szansą na nabycie luksusowych towarów konsumpcyjnych, niemożliwych do zakupu w siermiężnych okupacyjnych sklepach.

Zjawisko cyrkulacji „towarów z wyższej półki", wcześniej przez Wehrmacht zarekwirowanych, a potem pokątnie odsprzedawanych przez żołnierzy niemieckich tak opisuje Tomasz Szarota, przedstawiając realia czarnego rynku w stolicy:

„Bardzo poważnym uzupełnieniem masy towarowej tego rynku był napływ żywności z rynku legalnego oraz sprzedaż artykułów luksusowych przywożonych z krajów podbitej Europy przez wojsko niemieckie. Następne źródła towarów to środki spożywcze z miejscowej wytwórczości nielegalnej oraz towary przedostające się na czarny rynek z wojskowych transportów żywności, odkupowanych od skorumpowanego Wehrmachtu. (...) Nasycenie czarnego rynku artykułami luksusowymi pochodzenia zagranicznego zawdzięczała Warszawa utrzymującym się tutaj wysokim cenom na nie oraz usytuowaniu miasta jako punktu etapowego wiodącego na i z frontu wschodniego. Typowymi produktami, sprzedawanymi przez żołnierzy niemieckich na warszawskich placach targowych były więc wina, koniaki, różne gatunki papierosów, konserwy, kosmetyki itp."

Dowód na degrengoladę w produkcji niemieckich konserw wojskowych, przebiegającą w myśl maksymy „tonący chwyta się brzytwy", stanowi odkrycie, z czego Niemcy produkowali konserwy dla Wehrmachtu, przynajmniej pod koniec wojny.

Wygląda na to, że dla gigantycznej armii puszkowano „wszystko, co się ruszało". Nawet żółwie. Wspomniany już wcześniej czarnorynkowy proceder w okupowanej Warszawie, doprowadził do masowej konsumpcji tych zwierząt w stolicy. Zacytujmy raz jeszcze Tomasza Szarotę:

„Stało się to w maju 1943 roku, gdy ludzie, zajmujący się odkupywaniem od niemieckich konwojentów części transportu »w ciemno«, kupili zawartość kilku wagonów. Po otworzeniu okazało się, że w środku znajdują się tysiące żółwi przeznaczonych – jak się zdaje, na konserwy dla wojska. Transport żółwi szedł z Bułgarii lub Grecji w kierunku Rzeszy. (...) Żółwie pojawiły się w całym mieście, handlowano nimi przez pewien czas na wszystkich placach targowych, sprzedawano je także w handlu ulicznym".

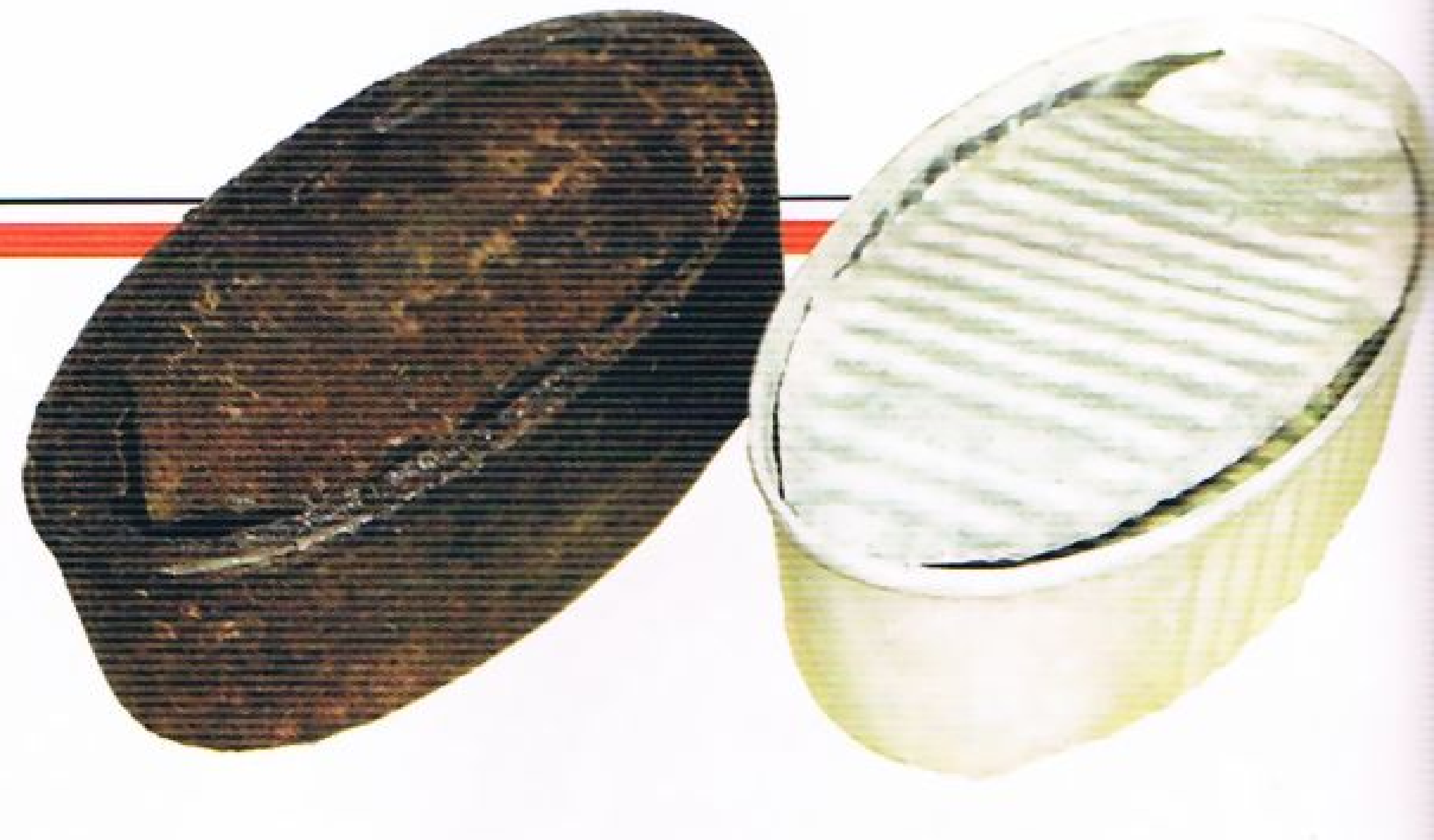

Klasyczna konserwa rybna armii niemieckiej. Z lewej wersja aluminiowa, obok oszczędnościowa wersja stalowa wykopana na Półwyspie Helskim.

Puszki mleka – z lewej, skondensowanego, wyprodukowanego specjalnie dla Wehrmachtu – sygnatury AL-DIN 252. Obok puszka mleka w proszku z okupowanej Holandii, datowana na 1943 rok.

fot. Tomasz Bienek (2)

W ten sposób po raz kolejny rzeczywistość codziennego dnia wojny wywołuje szok.

CDN. <

Tomasz Bienek
Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzy, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w „Odkrywcy". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

LITERATURA I ŹRÓDŁA:

TOMASZ SZAROTA **„Okupowanej Warszawy dzień powszedni"**
Czytelnik, Warszawa 1978

EUGENIUSZ MIERCZYŃSKI **„Wojenne wspomnienia chirurga"**
Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1983.

GUY SAJER **„Zapomniany żołnierz"**
Wydawnictwo L&L Gdańsk 2001

JIM POOL & THOMAS BOCK **„Rations of the German Wehrmacht in World War"**
II Shifer Military History 2010

JIM POOL **„Rations of the German Wehrmacht in World War II"**
Volume 2 Shifer Military History 2012

AUGUSTIN SAIZ **„Deutsche Soldaten"**
Vesper Poznań 2009

GORDON ROTTMAN RON VOLSTAD **„Niemiecki ekwipunek bojowy 1939-1945"**
Osprey Publishing Ltd. 1991

FILM: ENZO MONTELEONE **„El Alamein - La linea del fuoco"**
2002

Książek szukaj w Księgarniach Matras
lub na matras.pl

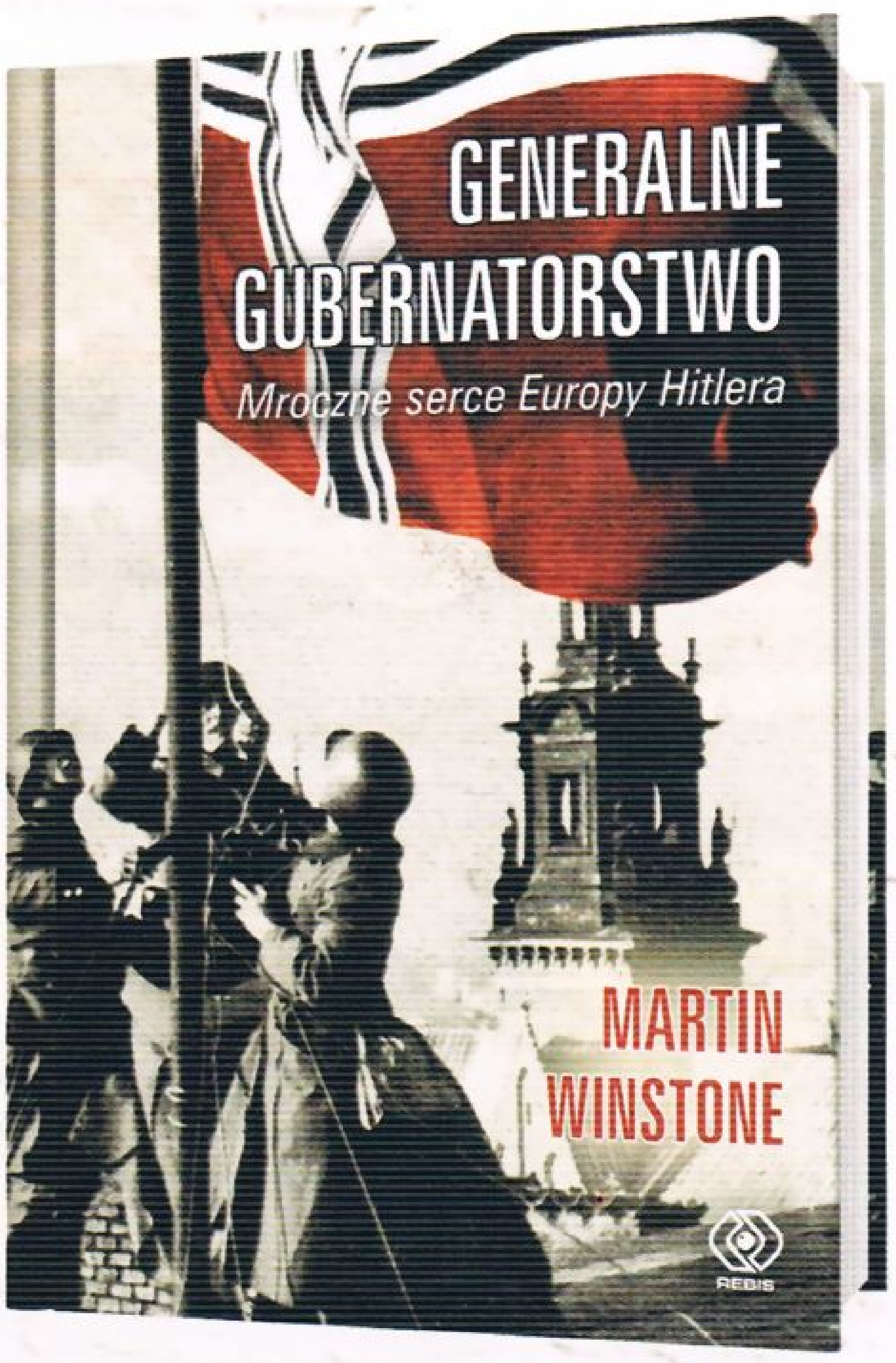

Pierwsza powstała poza granicami Polski i opracowana z takim rozmachem monografia na temat tragicznej historii Generalnego Gubernatorstwa.

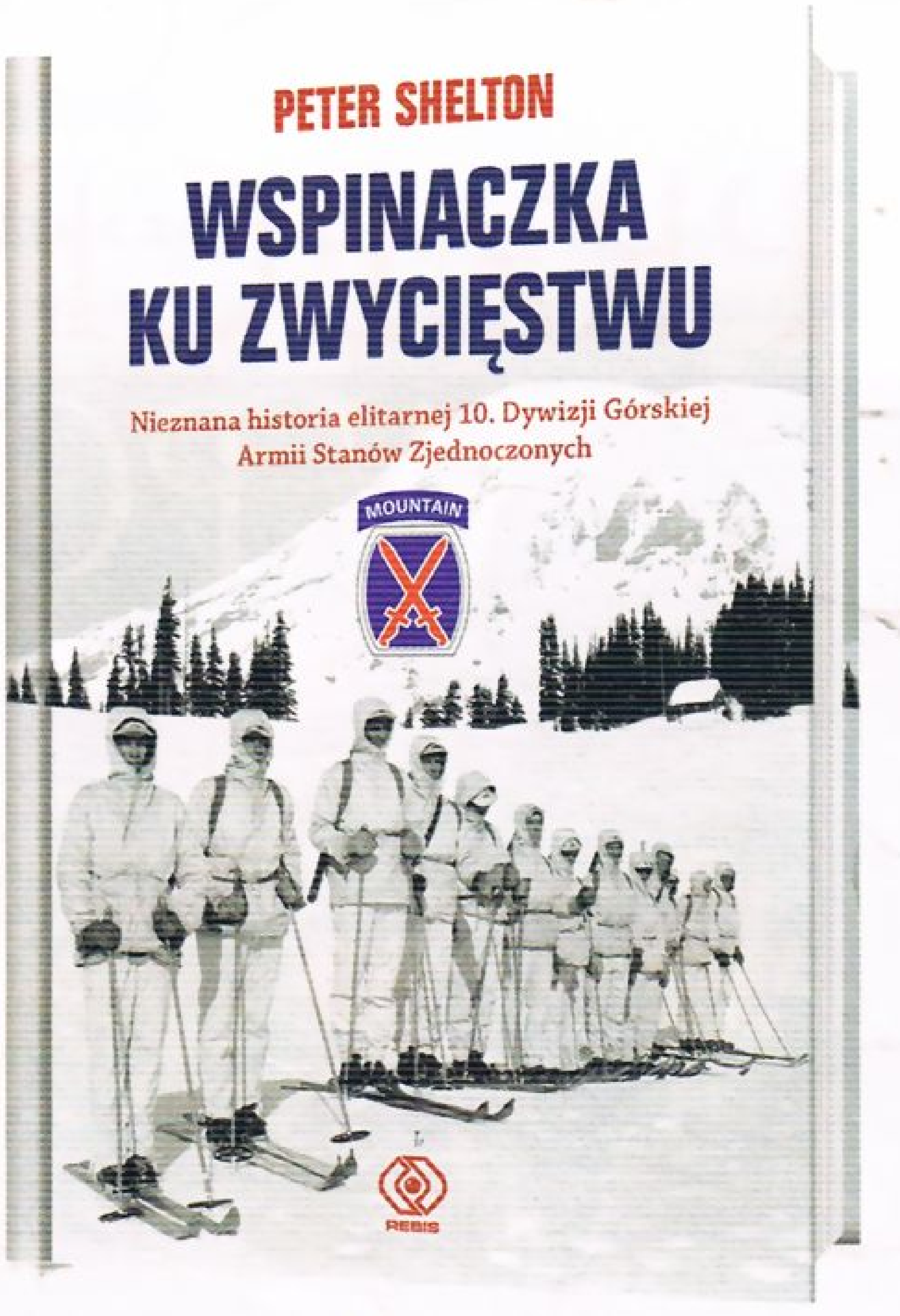

Świetnie napisana historia 10. Dywizji Górskiej Armii Stanów Zjednoczonych i ludzi, którzy ją tworzyli. Fascynująca lektura dla miłośników historii, alpinizmu i narciarstwa.

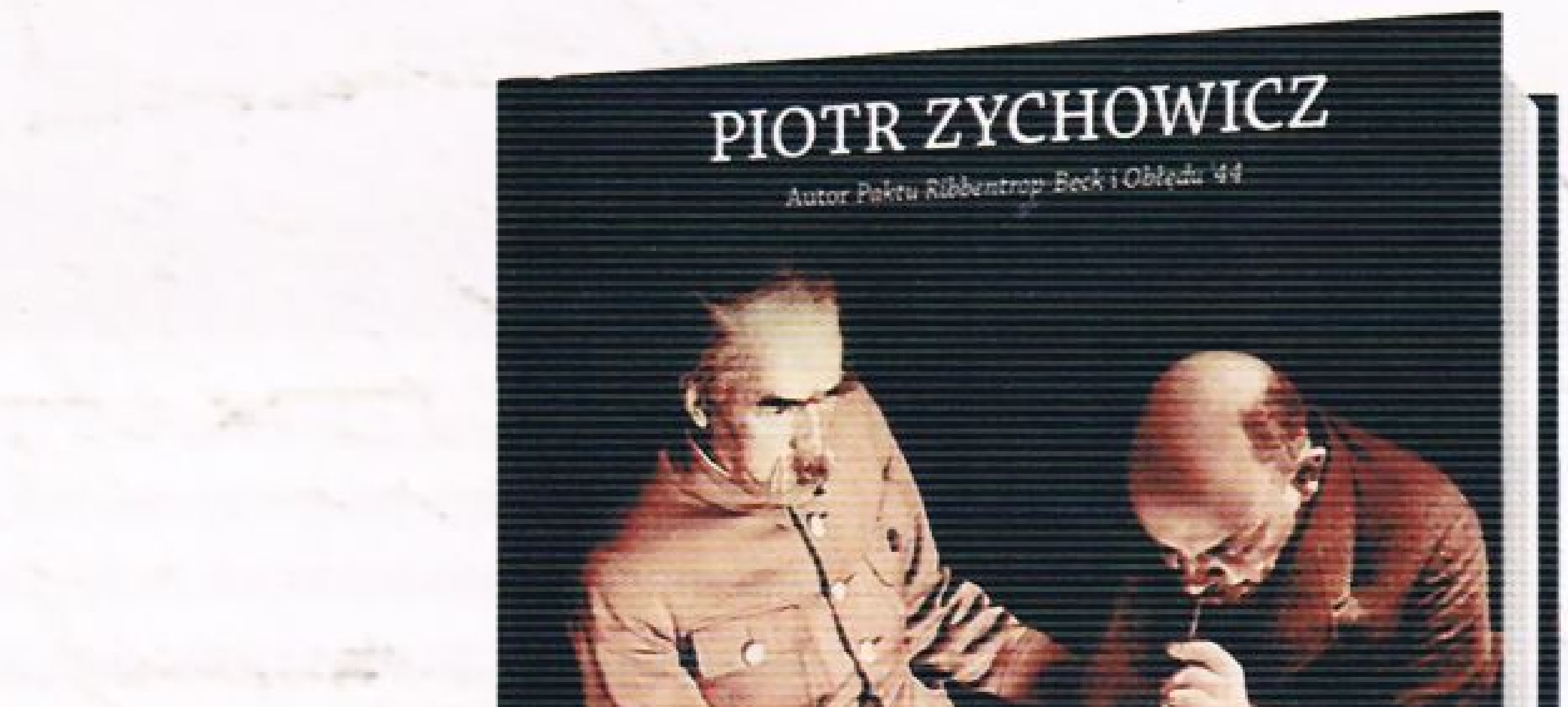

Czy Piłsudski mógł uratować świat przed bolszewizmem? Najnowsza kontrowersyjna książka Piotra Zychowicza, autora bestsellerów *Pakt Ribbentrop-Beck*, *Obłęd '44* oraz *Opcja niemiecka*.

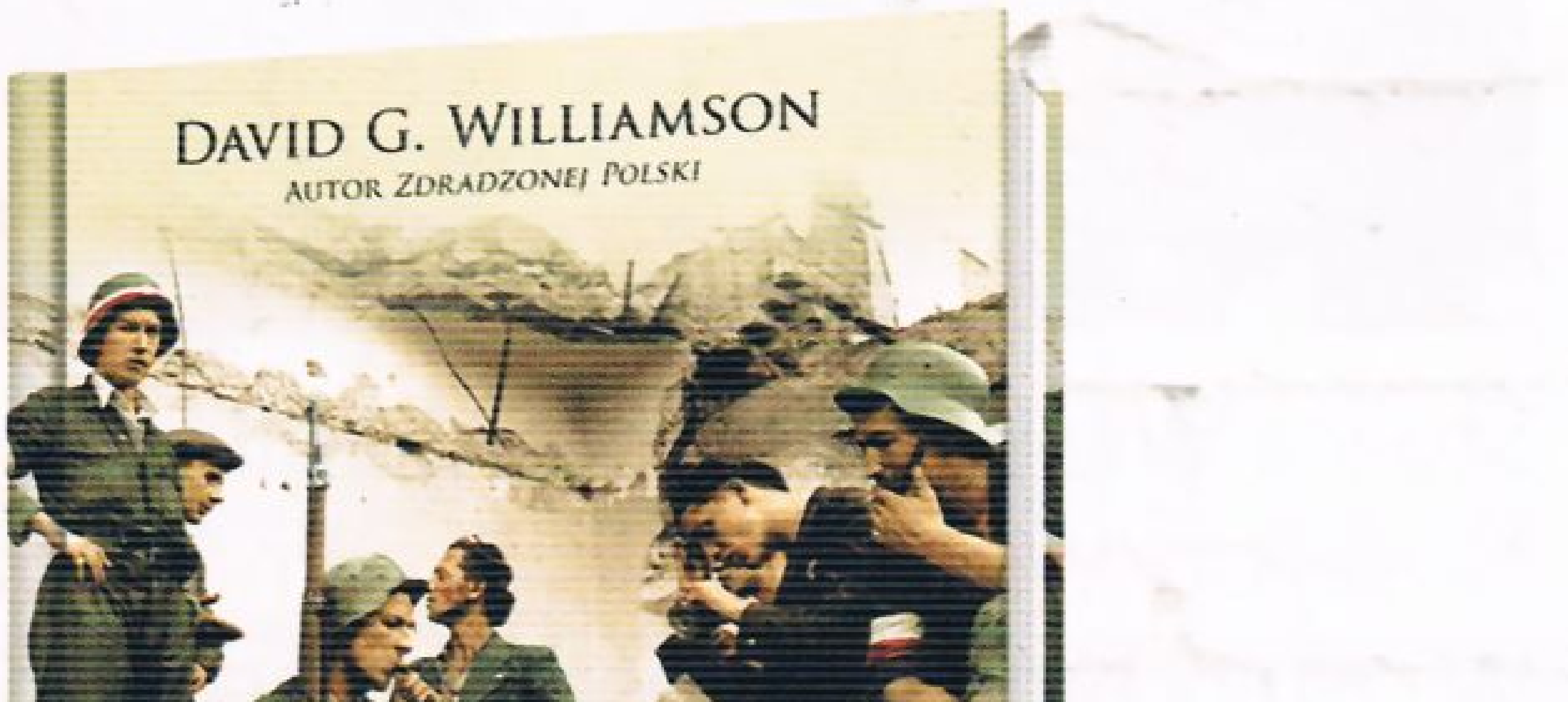

David G. Williamson, autor *Zdradzonej Polski*, dokonuje oceny działalności, roli i spuścizny polskiego ruchu oporu, prowadzącego walkę z nazistowskimi i radzieckimi siłami okupacyjnymi.

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. **www.rebis.com.pl**

SCHRONY PRZECIWLOTNICZE W POZNANIU

PRZEMYSŁAW MAĆKOWIAK

fot. Maciej Liniński

Stolica Wielkopolski podczas II wojny światowej doświadczyła licznych nalotów. W celu ochrony ludności cywilnej, konieczna okazała się rozbudowa obiektów temu służących.

Od czasów wynalezienia samolotu i wykorzystywania go do nalotów w trakcie pierwszej wojny światowej naturalnym problemem stała się ochrona wojska na linii frontu, a także przemysłu zbrojeniowego oraz linii komunikacyjnych. Wojskowi teoretycy szybko dostrzegli znaczący wpływ szerokiej opinii publicznej na decyzje rządu oraz kół wojskowych. Zauważono, że zastraszanie ludności cywilnej powodowało w konsekwencji uleganie presji agresora. Cel ten realizowano poprzez sprzeczne z konwencjami międzynarodowymi naloty na obiekty cywilne, przede wszystkim centra dużych miast. Wymusiło to z jednej strony udoskonalenie aktywnych form obrony, takich jak artyleria przeciwlotnicza czy też nowe konstrukcje samolotów myśliwskich, szkolenie służb cywilnych w gaszeniu pożarów, udzielania pierwszej pomocy, z drugiej strony działań pasywnych, takich jak budowa specjalnych schronów lub adaptacji na nie piwnic domów.

Oprowadzanie po poznańskiej twierdzy organizowane od czternastu lat przez Towarzystwo Miłośników Miasta Lubonia odbywa się w historycznych mundurach, co w ogromnym stopniu uatrakcyjnia przekaz.

Gen. Władysław Sikorski, pisząc w 1934 roku o przyszłej wojnie, uznał, że w celu ochrony ludności cywilnej zadowolić się będzie trzeba budową zbiorowych schronów według typu ustalonego przez międzynarodową komisję ekspertów Czerwonego Krzyża, ażeby osłonić przynajmniej jej część przed pociskami burzącymi, zapalającymi i gazowymi. Miały w pierwszym rzędzie być potrzebne dla zapewnienia sprawnego funkcjonowania terytorialnej obrony przeciwlotniczej. Bez nich nie mogły się obyć także większe dworce oraz fabryki pracujące dla obrony kraju.

Instrukcje: jak zachować się podczas nalotów

W Niemczech konieczność opracowania zasad dotyczących ochrony zasobów ludzkich oraz materiałowych przed nalotami na obiekty cywilne pojawiła się już podczas I wojny światowej. Pierwsze trzy naloty bombowe na terytorium drugiej Rzeszy alianci przeprowadzili w dniach od 4 do 13 grudnia 1914 roku na Freiburg im Breisgau. Zginęły w nich dwie osoby cywilne a szesnaście zostało rannych. W zaskoczonym niemieckim Naczelnym Dowództwie uświadomiono sobie rangę grożącego niebezpieczeństwa. Przede wszystkim zorganizowano wtedy sieć punktów obserwacyjnych ostrzegających mieszkańców w ciągu kilku minut w przypadku pojawienia się samolotów wroga. Wkrótce Ministerstwo Wojny uznało środki te za niewystarczające, jednak nie miało to znaczącego wpływu na ich udoskonalenie, ze względu na pogarszającą się sytuację na frontach. Dopiero w okresie Republiki Weimarskiej zasady obrony granic powietrznych zostały skodyfikowane przez Ministerstwo Reichswehry w postaci odrębnych dokumentów. Pierwszym zarządzeniem była „Obrona przeciwlotnicza Rzeszy" z 1923 roku, kolejnym „Wytyczne dotyczące organizacji obrony przeciwlotniczej Rzeszy" z jesieni 1925 roku. Władze wojskowe uznały także, że obrona przeciwlotnicza jest ważnym elementem ochrony terytorium, w tym przede wszystkim ludności cywilnej. 22 maja 1926 roku rozpoczęły starania o utworzenie odrębnego Departamentu Obrony Przeciwlotniczej przy Ministerstwie Reichswehry. Międzyaliancka Komisja Kontroli wyraziła na to zgodę 10 lutego 1927 roku. Odpowiednie instrukcje wykonawcze, określające zachowanie się w trakcie nalotów, zatwierdzono 24 października 1931 roku. Ich głównymi adresatami były w pierwszym rzędzie policja, władze komunalne, straż pożarna, pogotowie ratunkowe oraz służby techniczne.

96 tys. etatów w obronie przeciwlotniczej

W miejsce wielu stowarzyszeń zajmujących się obroną przeciwlotniczą, 29 kwietnia 1933 roku utworzono Ligę Obrony Przeciwlotniczej Rzeszy (Reichsluftschutzbund –RLB). Liczyła ona 1,9 miliona osób, w tym 96 tysięcy pracowników etatowych. Po dwóch latach funkcjonowania tej organizacji, korzystając z uzyskanych doświadczeń, Ministerstwo Lotnictwa zatwierdziło strukturę organizacyjną obrony przeciwlotniczej. Efektem było także uchwalenie Ustawy o obronie przeciwlotniczej, przedłożonej przez Ministra Lotnictwa na posiedzeniu rządu 26 czerwca 1935 roku, i wprowadzonej w życie 5 lipca. W pierwszym zarządzeniu wykonawczym wskazano zasadnicze cele, na których powinna skupić się działalność Ligi. Ukoronowaniem prac było przekształcenie organizacji, już po wybuchu drugiej wojny światowej, w dniu 1 kwietnia 1940 roku, w samodzielny organ władzy administracyjnej. Stało się tak po siedmiu latach od jej utworzenia, w wyniku wielu działań, zarówno formalnych, jak i nieformalnych, a także częściowego zmodyfikowania jej struktury organizacyjnej. Powszechne wprowadzenie opracowanych zasad obrony przeciwlotniczej na obszarze Niemiec nastąpiło w tym samym roku między innymi w efekcie pierwszego brytyjskiego nalotu w sierpniu na Berlin.

Pierwsze naloty na Poznań

W ramach podziału obszaru Niemiec przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej Rzeszy na 19 okręgów, Poznań zaliczono do drugiego okręgu – Kraju Warty (Reichsgau Wartheland). Jego siedziba znajdowała się przy Hamburgerstrasse 24 (obecnej ul. Niedziałkowskiego).

W początkowym okresie drugiej wojny światowej miasto było stosunkowo bezpieczne, jed- >>>

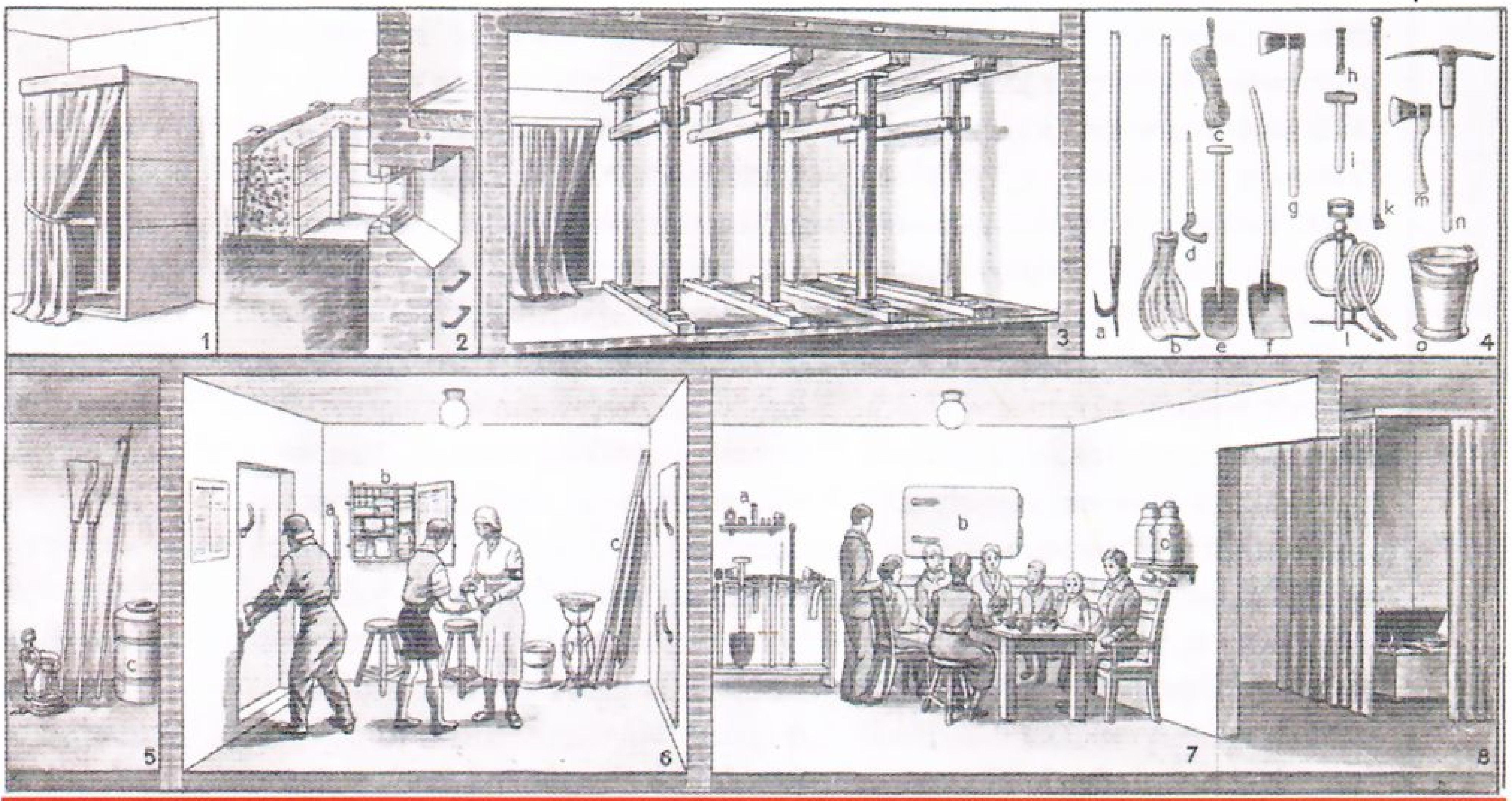

fot. Zbiory Przemysława Maćkowiaka.

WNĘTRZE WZORCOWEGO NIEMIECKIEGO SCHRONU PRZECIWLOTNICZEGO URZĄDZONEGO W PIWNICACH NA ILUSTRACJI ARCHIWALNEJ Z 1942 ROKU:

1 - sposób zabezpieczenia wejścia do śluzy gazowej; 2 – wyjście ewakuacyjne, 3 – wzmocnienie stropu budynku, 4 – niezbędne narzędzia: a – bosak, b – dławica, c – lina, d – piła, e – łopata, f – szufla, g – siekiera, h – przecinak, i – młotek, k – łom, l – hydronetka, m – toporek, n – kilof, o - wiadro; 5 – przedsionek przed śluzą gazową; 6 – śluza gazowa: a - rozpylacz ze środkiem odkażającym, b - apteczka domowa, c - nosze; 7 – pomieszczenie główne: a - latarki elektryczne, b - wyjście ewakuacyjne, c - zapas wody pitnej; 8 – aneks z przenośną toaletą.

wizualizacja: M. Jankowiak- Architech

fot. Przemysław Maćkowiak

1 Na stoku bojowym Bastionu IV (w obecnym parku Marcinkowskiego) powstały w 1944 roku trzy schrony przeciwlotnicze, na ilustracji rekonstrukcja jednego z nich.

2 Wnętrze jednego z segmentów schronu betonowego przeznaczonego dla chronionej ludności, pierwotnie wyposażonego w drewniane ławki. Fot. Przemysław Maćkowiak.

3 Białą farbą malowano wyraźne strzałki wskazujące na lokalizację schronu.

4 Schrony wyposażano w nowoczesne urządzenia, a ich produkcją zajmowały się specjalizowane zakłady. Na ilustracji z 1942 roku reklama firmy Feulusan posiadającej oddziały w Berlinie oraz Poznaniu.

>>> nak już 7 marca 1940 roku nad miastem pojawiły się pierwsze samoloty alianckie, które zrzuciły tylko ulotki. Natomiast pierwszego nalotu dokonał w nocy z 8 na 9 maja 1941 roku pojedynczy brytyjski samolot. Kolejne, tym razem o wiele silniejsze naloty przeprowadzono w Wielkanoc 7 kwietnia 1944 roku i w Zielone Świątki 29 maja. Ich celem były zakłady przemysłowe, jednak bomby spadły także na budynki mieszkalne i w sumie zginęły 123 osoby cywilne. Spowodowało to konieczność budowy schronów przeciwlotniczych (Luftschutzraum) chroniących przede wszystkim ludzi. Powstawały one na wszelkich wolnych przestrzeniach, skwerach, podwórzach oraz w parkach.

Schrony blisko dworca i w parku Marcinkowskiego

Pierwsze betonowe schrony zbudowano na planie regularnego dwunastoboku według wytycznych opracowanych we wrześniu 1943 roku. Szczególnie dużo tych niewielkich obiektów zrealizowano w rejonie poznańskiego dworca kolejowego. Innymi były prefabrykowane, walcowe, jednoosobowe schrony wartownicze (Einmannbunker) montowane w pobliżu obiektów o znaczeniu strategicznym, takich jak linie kolejowe, zakłady przemysłowe oraz mosty. Do tych celów wykorzystywano istniejące już budowle, a także piwnice domów wzmacniając w nich stropy oraz ściany.

Najliczniejszymi były jednak podziemne schrony powstałe po nalotach w 1944 roku, z których trzy znajdują się w parku Marcinkowskiego. Są one podobne do siebie i tworzą je dłuższe segmenty korytarza połączone krótkimi odcinkami prostopadłymi. Konstrukcja taka utrudniała ich zniszczenie przez pojedynczą bombę. Schrony były wyposażone w dwa wejścia oraz szyb wentylacyjno-ewakuacyjny. Do wnętrza prowadziły proste odcinki schodów, dalej znajdowały się przedsionki zamykane z obu stron drzwiami i pełniące funkcję śluz gazowych. Poszczególne segmenty schronu przeznaczone dla chroniącej się ludności były wyposażone w drewniane ławki i oddzielone od siebie drzwiami. Na końcach segmentów wydzielono drewnianymi ściankami aneksy na przenośne toalety oraz izby sanitarne. W schronach funkcjonowała wentylacja grawitacyjna.

Udostępnianie schronów

W dniach 2-3 maja 2015 roku miał miejsce VII Forteczny Weekend, w ramach którego odbyła się czternasta edycja Lubońskiego Rajdu Rowerowo-Pieszego Śladami Historii przygotowanego przez Towarzystwo Miłośników Miasta Lubonia przy współpracy z innymi organizacjami społecznymi oraz instytucjami. W pobliżu umocnień pojawili się rekonstruktorzy, przede wszystkim w mundurach oraz strojach z lat drugiej wojny światowej przybliżając klimat epoki. Przy współpracy z Fabryką Umundurowania Braci Kłoskowskich Hero Collection została przygotowana okazjonalna wystawa pokazująca przekrojowo uniformy stron walczących w drugiej wojnie światowej. Odbyły się również prelekcje związane z tematyką fortecznego dziedzictwa kulturowego. Można było posłuchać między innymi o poznańskim garnizonie sprzed Wielkiej Wojny oraz obejrzeć oryginalne pamiątki z tego czasu, a także materiały filmowe zrealizowane przez TVP Poznań. <

Przemysław Maćkowiak
Zainteresowania autora koncentrują się na architectura militaris, ze szczególnym uwzględnieniem XIX i XX wiecznych fortyfikacji, oraz historii militarnej lat 1815-1918, organizacji, umundurowania, taktyki i dziejów armii pruskiej

ZAGINIONY KONWÓJ DO RIESE...

Wątek skarbowy przy temacie „Olbrzyma" należał raczej do pobocznych, a opowieści o konwojach i ukrywanych skrzyniach można było traktować z przymrużeniem oka. Był jednak pewien trop, znacząco różniący się od pozostałych. Jego śladem podążyli dwaj autorzy, którzy wynik swojego śledztwa zamknęli w książce pt. „Zaginiony konwój do »Riese«". Z Bartoszem Rdułtowskim, wydawcą i autorem licznych książek o tajemnicach historii, oraz Łukaszem Orlickim, od wielu lat kierującym działem badań miesięcznika „Odkrywca" rozmawia Piotr Maszkowski.

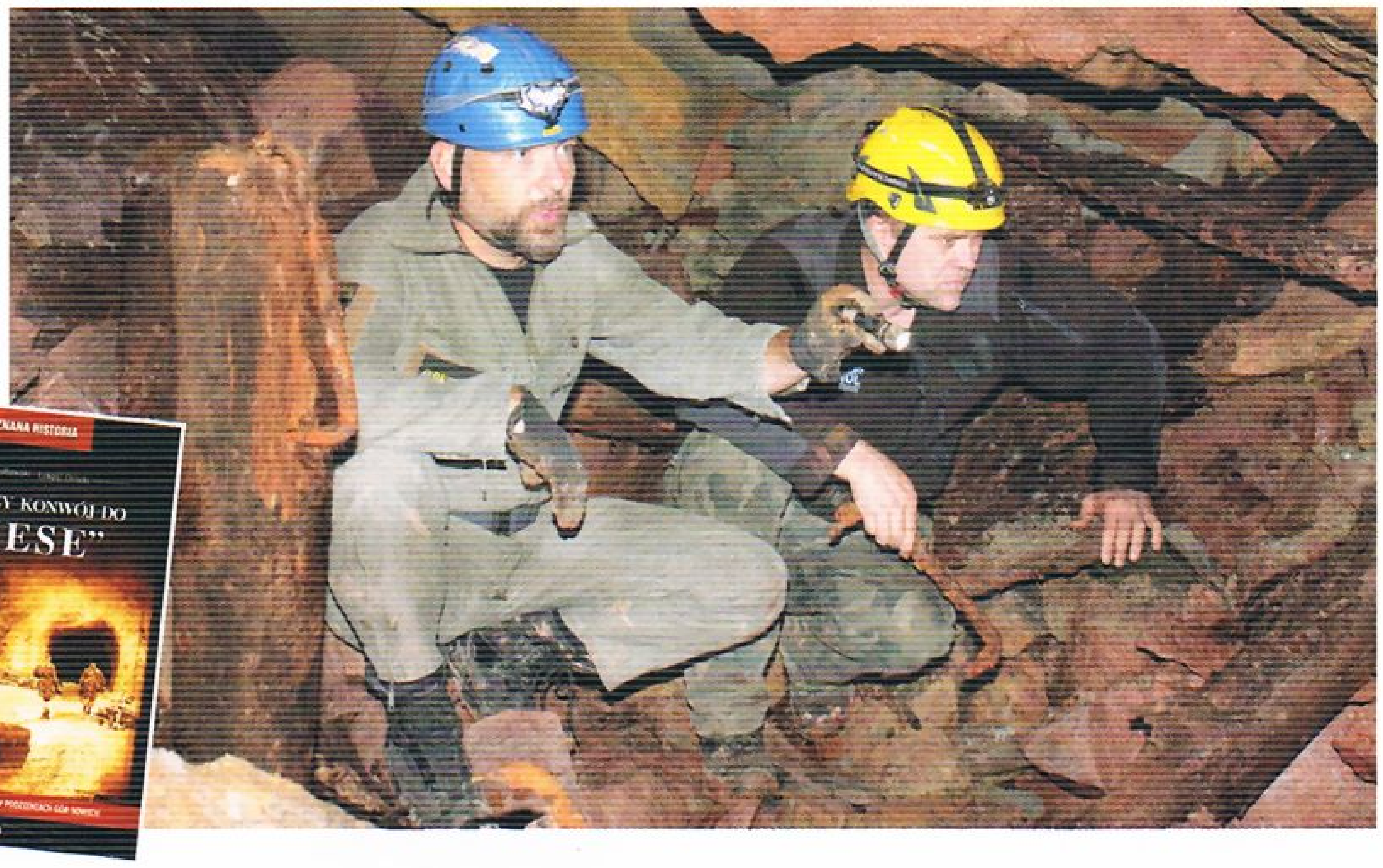

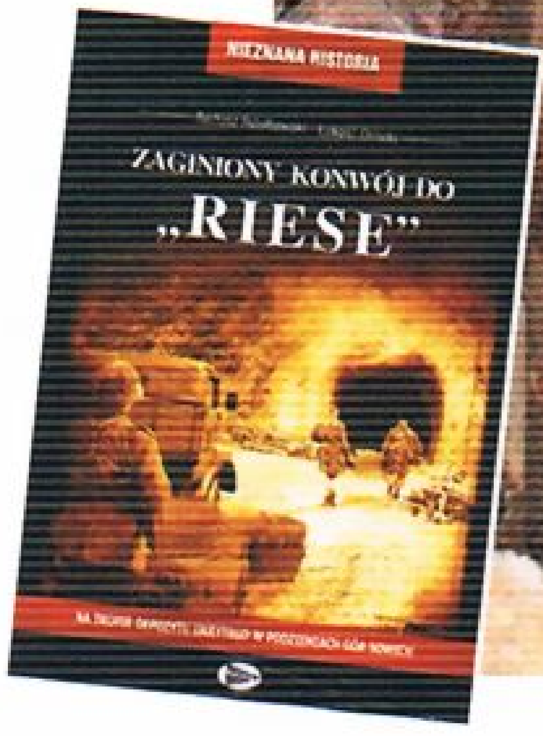

Czym wasza książka różni się od innych publikacji na temat „Riese" – w tym kilkunastu wydanych przez wydawnictwo Technol?

Bartosz Rdułtowski: „Zaginiony konwój do »Riese«" to bez wątpienia pierwsza publikacja związana z podziemiami Gór Sowich stanowiąca raport ze śledztwa. Jest to również pierwsza książka dotycząca „Riese", która w całości poświęcona jest zagadce niejako „skarbowej". Nie roztrząsamy takich kwestii, jak przeznaczenie projektu „Riese", nie szukamy też niemieckiej dokumentacji, choć w pewnym miejscu Łukasz wspomina o prowadzonej przez „Odkrywcę" kwerendzie archiwalnej dotyczącej poszczególnych kompleksów, która dała zaskakujące rezultaty. Tak naprawdę istotny był dla nas zasadniczo rejon Gontowej, gdzie w czasie wojny powstał jeden z sześciu znanych podziemnych kompleksów wchodzących w skład „Riese". Cel, jaki postawiliśmy przed sobą, okazał się niezwykle trudny. Podjęliśmy się bowiem próby zweryfikowania wiarygodności jednej z najciekawszych relacji o depozycie ukrytym w podziemiach Gór Sowich.

Co było punktem wyjścia dla waszych rozważań?

Bartosz Rdułtowski: Jej bezpośrednim źródłem były spisane przez dziennikarzy oraz przekazywane w formie ustnej wspomnienia Bohdana Grabowskiego. Postaci, jak się okazało w trakcie naszego dochodzenia, tyleż nietuzinkowej co zagadkowej! Urodzony na Wileńszczyźnie Bohdan Grabowski był członkiem AK, później podoficerem Wojska Polskiego, a w 1945 roku komendantem wojskowym w miejscowości obecnie znanej jako Świerki. Jak opowiadał, tuż po wojnie był organizatorem poszukiwań w podziemnym obiekcie na Gontowej ukrytego tam przez Niemców depozytu. O „skarbie" miał go poinformować niemiecki inżynier Moschner, który Grabowskiemu przedstawiał się jako kierownik prac na jednym z podziemnych obiektów na Gontowej. Gdy w 2007 roku zainteresowałem się historią Grabowskiego, pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że depozyt miał być ponoć ukryty w sztolni nr 3 na Gontowej. Jak wiadomo, do podziemi tych, mimo podejmowanych wysiłków, nie sposób było się dostać z powodu gigantycznego zawału, jaki blokował wejście.

Zawał został jednak pokonany. Czy ten fakt pozwolił wyjaśnić zagadkę ukrytego tam depozytu?

Łukasz Orlicki: Stanowił z pewnością milowy krok w tym kierunku. Pozwolił uzyskać dane, które pomogły nam ułożyć jeden z najważniejszych fragmentów układanki, jaką stało się nasze śledztwo. Górnicze prace zorganizowane przez właściciela Przedsiębiorstwa „Margo" i CRK „Harenda", pana Mariusza Czapiewskiego, umożliwiły odsłonięcie podziemi, które od lat 40. nie były dostępne. Oczywiście „Odkrywca" uczestniczył w nich od samego początku, od badań georadarowych poprzez nowatorskie w Górach Sowich głębokie 25-metrowe odwierty, wykorzystanie technologii skaningu laserowego, a skończywszy na częściowym finansowaniu ostatniego etapu górniczych prac.

Łukaszu, w latach 2008-2013 relacjonowałeś na naszych łamach przebieg wspomnianych prac górniczych. Czy w książce wątek ten został rozbudowany o niepublikowane dotąd kulisy tych działań?

>>>

>>> Łukasz Orlicki: Oczywiście. Z natury rzeczy książka różni się od bardziej zwięzłych treści, które pojawiają się w artykule. Dlatego też znane już czytelnikom „Odkrywcy" informacje dotyczące odkopywania sztolni na Gontowej mogłem uzupełnić o wiele niepublikowanych wcześniej szczegółów. A może lepiej powiedzieć: zrelacjonowałem je na nowo. Zgodnie z przyjętym przez nas założeniem, ówczesne badania starałem się opisać z własnego punktu widzenia – uczestnika tych wydarzeń. Chronologicznie ujęty obraz prac górniczych obfituje więc w różne wątki poboczne i epizody, czasem humorystyczne, a czasem dramatyczne. Szczególnie dotyczy to chwil związanych z penetracją sztolni i pracami w świeżo odkopanych partiach korytarzy, które należały do najbardziej niebezpiecznych i emocjonujących przygód związanych z tajemnicą sztolni nr 3.

Opis pokonywania kolejnych zawałów w sztolni nr 3 stanowi jednak tylko jeden z wielu elementów książki. Co wypełnia jej pozostałą część?

Łukasz Orlicki: Książka jest zapisem wielowątkowych i ciekawych poszukiwań. Odbyliśmy w niej daleką podróż, która zaczęła się w pewnym sensie od miejscowych legend i relacji, a następnie wiodła poprzez mozolnie studiowane grube tomy akt i dokumentów UB, niebezpieczne badania w podziemiach, ciekawe rozmowy ze świadkami, aby zakończyć się wnioskami zaskakującymi nawet dla nas samych.

Czy oznacza to, że udało się wam ustalić miejsce ukrycia depozytu? Czy jeden z takich konwojów faktycznie dotarł do sztolni na Gontowej?

Bartosz Rdułtowski: O ile mnie pamięć nie myli, to w książce gdzieś o tym wspomnieliśmy (śmiech). A poważniej mówiąc, mimo iż w Górach Sowich pojawiło się sporo różnego rodzaju relacji związanych z tajemniczymi transportami, to historia komendanta Grabowskiego jest odmienna. Nie chcę zdradzać tu Czytelnikowi sedna efektów naszego śledztwa. Powiem tylko, że w relacji komendanta Grabowskiego, ku mojemu zaskoczeniu, pasowało niemal wszystko. Zarówno relacje świadków, jak i to, co udało się nam odkryć w terenie i pod ziemią, potwierdziły jego słowa. Wszystko to sprawia, że historię o poszukiwaniu tuż po wojnie depozytu III Rzeszy w podziemiach Gontowej można uznać za zupełnie wyjątkową i niezwykłą.

Bartku, śledztwo w sprawie Gontowej i relacji Bohdana Grabowskiego rozpocząłeś jeszcze w 2007 roku. Kiedy połączyliście wasze siły?

Bartosz Rdułtowski: „Odkrywca" trafił na Gontową oficjalnie w 2008 roku, a przynajmniej wtedy prowadził swoje badania georadarowe. Przez następne lata zajmowaliśmy się tajemnicą sztolni nr 3 i historią komendanta Grabowskiego zupełnie oddzielnie. Aż do lipca 2013 roku, gdy zadzwoniłem do Łukasza z propozycją współpracy. Wtedy połączyliśmy nasze siły i zebrane przez nas informacje.

Jak wam się wspólnie pracowało?

Łukasz Orlicki: Przede wszystkim bardzo ciekawie. Choć różnimy się w podejściu do wielu spraw i mamy odmienne doświadczenia, to obydwaj pragniemy dotrzeć do prawdy. Bartek jest znawcą tematyki „Riese", autorem kilkunastu książek, w których bezlitośnie rozprawia się z mitami, m.in. dotyczącymi nigdy nie istniejącej niemieckiej broni, takiej jak V-7. Tym razem musiał się zmierzyć z historią typowo skarbową, gdzie trudno o wiarygodny dokument, gdzie stąpa się przez cały czas we mgle niewiarygodnych opowieści i niemożliwych do zweryfikowania relacji. Dla mnie z kolei tego typu historie stanowią, kolokwialnie mówiąc, „chleb powszedni", co z kolei sprawia, że łatwo popaść w rutynę i odrzucić szczegół, który wydaje się zupełnie niewiarygodny.

Bartosz Rdułtowski: Praca nad książką w dwójkę jest zupełnie inna niż w pojedynkę. Przede wszystkim chodzi o konieczność wzajemnego informowania się o kolejnych odkryciach oraz uzgadniania i planowania nowych poczynań. Z drugiej strony, w dwójkę ma się znacznie większe możliwości operacyjne. Myślę, że bardzo dobrze uzupełnialiśmy się z Łukaszem. Wątpię, aby oddzielnie udało się nam przeprowadzić tak wnikliwe śledztwo. Między innymi z tego też względu wśród literatury związanej ze skarbami III Rzeszy i z „Riese" nasza książka jest publikacją wyjątkową.

Kilku świadków zwiedzało zaraz po wojnie Gontową. Ich zdaniem podziemia te były gigantyczne, co sugeruje, że znacząca ich część jest wciąż nieznana. Czy jest to możliwe?

Bartosz Rdułtowski: Bardzo bym sobie tego życzył. Pewnie też dlatego z takim zapałem obaj z Łukaszem zajęliśmy się zagadką Gontowej. Tu relacje sugerujące, iż sztolnia nr 3 wiodła do podziemnego giganta, zdawały się szczególnie wiarygodne i rozpalały nasze nadzieje na nietuzinkowe odkrycie. Na coś wyjątkowego w powojennej historii badań podziemi Gór Sowich. Wystarczy wspomnieć, że od jednego ze świadków usłyszałem, iż podziemia na Gontowej, do których prowadzi zawalone wejście sztolni nr 3, to taki kolos, że kompleks Włodarz to przy nim pikuś! Inny świadek twierdził, że kiedy zaraz po wojnie zwiedzał te podziemia, ciągnęły się one na dwa kilometry! Jak łatwo się domyślić, w naszym śledztwie również i tę zagadkę chcieliśmy wyjaśnić. Poza ukrytym w podziemiach sztolni nr 3 depozytem, weryfikowaliśmy też relacje o zamaskowanych na Gontowej podziemiach, co nasze śledztwo czyniło dodatkowo elektryzującym, ale i trudnym.

A co zaskoczyło was najbardziej podczas pisania książki? Jakiego rodzaju przeżycia utkwiły wam w pamięci?

Łukasz Orlicki: Praca nad tą sprawą obfitowała w różnego rodzaju zaskakujące sytuacje. Bywało, że wiele z poruszanych przez nas wątków stawało się z czasem śledztwem w śledztwie. Jak choćby próba ustalenia losów dokumentacji jednego z zakładów przemysłowych w pobliżu Jedliny Zdroju, w których pracował niezwykle ważny dla naszej historii niemiecki inżynier. Innym przykładem takiego śledztwa w śledztwie była tajemnica dezercji całej strażnicy WOP-u w Świerkach wraz z dowódcą. W jej wyniku bezpośrednie sąsiedztwo Gontowej przez wiele jesiennych tygodni 1946 roku stało się rejonem pościgów, zasadzek i starć z użyciem broni maszynowej i granatów. To między innymi tego typu mroczne wydarzenia opisujemy w naszej książce. Myślę, że dla wszystkich wielbicieli Gór Sowich będzie to pasjonująca lektura.

Dziękuję za rozmowę. <

Lotnicy polscy w Bitwie o Anglię

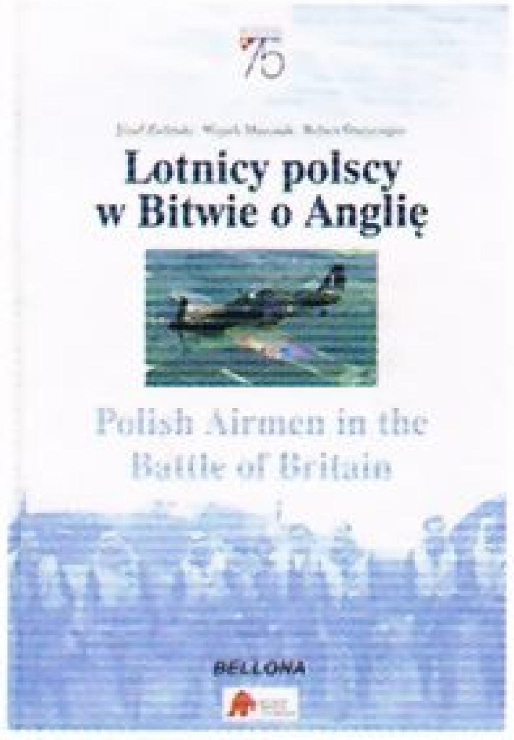

JÓZEF ZIELIŃSKI, WOJTEK MATUSIAK, ROBERT GRETZYNGIER
opr. twarda, str. 282, wyd. Bellona.
Cena: 64,70 zł.

Bitwa o Anglię – to całość intensywnych przygotowań obronnych oraz bezpośrednich walk lotnictwa brytyjskiego z hitlerowską Luftwaffe od 10 lipca do 31 października 1940 r. Działania Luftwaffe wynikały z dyrektywy nr 16, podpisanej 16 lipca 1940 r. przez Adolfa Hitlera, a szczegółowo sprecyzowane zostały w dyrektywie z 1 sierpnia 1940 r. Dzięki pracy Józefa Zielińskiego, Wojtka Matusiaka i Roberta Gretzyngiera możemy poznać biogramy tych polskich pilotów, którzy przyczynili się do odparcia niemieckiej inwazji na Wielką Brytanię. Wielu z nich nie doczekało końca wojny, polegli na polu chwały w akcjach bojowych Polskich Sił Powietrznych. Inni nie chcąc wracać do kraju rządzonego przez komunistów pozostali na emigracji, gdzie przez wiele lat razem ze swoimi kolegami z RAF kultywowali pamięć o tej największej powietrznej bitwie II wojny światowej.

Ślęża dla odkrywców

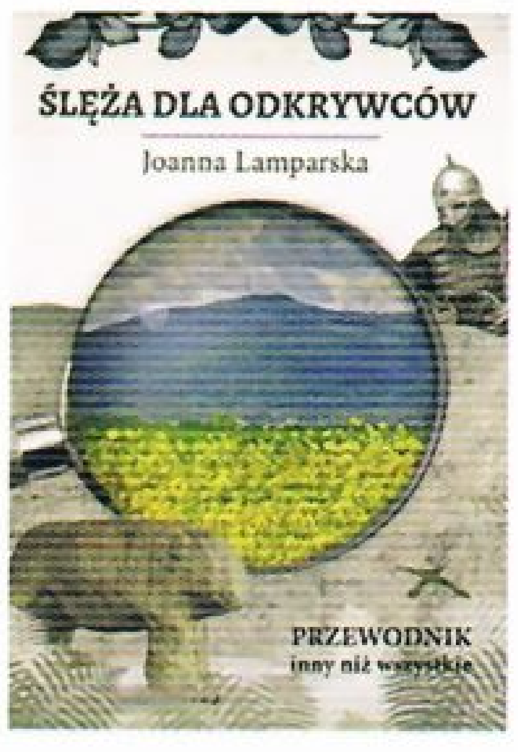

JOANNA LAMPARSKA
opr. miękka, str. 208, wyd. Asia-Press.
Cena: 30,90 zł.

Góra Ślęża wzbudza o wiele więcej emocji niż jakiekolwiek inne wzniesienie. Nawet na Dolnym Śląsku obfitującym w barwne opowieści i niebanalnych ludzi, trudno znaleźć podobne miejsce, gdzie spotykają się wszelkiej maści ekscentrycy i outsiderzy: eksploratorzy, poszukiwacze przygód, miłośnicy historii. Prezentowana książka pokazuje jak znaleźć najpiękniejsze zakątki w Masywie Ślęży. Stara się odpowiedzieć na pytania, czy w sztolniach tej góry złożono nazistowskie depozyty i dokąd wybrać się na magiczny spacer śladami ślężańskich tajemnic. Ta publikacja łączy nie tylko porady turystyczne, historie okolicznych wiosek i pałaców oraz zagadki przeszłości z reportażem, ale jest przede wszystkim przepustką do najbardziej niezwykłej krainy, jaką przyjdzie Wam zwiedzać. Wielką zaletą książki są także fotografie autorstwa Krzysztofa Góralskiego.

Wojna mocarstw Podlasie 1914-1915

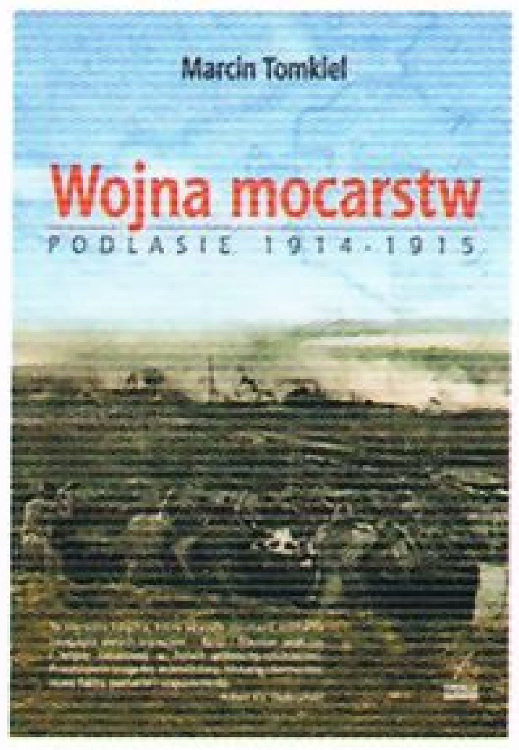

MARCIN TOMKIEL
opr. miękka, str. 160, wyd. Fundacja Sąsiedzi.
Cena: 29,80 zł.

Książka ta jest pierwszą, która ukazuje nieznane militarne zmagania dwóch imperiów – Rosji i Niemiec podczas I wojny światowej w Polsce północno-wschodniej. Opisuje tragedię uchodźstwa, historię sterowców, nowe fakty, postacie i wspomnienia. Publikacja stanowi swego rodzaju reportaż, zbiór – często nieznanych – pamiętników, relacji, dokumentów z tamtego okresu, obfitującego w katastrofalne w swoim rozmiarze zdarzenia, jakie dotknęły Podlasie 100 lat temu. Praca zawiera następujące rozdziały: Zwiastuny zagłady; Jeźdźcy Apokalipsy; Piękne, przerażające, zapomniane – historia sterowców na Podlasiu; Pościg; Ewakuacja, ucieczka i bieżeństwo w roku 1915 – niezabliźnione rany; Niemiecka okupacja na Podlasiu.

Kampania dahomejska 1892

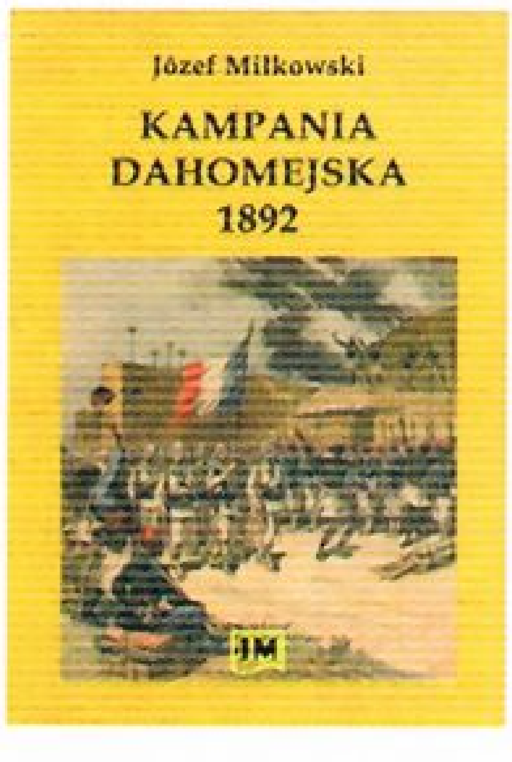

JÓZEF MIŁKOWSKI
opr. miękka, str. 137, wyd. JM. Cena: 31,40 zł

Barwne wspomnienia Polaka walczącego w szeregach Legii Cudzoziemskiej. Józef Miłkowski (1870-1920) był synem Zygmunta Miłkowskiego, polskiego pisarza i działacza niepodległościowego, znanego pod pseudonimem Teodor Tomasz Jeż. Wspomnienia dotyczą mało znanego epizodu francuskich podbojów kolonialnych w Afryce. Do oryginalnego tekstu dodano kilkadziesiąt ilustracji i kilka aneksów. Publikacja zawiera następujące rozdziały: Legion cudzoziemski we Francji; Amazonki króla Behanzyna; Głodno, gorąco i do domu daleko!; Wojna nie matka; Za przykładem Rostopczyna.

Wał Pomorski 1945
Uzbrojenie i wyposażenie walczących formacji

DANIEL JWAŃSKI, WOJCIECH OLEK, IGOR GÓREWICZ
opr. miękka, str. 112, wyd. Triglav. Cena: 39,90 zł.

„Wał Pomorski 1945. Uzbrojenie i wyposażenie walczących formacji" to kolorowe plansze ukazujące sylwetki żołnierzy Wojska Polskiego, Armii Czerwonej i formacji walczących III Rzeszy. Zaaranżowane sceny niejednokrotnie wzorowane są na oryginalnych fotografiach wojennych. Uzupełniono je dodatkowymi ujęciami mundurów, wyposażenia i broni, z dużą ilością szczegółów i zbliżeń. Setki zdjęć są efektem realizowanych na przestrzeni kilku lat sesji fotograficznych w studiu i plenerach. Prezentacje oparto na bogatych, niepublikowanych do dzisiaj zbiorach znanych w środowisku kolekcjonerów, uzupełnionych zasobami grup rekonstrukcyjnych oraz muzeów. Autorami opisów są pasjonaci tworzący Muzeum Wału Pomorskiego w Wałczu oraz znany odtwórca historyczny ze Szczecina. Obszernym wstępem książkę opatrzył wybitny ekspert w dziedzinie Wału Pomorskiego, dr Bogusław Perzyk.

Najtwardsi z twardych

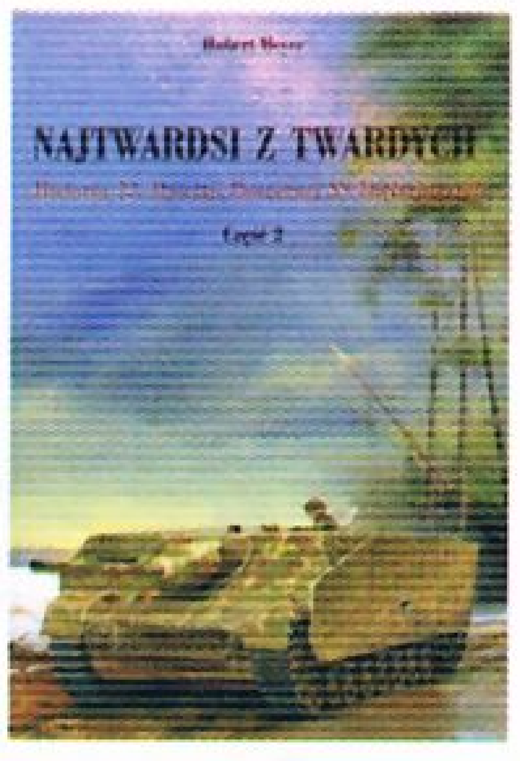

HUBERT MEYER
opr. miękka, str. 368, wyd. Oskar. Cena: 36,50 zł.

Prezentowana książka stanowi drugą część historii 12. Dywizji Pancernej SS Hitlerjugend – jest kontynuacją publikacji „Najwierniejsi z wiernych". Książka prezentuje historię eksperymentalnej niemieckiej jednostki pancernej. 12. Dywizja Pancerna SS Hitlerjugend została sformowana głównie z siedemnastoletnich członków nazistowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend, od której wzięła sobie nazwę. Omawiana jednostka walczyła w Normandii, gdzie w ciągu miesiąca walk straciła 60 % żołnierzy. Po upadku Caen znalazła się w kotle pod Falaise, gdzie jej zadaniem było utrzymanie drogi odwrotu dla wojsk niemieckich. Wykonując to zadanie, utraciła z kolei większość sprzętu. W prezentowanej części omówiono m.in. starcia 12. Dywizji z aliantami walczącymi w ramach operacji Goodwood, Totalize czy Tractable.

III Rzesza. Zbrodnia bez kary

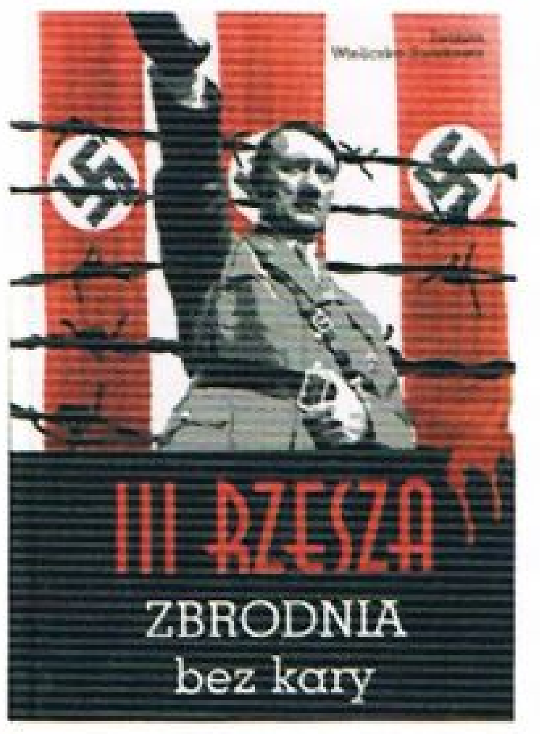

JOANNA WIELICZKA-SZARKOWA
opr. twarda, str. 526, wyd. AA. Cena: 47,20 zł.

Autorka sięga w tej książce do ideologicznych źródeł nazizmu, takich jak rasizm, eugenika, antysemityzm, religia germańska. Omawia historyczne okoliczności puczu monachijskiego oraz propagandowe i organizacyjne przygotowanie przejęcia władzy w 1933 r. Uważnie śledzi przebieg budowy systemu nazistowskiego w latach poprzedzających wybuch II wojny światowej, szczególną uwagę zwracając na konsekwentną realizację celów ideologicznych i strategicznych oraz na kluczowe wydarzenia jak pożar Reichstagu, noc długich noży czy Anschluss Austrii. Najwięcej miejsca w książce zajmują wydarzenia z lat II wojny światowej. Autorka obszernie relacjonuje kampanie wojenne Wehrmachtu oraz zbrodnie dokonywane na tyłach frontu. W końcowych rozdziałach omawia tygodnie agonii i ostateczny upadek III Rzeszy oraz kulisy Procesu Norymberskiego.

Kock 1939

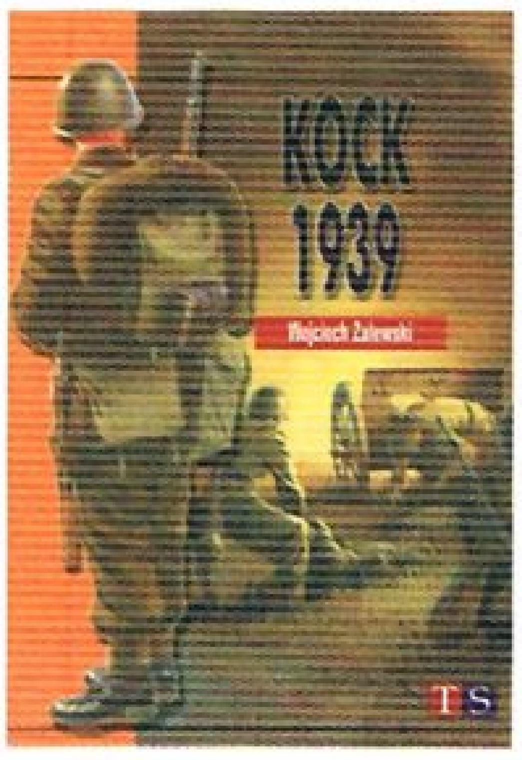

WOJCIECH ZALEWSKI
opr. miękka, str. 64, wyd. Taktyka i Strategia.
Cena: 20,60 zł.

Kolejny zeszyt z serii „Wielkie Bitwy Historii", która ukazuje się nakładem wydawnictwa Taktyka i Strategia. Tym razem zajęto się jedną z bitew kampanii wrześniowej - stoczoną w dniach 2-6 października 1939 roku bitwą pod Kockiem. Naprzeciwko siebie stanęły oddziały polskiej Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. Kleeberga i niemieckie oddziały XIV Korpusu Zmotoryzowanego gen. von Wietersheima. Historycy podkreślają często, że taktycznie bitwa była zwycięska dla Polaków, jednak strategicznie wygrali Niemcy. W publikacji omówiono przygotowania do bitwy, jej przebieg dzień pod dniu, siły walczących stron i strukturę organizacyjną poszczególnych jednostek. Przedstawiono również opis geograficzny terenu działań, uzbrojenie obu armii, a także biogramy dowódców polskich i niemieckich.

Łowczówek 1914

PRACA ZBIOROWA
opr. miękka, str. 245, wyd. historyczna.com.pl
Cena: 35,50 zł.

W czasach PRL-u usiłowano wymazać z kart polskiej historii wydarzenia związane ze szlakiem bojowym Legionów. Taki los spotkał bitwę pod Łowczówkiem, stoczoną 22-25 grudnia 1914 r. przez świeżo sformowaną I Brygadę Legionów Polskich. Dziś pamięć o bitwie, choć nie zniknęła, to została sprowadzona to roli mało ważnego epizodu. Niniejsza publikacja ma na celu przypomnieć o tym wydarzeniu. Książka została podzielona na dwa rozdziały. W pierwszym omówiono m.in. strukturę, genezę i działania I Brygady, jej umundurowanie, przebieg bitwy pod Łowczówkiem, a także obraz bitwy w historiografii austriackiej i polskiej. Drugi rozdział przedstawia miejsca i działania, które upamiętniły bitwę.

Zaginiony konwój do „Riese"

BARTOSZ RDUŁTOWSKI,
ŁUKASZ ORLICKI
opr. twarda, str. 656, wyd. Technol. Cena: 58 zł.

Kilkadziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej uwagę dwóch specjalistów od drugowojennych zagadek przyciąga relacja komendanta Bohdana Grabowskiego o ukrytym na Gontowej depozycie. Rozpoczyna się niezwykłe śledztwo, w którym Bartosz Rdułtowski i Łukasz Orlicki odkrywają kolejne elementy mrocznej historii. W toku dochodzenia okazuje się, że zagadka ukrytego w Górach Sowich depozytu jest znacznie bardziej zagmatwana, niż dotąd sądzono. Zdobyte przez obu badaczy dokumenty archiwalne, relacje nowych świadków oraz odkrycia dokonane w zagadkowej sztolni po pokonaniu zawału sprawiają, że ich śledztwo z każdym tygodniem nabiera tempa. Zaczyna też zmierzać w zupełnie niespodziewanym kierunku...

Korpus Gwardii w bitwie pod Gorlicami

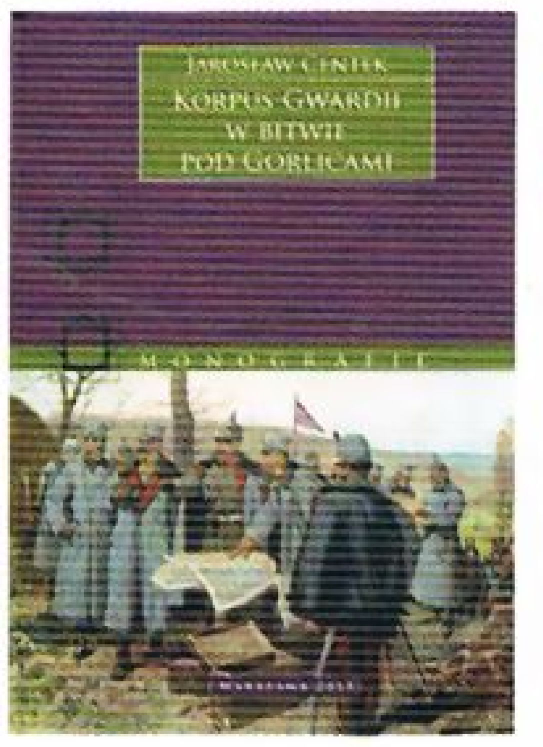

JAROSŁAW CENTEK
opr. twarda, str. 166, wyd. Tetragon.
Cena: 44,90 zł.

„Korpus Gwardii w bitwie pod Gorlicami" to publikacja oparta na szerokiej bazie źródłowej, opisująca przełamanie frontu rosyjskiego dzień po dniu, opatrzone dużą liczbą zdjęć i wieloma mapami. W poszczególnych rozdziałach omówiono także m.in. Organizację Korpusu Gwardii, biogramy ważniejszych postaci, charakterystykę terenu i inżynieryjne przygotowanie pozycji. Jest to pierwsze z cyklu opracowań dotyczących poszczególnych aspektów bitwy gorlickiej z 1915 r., planowanego przez grupę autorów m.in. Tomasza Woźnego, Sławomira Kułacza oraz Jarosława Centka. Następne tomy będą dotyczyć kolejnych korpusów niemieckiej 11 Armii oraz wspierających ją sąsiednich armii austro-węgierskich.

Małopolska w ogniu Wielkiej Wojny

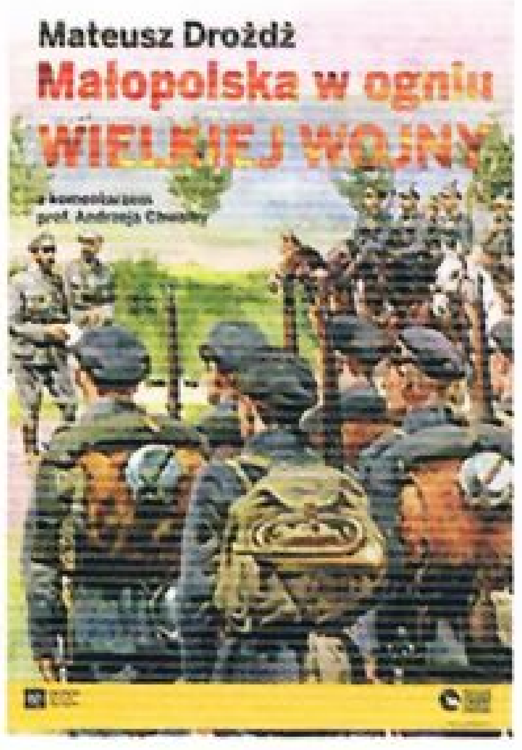

MATEUSZ DROŻDŻ
opr. miękka, str. 172, wyd. Polska Press.
Cena: 18 zł.

Zbiór esejów historycznych skupiający się nie na naukowym opisie historii, a na przedstawieniu najciekawszych i najistotniejszych dla czytelnika faktów. Autorem książki jest Mateusz Drożdż, wieloletni współpracownik „Gazety Krakowskiej", „Dziennika Polskiego", miesięcznika „Nasza Historia" oraz miesięcznika społeczno-kulturalnego „Kraków". Obok wydarzeń znanych z kart podręczników książka zawiera wiele atrakcyjnych i nieszablonowych anegdot. Autor z pasją opowiada między innymi o tym co spotkało w Krakowie Jaroslava Haszka, jak krakowski profesor zdobywał belgijskie fortece czy też dlaczego zakazano malowania jaj na Wielkanoc.

Książki można zamawiać: • na stronie Księgarni www.odk.pl • telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) • lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK „OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI". To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów".

26,-

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET" Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY" Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

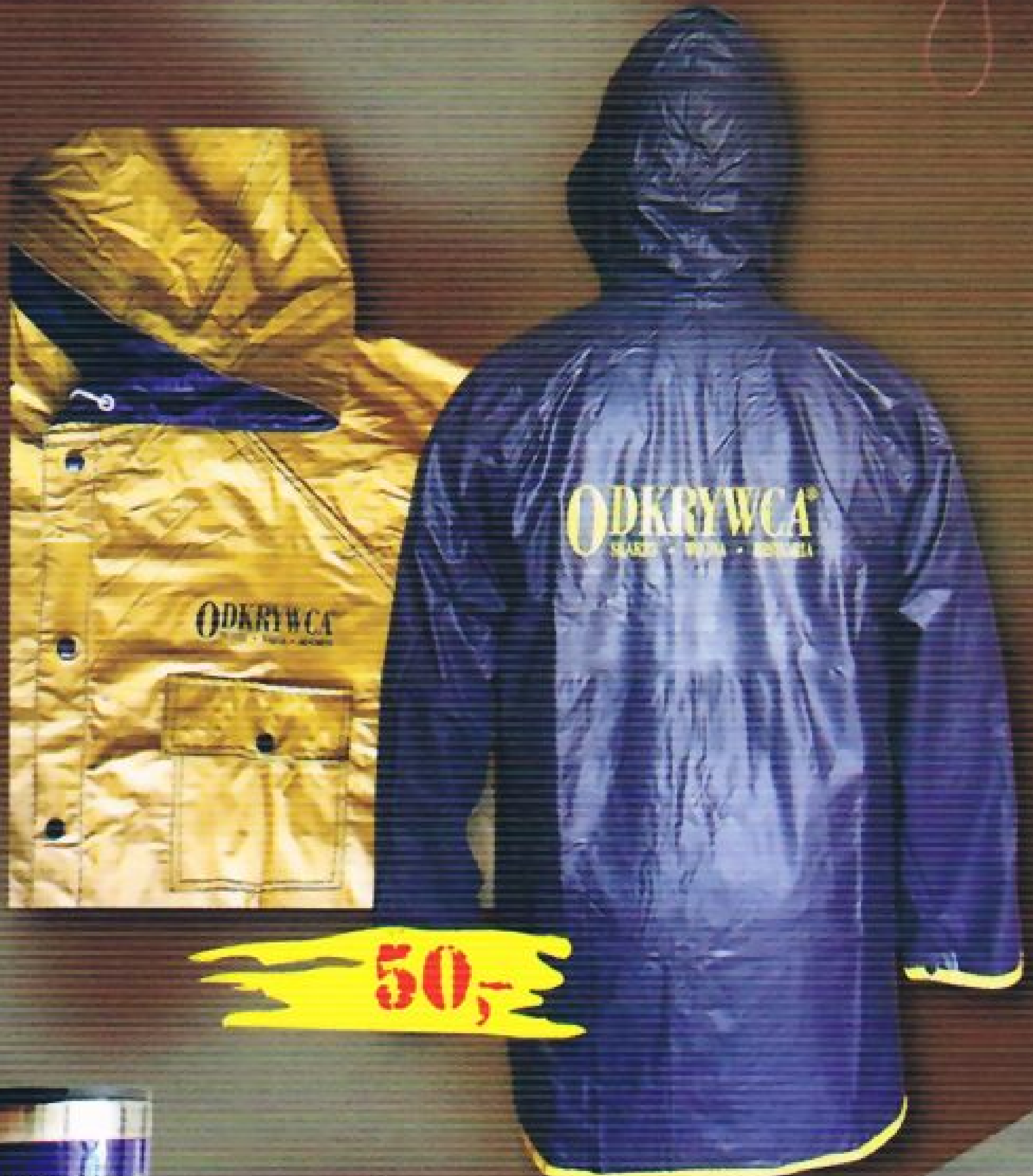

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

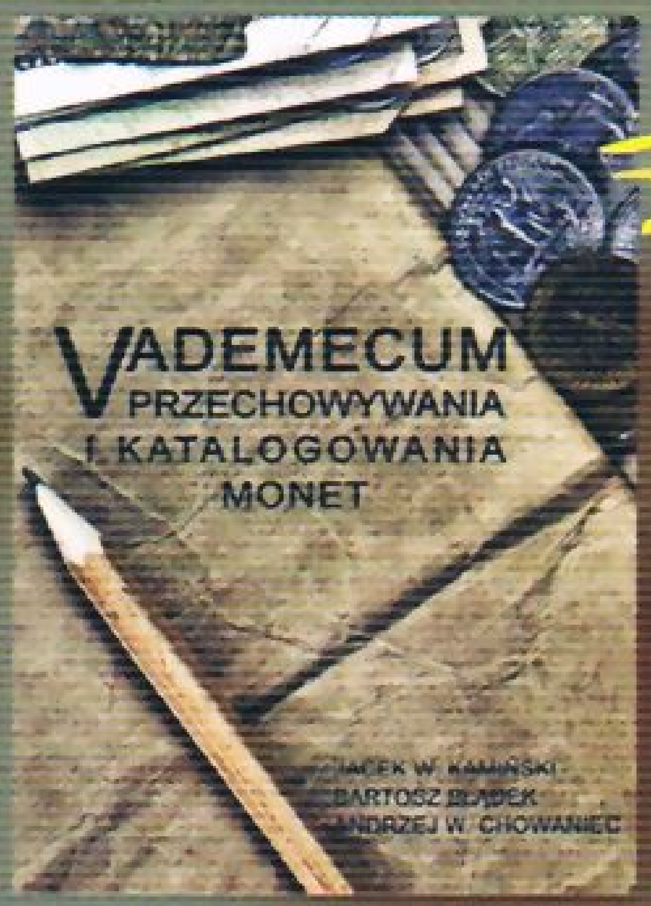

39,50

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET" Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

20,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

20,-

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

Zamówienie 10/201

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy .... miejscowość

ulica .... nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpi

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

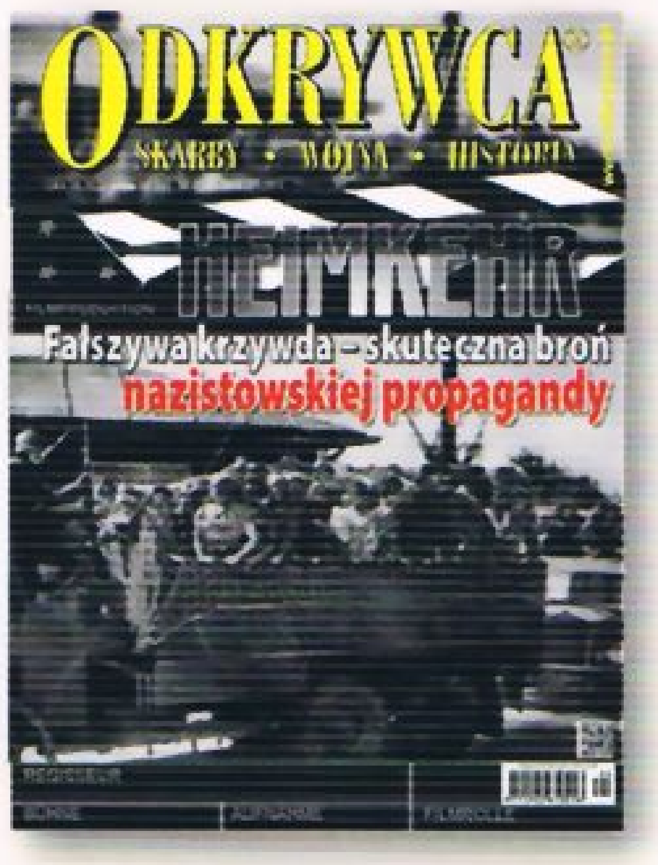

70. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

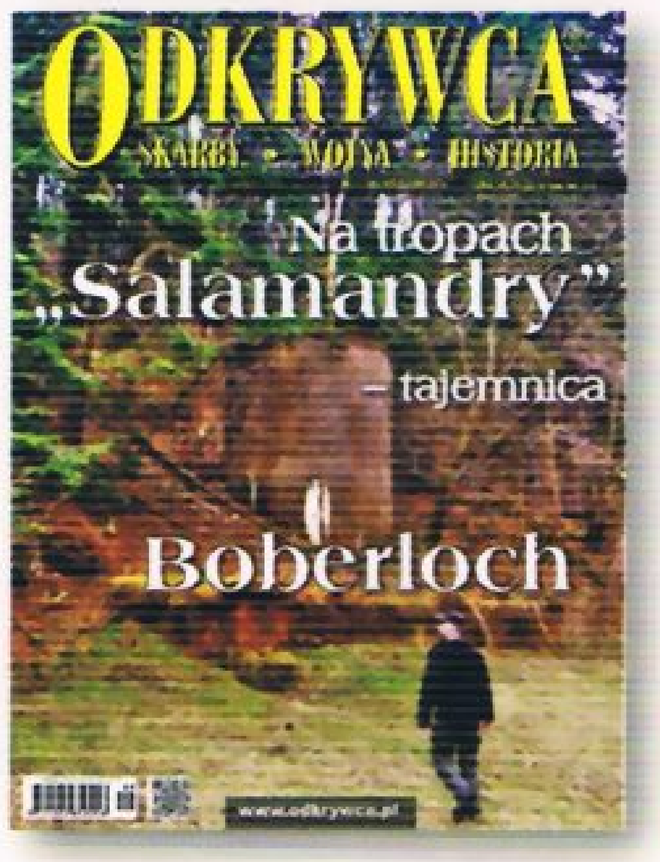

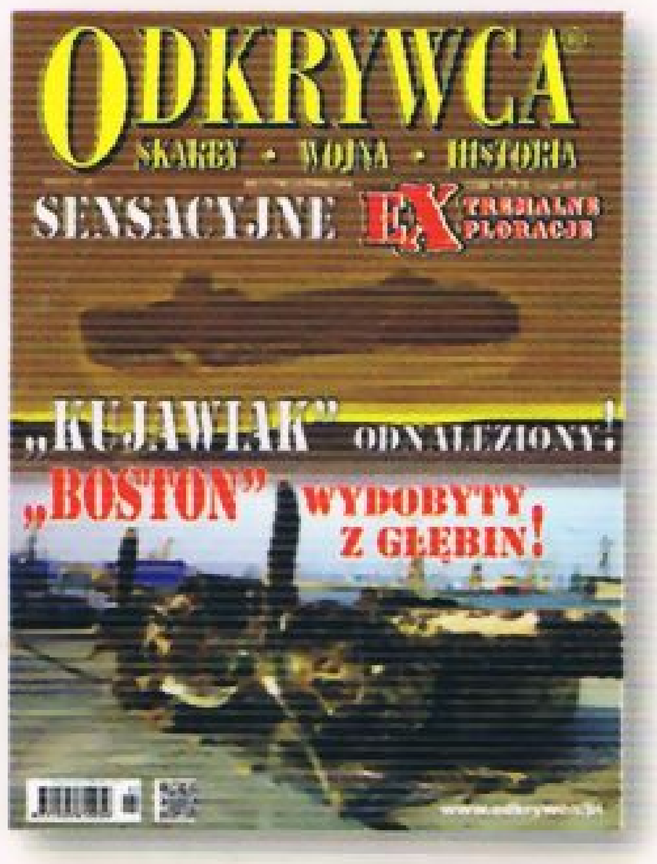

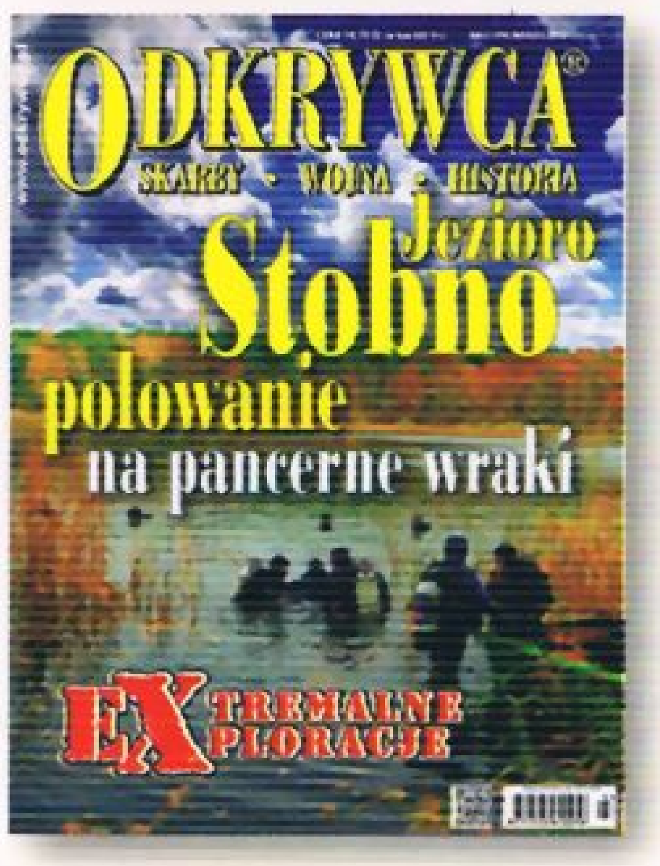

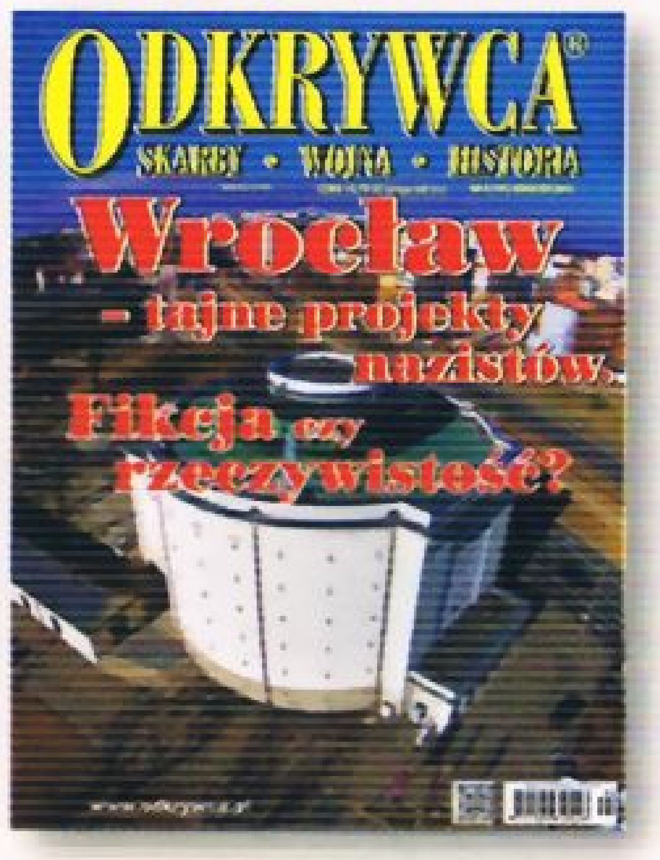

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ▶ stałej, niższej ceny,
- ▶ szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ▶ otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

▶ lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ▶ krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ▶ zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ▶ Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne
– rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
– rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
– roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
– roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
– rocznik 2012 – cena 96 zł
– rocznik 2013 – cena 118 zł
– rocznik 2014 – cena 120 zł
Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71